



Z. Zeydler Zborowski

Sekret Julii



INKY

Ali Baba

Zygmunt Zeydler-Zborowski

SEKRET JULII

ISKRY

Rozdział 1

Był koniec kwietnia. Nad Forum Romanum błękitniało landszaftowe niebo. Oszlifowane spojrzeniami turystów kamienie błyszcząły jaskrawą bielą. Kobiety zrzuciły zimowe okrycia, przyciągając uwagę mężczyzn kolorowymi sukniami i wiosennym kołysaniem bioder. Słońce przygrzewało już mocno.

Usiedli na ławce niedaleko Piazza Wenezia.

— Cieszę się, że przyjechałeś — powiedziała Regina.

Jej pierwsza młodość była wspomnieniem dość odległym, ale prezentowała się jeszcze bardzo efektownie i określenie „atrakcyjna kobieta” nie wydawało się w odniesieniu do jej osoby czymś przesadnym. Umiała się ubrać, umiała dyskretnym makijażem podkreślić nieuchronnie przemijającą urodę. Posiadała ten wrodzony dar, który pozwala kobiecie nawet przy bardzo ograniczonych środkach materialnych wyglądać zawsze szykownie i interesująco. Zapewne umiejętność ta sprawiała, że cieszyła się powodzeniem, często większym niż młode dziewczęta.

Ryszard wyciągnął przed siebie zmęczone nogi, zapalił papierosa i zmrużonymi oczami patrzył na wesoło wyglądające miasto. Ogarnęło go rozkoszne rozleniwienie. Świadomość, że nie musi się nigdzie śpieszyć, że nikt na niego nie czeka i że nie ma absolutnie nic do załatwienia, była czymś wspaniałym.

— Ja także bardzo się cieszę. Wdzięczny ci jestem za to, że mnie tu ściągnęłaś. Czuję się cudownie.

Uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, jej nieco skośne oczy zwięzały się jeszcze bardziej.

— No, widzisz. A nie chciałeś przyjechać.

— Trudno powiedzieć, że nie chciałem. Bałem się po prostu, że ci sprawię kłopot, a poza tym nie wiedziałem, jak twój mąż będzie się zapatrywał na moją wizytę.

— Wiesz przecież, że nie zaprosiłabym cię bez porozumienia z Ludwikiem. Twój przyjazd był od dawna omówiony.

Boner uważnie przyjrzał się siostrze.

— Pięknie wyglądasz — powiedział z odcieniem ledwie

uchwytnej melancholii w głosie. – Zrobiłaś karierę. Zazdroszczę ci tego życia.

– Taką samą karierę możesz i ty zrobić. Trzeba tylko chcieć. Roześmiał się.

– Nie jestem piękną, elegancką kobietą. Nie mogę liczyć na korzystne zamążpójście.

– Ale jesteś przystojnym, bardzo interesującym mężczyzną i na pewno mógłbyś się dobrze ożenić.

– To nie takie proste – westchnął. – Przystojnych mężczyzn, chcących się bogato ożenić, jest chyba spora gromadka. Konkurencja dosyć poważna. Bądź pewna, że gdyby mi się tylko udało...

– Co ty właściwie robisz? Z twoich listów nie bardzo mogłam się zorientować.

Niechętnie wzruszył ramionami.

– Pracowałem jakiś czas w Ministerstwie Kultury, ale zrezygnowałem. Za dużo mi to zabierało czasu.

Teraz kombinuję z wolnej ręki. Czasem zorganizuje się jakiś zespół, czasem jakaś wycieczka zagraniczna. Ale wszystko to są rzeczy dorywcze, dające minimalne dochody. Żyje się z dnia na dzień. Powiadam ci, że to podła vegetacja. Marzę o tym, żeby na stałe wyjechać za granicę.

Regina serdecznym ruchem dotknęła jego głowy.

– Biedny braciszku! Szczerze mi ciebie żal. Najwyższy czas, żebyś się już ustabilizował. Poczekaj. Postaram się jakoś ci pomóc. Może coś wykombinujemy. Czy chciałbyś na stałe zamieszkać we Włoszech?

– Pytanie! Pewnie, że bym chciał. Włochy to wspaniały kraj. Trzeba tylko mieć jakieś zaczepienie.

– Więc właśnie chcę ci dać to zaczepienie. Rozmawiałam już na ten temat z moim mężem. Luigi obiecał urządzać przyjęcie na twoją część. Zaprosimy kilka osób, które coś znaczą. Porobisz znajomości. Może coś z tego wyniknie. Powiedz, co ty właściwie mógłbyś robić?

– Wszystko to, co przynosi dobre dochody – powiedział z uśmiechem.

Regina wydawała się zatroskana.

– Widzisz, Rysiu, to nie jest takie proste, jak ci się zdaje. Tutaj trzeba mieć konkretny fach, tu ludziom trzeba powiedzieć, co sobą reprezentujesz, w jakiej branży jesteś fachowcem, co umiesz robić.

Niechętnie wzruszył ramionami.

– No cóż... Znam języki...

– Tak. Wiem. Znasz dobrze francuski, angielski.

– Niemiecki i rosyjski – uzupełnił nie bez pewnej dumy. – Cztery języki to coś znaczy.

– Naturalnie, ale... Czekaj, czekaj. Trzeba ci koniecznie obmyślić jakiś fach. Pracowałeś w Ministerstwie Kultury, to może literat... dziennikarz?... Co o tym sądzisz? To dosyć trudne do sprawdzenia zajęcie. Bo lekarz czy inżynier zbyt ryzykowne. Zaraz mogłoby się wydać, że się na tym nie znasz, a literat... Przecież masz jakieś pojęcie o literaturze? Coś tam chyba czytałeś?

– No tak, coś tam czytałem. Literat to dobrze brzmi, a nie jest takie zobowiązujące.

– Otóż to! – przytaknęła z zapalem Regina. – Efektowne, a niezobowiązujące. Musimy tylko ustalić, jaki rodzaj literacki uprawiasz. Chyba nie poezję?...

– Och, nie, nie! To niebezpieczne. Mógłby ktoś poprosić, żebym zarecytował swoje wiersze. Już lepiej zrób ze mnie autora powieści obyczajowych. Nikt przecież nie może żądać, żebym recytował fragmenty powieści.

– Masz rację. A więc postanowione. Jesteś autorem powieści psychologiczno-obyczajowych. Słuchaj... a może zabrałbyś się do pisania scenariuszy filmowych?

– To znakomita myśl – ucieszył się Boner. – Siostrzyczko, jesteś genialna! Autor scenariuszy filmowych. Fantastyczne.

– Mógłbyś naprawdę spróbować coś napisać. To przecież nie żadna filozofia. Fantazji ci nie brak.

– Oczywiście, że mógłbym. Mam jednak nadzieję, że przedtem znajdę jakąś zamożną signorinę, która się we mnie zakocha bez pamięci i zmusi rodziców, aby wyrazili zgodę na nasze małżeństwo.

Regina uśmiechnęła się, ubawiona optymizmem brata.

— Nie galopuj, carissimo! Najprzód musisz sobie zdobyć pozycję towarzyską, musisz być kimś interesującym, kimś, na kogo warto spojrzeć.

— Składam swój los w twoje ręce — powiedział z żartobliwą emfazą Boner i pocałował siostrę w policzek. — Jeżeli sobie życzysz, żebym był literatem, scenarzystą, komediopisarzem, to będę. Zgadzam się na wszystko.

Regina spojrzała na zegarek.

— Idziemy — zakomenderowała energicznie. — Czas na obiad.

Mieszkali na Monte Parioli. Luigi Antonelli był bogatym przemysłowcem i mógł sobie pozwolić na kupno luksusowej willi w wytwornej dzielnicy. Zaczynał tyć. Miał czarne wąsiki i trochę za dużą, łysiejącą głowę. Rumiane policzki tryskały zdrowiem, a ciemne, błyszczące oczy patrzyły na świat z pogodną drwiną.

— Ja wiem — mówił do żony — ja doskonale wiem, że wysłaś za mnie dla pieniędzy. Ale mnie to wcale nie przeszkadza. Jak ktoś nie ma urody amanta filmowego, musi mieć pieniądze. Za pieniądze kupiłem tę willę, za pieniądze kupiłem Cadillaca i za pieniądze kupiłem żonę. Wcale się tego nie wstydzę, bo te pieniądze nie są kradzione, tylko zarobione uczciwie ciężką pracą mojego ojca i uczciwie pomnożone moją zapobiegliwością. Ale, najdroższa moja Regino, nie zapominaj o tym nigdy, że ja pochodzę z Sycylii, a na Sycylii los niewiernych żon jest bardzo smutny. — Tutaj zaczynały się mrozące krew w żyłach opowieści o straszliwych zemstach zdradzonych mężów. Podobno nawet dziadek Ludwika wbił nóż w serce wiarołomnej żony. Nóż ten Antonelli przechowywał w biurku jako pamiątkę rodzinną.

Regina za każdym razem z poważną miną wysłuchiwała tych opowiadań. Nie miała zamiaru zdradzać męża. Zbyt sobie ceniła luksusową willę na Monte Parioli, wspaniałego Cadillaca i to wszystko, co pieniądze mogą dać człowiekowi. Wiedziała również, że ten wesoły, pulchny Luigi nie zawahałby się przed użyciem dziadkowego kindżału. Świadomość ta w zarodku zabijała każdą myśl o zdradzie małżeńskiej. Ryzyko było zbyt

duże.

Historia ich małżeństwa była jakby wyjęta z popularnego romansu. Regina wyjechała na wycieczkę do słonecznej Italii, zabłądziła na ulicach Rzymu i spotkała przedsiębiorczego młodzieńca, który zaofiarował jej swą pomoc oraz przytulną garsonierę. Nie wiadomo, czym by się skończyła ta przygoda, gdyby nie nagła interwencja Antonellogo. Regina przesiadła się z Fiata do Cadillaca i po upływie tygodnia została oficjalną żoną bogatego przemysłowca. Stało się to wszystko tak nagle, że nawet nie zdołała odszukać kierownika wycieczki i zawiadomić go o swej decyzji.

Carlotta czekała już z obiadem. Usiedli do stołu i Regina z ogromnej wazy nałożyła na talerze dymiącą pastasciutę. Antonelli z zadowoleniem wciągnął w nozdrza smakowity zapach, sięgnął po karafkę i napełnił swą szklanekę czerwonym winem.

— No i jakżeż się panu podoba Rzym? — spytał kiepską francuszczyzną, nawijając zręcznie makaron na widelec.

— Jestem zachwycony Rzymem i w ogóle Italią — odpowiedział Ryszard, usiłując naśladować technikę spożywania pastasciuty. Długie nitki makaronu ześlizgiwały się jednak złośliwie z widelca i wracały na talerz.

— Ryszardowi tak się u nas podoba — wtrąciła się do rozmowy Regina — że chętnie osiedlili by się na stałe we Włoszech.

— O! — Antonelli wypił duży łyk wina. — Doprawdy?

— Jestem zachwycony Italią. Panuje tu atmosfera sprzyjająca pracy twórczej — powiedział Boner.

Antonelli ze zdziwieniem spojrział na żonę.

— Nigdy mi nie wspominałaś, że twój brat jest artystą. Jaki rodzaj sztuki pan reprezentuje?

— Ryszard jest powieściopisarzem — wyjaśniła pośpiesznie Regina. — Interesuje się też filmem. Ale może skończylibyście wreszcie z tą oficjalną etykietą? Powinniście sobie mówić po imieniu.

Boner podniósł szklanekę z winem.

— Właśnie chciałem to zaproponować.

— Zdaje się, że to się nazywa „bruderschaft” — powiedział Antonelli i cmoknął szwagra w policzek. — Caro Ricardo, jestem niezmiernie rad, że zdecydowałeś się wreszcie nas odwiedzić. Dołożę wszelkich starań, aby twój pobyt u nas nie był monotony.

Boner miał w zapasie sporo uprzejmościowych zwrotów, którymi natychmiast się zrewanżował. Wiedział, że narody romańskie przepadają za kwiecistymi frazesami. Bardzo szybko też pozyskał sobie sympatię jowialnego Włocha.

Obiad upłynął w atmosferze rodzinnej serdeczności. Na kawę przeniesiono się do salonu, zastawionego secesyjnymi meblami, które Luigi Antonelli odziedziczył po zazdrosnym dziadku.

Rozmowa nie kleiła się. Nastrój stawał się coraz bardziej senny, aż wreszcie gospodarz dał sygnał do poobiedniej sjiesty.

— Idę wywiązać się z obowiązków małżeńskich — szepnęła Regina, ściskając brata za rękę i poszła do sypialni, znajdującej się na pierwszym piętrze.

Leżąc na tapczanie, Boner rozmyślał nad swoją sytuacją. Nie ulegało wątpliwości, że otwierały się przed nim szerokie perspektywy. Czy jednak potrafi wykorzystać tę szansę? U Reginy mógł posiedzieć dwa, najwyżej trzy miesiące. To było bardzo dużo, ale należało jednak się spieszyć z nawiązywaniem kontaktów. Wiedział, że to nie są rzeczy proste i że w takich wypadkach pośpiech jest niewskazany. Najlepiej byłoby znaleźć odpowiednią kandydatkę na żonę, ale gdzie takiej szukać? Myśl o tym, że może będzie musiał wracać z niczym do Warszawy, stawała się tak nieznośna, że pomimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Nie, nie... wszystko, byle nie to.

Wyobraził sobie swoją kawalerkę, tę beznadziejnie nudną Teresę, której nie mógł się w żaden sposób pozbyć, i codzienną pogoń za zarobkiem. Rozpaczliwa vegetacja. Czasem jakaś popijawa „u dziennikarzy” czy w Spatifie. Czasem wyjazd nad morze albo do Zakopanego, jakiś przelotny flirt i to wszystko. Wieczny brak pieniędzy, wieczne życie na kredyt. Rozpacz. Za wszelką cenę musiał się tu urządzić, stworzyć sobie nową egzystencję. Był przecież człowiekiem obrotnym, sprytnym, umiał

sobie zdobywać ludzką sympatię. Jeżeli będzie miał odrobinę szczęścia, na pewno da sobie radę. Zasnął w optymistycznym nastroju.

W najbliższą niedzielę Luigi, zdopingowany przez żonę, wydał skromne przyjęcie na cześć swego szwagra, polskiego powieściopisarza, przybyłego z odległej, owianej romantycznym bohaterstwem Warszawy.

Goście państwa Antonellich niewiele wiedzieli o Polsce i o Polakach. Jedynie signora Vanzetti, wdowa po faszystowskim pułkowniku, z mgielką rozmarzenia w oczach wspominała jakiegoś kapitana Makowskiego, który był wedle jej słów molto simpatico i molto brauo. Ten i ów wiedział, że Chopin był pochodzenia polskiego i że wódka stanowi najważniejszą pozycję polskiego eksportu. Były to jednak wiadomości bardzo ogólne i mgliste. W tych warunkach Boner nie potrzebował się obawiać, aby jego „sława” literacka mogła zostać zakwestionowana.

Konwersacja toczyła się – ze względu na gościa, który nie znał włoskiego – przeważnie w języku francuskim, z nielicznymi wyjątkami na rzecz angielskiego, który wprawdzie był bardzo modny, ale także i trudny do opanowania dla ludzi przyzwyczajonych do miękkiej, śpiewnej mowy.

Po kolacji całe towarzystwo przeniosło się do dużego salonu, gdzie pito kawę, koniak i likiery. Regina nastawiła adapter. Zaczęto tańczyć. Kilka osób z gospodarzem na czele wymknęło się do pokoju brydżowego.

Boner przez uprzejmość tańczył z mocno uperfumowanymi paniami, po czym trochę zmęczony zagłębił się w wygodnym fotelu i sięgnął po kieliszek napełniony koniakiem.

Pierwsze zainteresowanie jego osobą minęło i nagle poczuł się jakby na marginesie tej zabawy. Osowiałym wzrokiem wodził za wydekoltowanymi kobietami i za ciemnymi sylwetkami mężczyzn w wieczorowych ubraniach. Wszyscy ci ludzie mieli swoje życie, swoje sprawy, wśród których dominowała pogoń za pieniędzmi, za dużymi pieniędzmi. Od niechcenia wymieniano sumy, od których można było dostać zawrotu głowy. Czy kiedykolwiek będzie jednym z tych bu-

sinessmanów? Czy potrafi stanąć na równi z nimi, robić ogromne interesy, jeździć po całym świecie, mieć nieograniczone możliwości finansowe? W tej chwili jego własne groszowe zarobki w Warszawie wydały mu się czymś śmiesznym, czymś zupełnie groteskowym. Jak wejść do grona tych ludzi, od których emanowała pewność siebie, zrodzona z pełnych portfeli i którzy z chłodną ciekawością przyglądali się przybyszowi z dalekiej krainy? To nie było proste. To było nawet bardzo skomplikowane. Należało przebić mur obojętności, stać się kimś w tym środowisku, być człowiekiem, o którego względy warto się ubiegać.

Poczuł dotknięcie czyjejś dłoni. Podniósł głowę i zobaczył uśmiechniętą, lekko zaróżowioną twarz Reginy.

— O czym tak dumasz, braciszku?

— O tym, że niełatwo jest wejść do twojej sfery.

Poklepała go po ramieniu.

— Nie upadaj na duchu. Zapewne ci wiadomo, że nie święci garnki lepią. Zamiast pogrążyć się w melancholijnych rozmyślaniach, chodź ze mną. Zapoznam cię z jednym bardzo miłym panem, który działa w filmie. Przed chwilą przyszedł. To ciekawy człowiek. Typ niespotykanego już dzisiaj romantyka. Czy wiesz, że on od paru lat prowadzi miłosną korespondencję z jakąś zupełnie nieznaną Polką? Twierdzi, że jest śmiertelnie zakochany, chociaż nie widział dziewczyny na oczy.

Signor Ganzetti dobiegał sześćdziesiątki. Rzadkie, szpakowate, starannie zaczesane włosy i okrągłe oczy puchacza, ukryte za dużymi okularami. Podłużna, śniada twarz przypominała średniowieczną rzeźbę. Kształtne dłonie były ruchliwe, nerwowe. Suche palce co chwila dotykały krawata, jakby sprawdzając, czy znajduje się on jeszcze na swoim miejscu. Robertino, jak go pieszczotliwie nazywała Regina, nie musiał działalnością artystyczną zarabiać na życie. Po przodkach odziedziczył znaczną fortunę i jego kontakt z muzami miał charakter wyłącznie rozrywko-wo-amatorski. W młodości próbował pisać wiersze, potem przerzucił się na nowele i powieści psychologiczne, spod jego pióra wyszły trzy czy cztery sztuki teatralne, a ostatnio pochłonął go bez reszty film. Marzył

o napisaniu znakomitego scenariusza, który byłby czymś rewelacyjnym. Dysponując ogromnymi środkami materialnymi odgrywał od czasu do czasu rolę mecenasa sztuki i wyląwiał młode talenty. Kończyło się przeważnie gorzkim rozczarowaniem, gdyż „młode talenty” okazywały większe zainteresowanie portfelem swego dobroczyńcy aniżeli zagadnieniami artystycznymi.

— Droga Regina dużo opowiadała mi o panu

— powiedział Ganzetti, serdecznie potrząsając dłonią Bonera. Mówił dobrze po francusku, z wyraźnym akcentem marsylskim. — Cieszę się niezmiernie, żeśmy się poznali. Podobno pisuje pan scenariusze filmowe.

— Między innymi.

— To wspaniale. Czuję, że będziemy mieli sobie bardzo wiele do powiedzenia. Jakiego rodzaju filmy pana interesują?

— Trudno tak w paru słowach skonkretyzować te rzeczy — odparł wymijająco Boner.

— Rozumiem, rozumiem... Ma pan szeroki wachlarz zainteresowań.

— Raczej tak.

— To bardzo słusznie. Do prawdziwej, wielkiej sztuki dochodzi się przez wielostronne doświadczenia. — Odchrząknął, poprawił sobie krawat i mówił dalej: — Moim zdaniem sztuka filmowa pozwala na najbardziej wszechstronne wypowiedzenie się artystyczne. Teatr w swojej konwencji ma dość ograniczone środki wyrazu. Weźmy chociażby sprawę retrospekcji. W teatrze retrospekcja jest możliwa nieomal wyłącznie poprzez relację słowną, podczas gdy film dysponuje nieograniczonymi możliwościami technicznymi. W jednej chwili możemy cofnąć się o kilka czy o kilkanaście lat, ba, możemy nawet wrócić do renesansu czy do średniowiecza, a operowanie obrazem jest o wiele bardziej sugestywne aniżeli wszystkie, najbardziej nawet przejrzyste, werbalne wyjaśnienia. Stąd wywodzi się fakt, iż od kilkudziesięciu lat teatr jest systematycznie wypierany przez przemysł filmowy. Nie trzeba grzebać się w statystykach, aby zdać sobie jasno sprawę z różnicy frekwencji. To się przecież rzuca w oczy. Ile ludzi

chodzi do teatru, a ile ogląda filmy. Przewaga kina jest przytłaczająca. Nie sądzi pan, że mam rację?

— Ma pan najzupełniejszą rację — przytaknął skwapliwie Boner i poszukał wzrokiem Reginy, jakby z jej strony spodziewał się sukursu. Miał niewielkie pojęcie o tych problemach i nie chciał się angażować w dyskusję, która mogłaby się okazać dla niego zgubna. Z drugiej jednak strony bał się, żeby jego lakoniczne odpowiedzi nie zostały źle zrozumiane. Byłby skończonym głupcem, gdyby zraził do siebie tego człowieka. Wysłuchał więc cierpliwie nieco przydługiego wykładu na temat roli sztuki filmowej i jej perspektyw rozwojowych, a następnie, pragnąc wydobyć się z tych teoretycznych rozważań, zaproponował małego drinka. Ganzetti przyjął tę propozycję z zapalem.

— Ależ oczywiście, caro amico, zajrzyjmy do bufetu. Z przyjemnością odświeżę sobie gardło jakimś sympatycznym płynem.

„Sympatycznym płynem” okazał się Martini dry z kawałkiem lodu. Usiedli pod palmą wyrastającą z olbrzymiej donicy i entuzjasta filmu znowu chciał wrócić do przerwanej rozmowy, ale Boner tak zręcznie wymanewrował, że zmienili temat i zaczęli mówić o kobietach. W tej materii polski „literat” miał o wiele więcej do powiedzenia. Posypały się dowcipy, anegdoty i autentyczne opowieści z własnego życia. Okazało się, iż signor Ganzetti jest wytrawnym znawcą płci pięknej i ma bardzo szerokie doświadczenie. Wypiwszy wermuth, sięgnął po szkocką whisky i przy drugiej szklance zarecytował fragment z Owidiuszowej „Sztuki kochania”. Potem nagle przeszedł na Baudelaire'a, odstawił pustą szklankę na stolik i spochmurniał.

— Czy pan wie, caro amico — powiedział z nieco teatralnym patosem — czy pan wie, że ja jestem starym głupcem?

Boner, zaskoczony tym nieoczekiwanym wyznaniem, nie bardzo wiedział, jak ma zareagować. Na wszelki wypadek milczał taktownie.

— Tak. Jestem starym, niepoprawnym głupcem

— powtórzył z goryczą Ganzetti. — Zawsze taki byłem. Pan jest Polakiem, a wy, Polacy, reprezentujecie ciągle jeszcze ten

irracjonalny, romantyczny stosunek do życia. Pan lepiej niż kto inny może mnie zrozumieć. – Sięgnął po butelkę, ale nie napełnił szklanki. Zamyślił się głęboko, jakby zapominając o swoim rozmówcy.

– Czy pan musi tu siedzieć na tym przyjęciu?

– spytał po chwili.

Boner uśmiechnął się niewyraźnie.

– No, cóż... Chyba tak. Moja siostra zaprosiła dzisiaj gości trochę na moją cześć.

Ganzetti niecierpliwie strzepnął palcami.

– Wiem, wiem, oczywiście, ale sądzę, że pan już odegrał swoją rolę. Nie chciałbym robić panu przykrości, wydaje mi się jednak, że w tej chwili nikt się tu panem nie interesuje oprócz mnie, a ja miałbym ochotę zabrać pana do siebie, do domu. Co pan na to?

Boner czuł, że powinien przyjąć to zaproszenie, ale bał się urazić Reginę i jej męża.

– Muszę porozumieć się z siostrą – powiedział.

Ganzetti podniósł się z fotela.

– Pan pozwoli, że ja to załatwię. Kochana Regina jest przyzwyczajona do moich ekstrawagancji i na pewno nie obrazi się. Proszę tu na mnie poczekać.

Nieco chwiejnym krokiem ruszył w kierunku tańczących par. Po paru minutach wrócił. Był uśmiechnięty.

– Widzi pan, miałem rację. Regina nie ma absolutnie nic przeciwko temu, żebyśmy się ulotnili na maleńką godzinę. Idziemy.

Wyszli. Noc była ciepła. Niebo błyszczało gwiazdami.

Boner z pewnym niepokojem patrzył na siadającego za kierownicę podpitego Włocha. Byłoby czymś zupełnie idiotycznym zginąć na ulicach Rzymu w wypadku samochodowym. Nie mógł się jednak już wycofać z tej eskapady. Z westchnieniem rezygnacji otworzył drzwiczki.

Zaledwie jednak Ganzetti włączył motor, natychmiast zniknęło bez śladu działanie alkoholu. Robił wrażenie człowieka, który od dawna nie wypił ani kieliszka. Prowadził wóz ostrożnie, z ogromną wprawą i widać było, że jest do-

świadczonym kierowcą.

Zjechali w dół ku Zatyrawszy. Kiedy mijali zamek Świętego Anioła, Ganzetti powiedział:

– Wydaje mi się, że był pan trochę w strachu.

– Ja?... Dlaczego?

– Bo przypuszczał pan, że jestem kompletnie pijany.

– Ale skądże znowu! – zaprzeczył z ożywieniem Boner.

Ganzetti roześmiał się i dodał gazu.

– Niech pan nie udaje. Widziałem przecież niepokój na pańskiej twarzy. Jestem dość dobrym psychologiem, a to było aż nazbyt czytelne. Ale mogę pana zapewnić, że jeśli nie czuję się na siłach, nie siadam za kierownicę. Właściwie ja się nigdy nie upijam. Czasami lubię udawać wstawionego. To mnie bawi. Bawią mnie niespokojne miny mojego otoczenia, tak jak to miało miejsce przed chwilą. Proszę mi wybaczyć, jeśli pana przestraszyłem.

– Tak bardzo się znowu nie przeraziłem – uśmiechnął się Boner. – Zresztą znam się trochę na prowadzeniu wozu. W razie czego mógłbym pana zastąpić przy kierownicy.

– Czy miałby pan ochotę przejechać się do Frascati?

– Chętnie. Nigdy tam nie byłem. Słyszałem, że we Frascati można się napić dobrego wina.

– O, to na pewno. Właśnie chcę pana zaprosić na lampkę dobrego wina do mojego domu.

– Pan mieszka we Frascati?

– Nie. Mieszkam w Rzymie. We Frascati mam maleńką willę, gdzie pracuję, kiedy znuży mnie hałas wielkiego miasta. Rzym teraz stał się bardzo męczący. Ta motoryzacja... Tutaj ulice przystosowane są do poruszania się w lektykach, a te setki tysięcy samochodów... Przyjemnie jest z dużą szybkością przenosić się z jednego miejsca na drugie, ale to właśnie szybkość zabija ludzkość. Nasza epoka przypomina błędne koło, z którego nie ma wyjścia. Nie możemy już dzisiaj obejść się bez tych wszystkich udogodnień, które nam daje rozwój techniki, a rozwój techniki obraca się coraz bardziej przeciwko nam. Szczytowe osiągnięcie w dziedzinie nauk ścisłych będzie jednocześnie zagładą naszej planety. Rozwój ducha powinien

wyprzedzać rozwój techniki, a w naszej epoce, niestety, sprawa ma się wprost odwrotnie. Ludzie przestają czuć, przestają myśleć filozoficznie, już dawno zapomnieli, że istnieje taka rzecz, jak romantyczna miłość Zimne, nieczułe roboty zalewają świat.

Minęli Cine-Cita i wydostali się z miasta na szosę. Ganzetti włączył reflektory i zapatrzył się w smugę światła. Do Frascati nie odezwał się ani słowem.

„Maleńka willa” okazała się pięknym pałacykiem, stojącym w starannie utrzymanym ogrodzie. Kamerdyner, jakby wycięty ze starego sztychu, przywitał ich z oznakami głębokiego szacunku.

Ganzetti zaprowadził gościa do biblioteki, kazał przynieść wino i zapalić świece w lichtarzach.

– Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu, to chociaż na chwilę zrezygnujemy z osiągnięć techniki i posiedzimy sobie przy świecach, tak jak nasi przodkowie.

– Uważam to za uroczy pomysł – powiedział Boner.

– To mnie cieszy. W ogóle wydaje mi się, że znalazłem w panu pokrewną duszę. Być może, że się zaprzyjaźnimy.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby tak się stało.

Wszedł cicho lokaj, niosąc na tacy omszałą butelkę i kieliszki. Pomimo podeszłego wieku poruszał się lekko i zwinnie. W każdym jego ruchu wyczuwało się wieloletnią rutynę.

– Czy są jeszcze u nas świece? – spytał Ganzetti.

– Tak, proszę pana, u nas zawsze są świece. Czy będę jeszcze potrzebny?

– Nie. Franciszku. Możecie iść spać.

Po wyjściu służącego Ganzetti odkorkował butelkę i napełnił kieliszki.

– To wino zostało wyprodukowane z winogron dojrzewających na stokach Wezuwiusza – powiedział z uśmiechem. – Rok 1875. Powinno panu smakować. Jest znakomite. Niestety, wiąże się ono dla mnie z tragicznym wspomnieniem. Ale nie chcę pana zanudzać.

– Słucham pana z rosnącym zainteresowaniem – zapewnił Boner.

Ganzetti poprawił krawat i przez chwilę obracał w palcach

kieliszek, w którym czerwieniły się winogrona dojrzewające na stokach Wezuwiusza.

– Do tego wina wsypano mojej matce truciznę.

– Więc pańska matka...

– Tak. Moja matka została zamordowana, otruto ją właśnie tutaj, w tej bibliotece.

– Czy schwytano zbrodniarza? – spytał Boner, rozglądając się niepewnie. Chybotliwe światło świec drgało na starych meblach.

Ganzetti potrząsnął głową.

– Nie. Do dnia dzisiejszego ta potworna zbrodnia okryta jest tajemnicą. Jednego wieczora straciłem matkę i ukochaną kobietę.

– Pańska żona?

– Nie. Anna Maria nie była jeszcze moją żoną. Zaręczyliśmy się. Ślub miał się odbyć za parę miesięcy. Niestety. Wszystkie projekty zostały w jednej chwili przekreślone. Służba rzuciła podejrzenie na moją narzeczoną. Zatrzymała ją policja. Oczywiście puścili ją z braku dowodów winy czy nawet jakichkolwiek poszlak. Wszystko to było przecież zupełnie nonsensowne. Anna Maria była uosobieniem dobroci, delikatności, subtelności. Cała ta sprawa zrobiła na niej tak wstrząsające wrażenie, że nie chciała mnie już widzieć. Uciekła. Napisała do mnie list z wyjaśnieniem. Twierdziła, że nie może zostać moją żoną, ponieważ ciągle wydawałoby się jej, że ją podejrzewam o otrucie matki. Szukałem jej na terenie Italii i za granicą. Bezskutecznie. Nigdy już nie zobaczyłem Anny Marii.

– I nie znalazł pan sobie innej żony?

Ganzetti z gorzkim uśmiechem potrząsnął głową.

– Nie. Nie ożeniłem się. Pan może tego nie potrafi zrozumieć, ale to była naprawdę wielka, prawdziwa miłość. My, Włosi, potrafimy kochać. Przecież to właśnie u nas zrodziła się legenda o kochankach z Werony, legenda, która przetrwała wieki. Kochałem Annę Marię tak, jak Romeo kochał Julię. Nie byłem w stanie myśleć o małżeństwie z inną kobietą. Dopiero teraz, niedawno, przed dwoma laty...

– Spotkał pan kogoś...?

– Nie. Nie spotkałem, nie widziałem jej nigdy, ale kocham ją chyba tak samo jak Annę Marię. Pan zapewne nie rozumie...

– Przyznaję, że nie bardzo – powiedział Boner i wypił spory łyk wina.

– Będzie pan mnie uważał za starego sentymentalnego durnia.

– Ależ nic podobnego! Ja sam jestem romantykiem.

– I potrafiłby się pan zakochać w kobiecie, której pan nigdy nie widział?

– Myślę, że tak. Można się zakochać, słysząc na przykład tylko czyjś głos.

– Albo czytając czyjeś listy – uzupełnił Ganzetti. – Właśnie tak. Czytając czyjeś listy. Brzmi to może nieprawdopodobnie, ale kocham kobietę, z którą od dwóch lat koresponduję. Ta kobieta jest pańską rodaczką.

– Polka?

– Tak. Polka. Mieszka w Warszawie. To bardzo dziwna historia. Przypomina trochę dawny sentymentalny romans. Teraz ludzie nie są zdolni do kultywowania tego rodzaju uczuć. Balzak i pani Hańska, Julia de Lespinasse i hrabia Guibert. Zapewne wydają się panu śmiesznym, starym romantykiem, jakimś okazem z ubiegłych stuleci.

– Ale skądże znowu! – zaprzeczył z ożywieniem Boner. – Pańskie opowiadanie niezwykle mnie pasjonuje. Nie bardzo tylko rozumiem, jak do tego doszło, jak się zaczęła ta korespondencja.

Ganzetti poprawił się w fotelu i znowu napełnił kieliszki.

– Smakuje panu wino? – spytał.

– Wyśmienite.

– Tak. To dobre wino. Bywa tylko trochę zdradliwe. Idzie w nogi. Nie każdy po paru kieliszkach może się swobodnie poruszać. Interesuje pana, jak do tego doszło, że ja i ta polska dziewczyna zaczęliśmy ze sobą korespondować. No, cóż... to właściwie zwykły przypadek. Umówiłem się kiedyś z pańską siostrą i kiedy czekałem w salonie na Reginę, która kończyła się ubierać, wziąłem zupełnie odruchowo do ręki pismo wydawane w Polsce dla zagranicy. Już nawet nie pamiętam dokładnie

tytułu. „La Polonia d'oggi” czy coś w tym rodzaju. To nie ma znaczenia. W piśmie tym natrafiłem na artykuł o sztuce antycznej, który mnie zafascynował. Był napisany świetnie, niezwykle interesująco i poruszał zagadnienia, które mnie od dawna pasjonują. Wie pan, jak to czasem bywa? Człowiek nagle natrafia na sformułowania pewnych myśli, które nosił w sobie, tylko nie umiał jakoś dotychczas ich skonkretyzować. Ponieważ nie wszystkie stwierdzenia zawarte w tym artykule trafiały mi do przekonania, przeto poczułem gwałtowną potrzebę wymiany myśli z jego autorką.

Wysłałem list, który zaadresowałem do redakcji i na kopercie napisałem nazwisko autorki artykułu. Po jakimś czasie Julia odpowiedziała mi. Tak się zaczęło. Od tamtej chwili rozpoczęła się między nami regularna korespondencja. Początkowo była to wymiana myśli na tematy literackie, filozoficzne. Nieraz nawet dziwiłem się, że taka młoda dziewczyna posiada tyle wiadomości z różnych dziedzin.

— Skąd pan wie, że to młoda dziewczyna? — spytał Boner.

— Przysłała mi swoją fotografię. Piękna, młoda dziewczyna. Zaraz panu pokażę.

Ganzetti z pewnym wysiłkiem podniósł się z wolterowskiego fotela i nieco chwiejnym krokiem podszedł do kantorka, stojącego pomiędzy oknami. Z jednej z szufladek wyjął dużą białą kopertę, w której przechowywana była z pietyzmem fotografia.

Boner zobaczył ładną, uśmiechniętą blondynkę o drobnych lirycznych rysach i ogromnych, sarnich oczach.

— Podoba się panu? — spytał Ganzetti.

— Bardzo. Niezwykle efektowna uroda.

— Piękna — powiedział w zamyśleniu Ganzetti. — Wyjątkowo piękna. Ale pięknych dziewcząt dużo jest na świecie. Tu nie chodzi tylko o urodę. To nadzwyczajny umysł, błyskotliwa, nieprzeciętna inteligencja. A ile w niej uczucia, ile wrażliwości, jakie ukochanie piękna, jakie zrozumienie dla sztuki. Nie jestem w stanie tego panu opowiedzieć. Musiałby pan przeczytać jej listy. To naprawdę coś niezwykłego. Gdyby ktoś parę lat temu powiedział mi, że zakocham się do szaleństwa w

kobiecie, której nigdy w życiu nie widziałem, wyśmiałym go, uważałbym to za kiepski żart. Tak, caro amico, życie płata nam czasem takie nieprawdopodobne figle, że przerastają one najbardziej nawet wybujałą fantazję. Kocham Julię i chociaż nie jestem podobny do Romea, największym moim marzeniem jest mieć ją kiedyś przy sobie.

– Dlaczego pan jej nie zaprosi tutaj? – spytał Boner.

Ganzetti uśmiechnął się melancholijnie i znów nalał wina.

– Czy sądzi pan, że tego nie zrobiłem? Już trzy razy posyłałem jej zaproszenie. Zobowiązałem się zapłacić podróż i pokryć wszystkie możliwe koszty. Za każdym razem odmawiała. Nie chce przyjechać, nie chce czy nie może? Nie wiem, jak to sobie tłumaczyć. Dla takiej dziewczyny to okazja. Jeśli nie chciałyby zostać moją żoną, to chociaż zwiedziłyby Italię. Pokazałbym jej Florencję, Wenecję, Neapol, Sycylię. Objechalibyśmy, cały półwysep, a potem mogłaby wrócić do Warszawy. Przecież nie zatrzymałbym jej tu siłą. A propos. Czy pan długo zamierza pozostać w Rzymie?

– Około dwóch miesięcy.

– A potem wraca pan do Warszawy?

– Oczywiście. Chyba, że udałoby mi się jakoś urządzić tutaj. Jestem tak oczarowany Italią, że chętnie pozostałbym tu na dłużej.

Ganzetti umoczył wargi w winie i w milczeniu obracał w palcach kieliszek. Robił wrażenie człowieka, który się nad czymś głęboko zastanawia. Wreszcie powiedział:

– Miałbym dla pana pewną propozycję.

Boner, który pod wpływem starego trunku zaczynał już drzemać, nagle się ożywił.

– Słucham? Cóż to za propozycja?

– Przysługa za przysługę. Ja panu pomogę zorganizować sobie, tutaj życie. Mam już nawet konkretny pomysł. Na jesieni zabieram się do pracy nad scenariuszem. Ma to być film z dużymi aspiracjami artystycznymi i intelektualnymi. Problematyka religijno-filozoficzna. Dopuściłbym ewentualnie pana do współpracy. Regina wspominała mi, że pan się interesuje sztuką filmową.

— Byłbym panu niesłychanie zobowiązany! — zawołał z entuzjazmem Boner. — Nie rozumiem tylko, w czym ja mógłbym być panu pomocny. Bo powiedział pan, że przysługa za przysługę.

— Tak. Podtrzymuję to, co powiedziałem: przysługa za przysługę. Na niczym tak mi nie zależy jak na tej dziewczynie. Może mnie pan uważać za starego wariata, za człowieka ogarniętego jakąś chorobliwą obsesją, ale niczego tak nie pragnę, jak tego, żeby ją zobaczyć, żeby posłyszeć jej głos, dotknąć jej ręki. Ostatnio już dawno nie miałem od niej listu. Nie wiem, co się stało, bo dotychczas odpisywała mi regularnie. Jeżeli więc pan mógłby ją odnaleźć i nakłonić do przyjazdu tutaj, to zrobię dla pana wszystko, co tylko będzie w mej mocy, a mogę pana zapewnić, że ja jeszcze coś znaczę na terenie Italii. W całej Europie, a także i w Stanach Zjednoczonych mam przyjaciół, krewnych, którzy gotowi są dla mnie zrobić bardzo wiele. To nie są czcze przechwałki. Bez trudu sprawdzi pan prawdziwość moich słów, choćby wśród znajomych pańskiej uroczej siostry.

— Ależ ja panu wierzę — zapewnił gorąco Boner. — Nie mam potrzeby sprawdzać czegokolwiek.

Ganzetti skłonił głowę.

— Dziękuję za dowód zaufania. Ostatecznie widzimy się po raz pierwszy. Wcale nie dziwiłbym się, gdyby pan był zaskoczony moją propozycją.

— Nie jestem zaskoczony. Jestem zaszczycony.

— Więc uważa pan nasz układ za coś realnego?

— Najzupełniej. Musi mi pan oczywiście podać adres tej pani.

— Niestety, nie mam jej adresu.

— Jak to? Przecież pan z nią koresponduje.

— Tak, ale piszę zawsze na poste restante. Nigdy mi nie przysłała swojego adresu.

— Hm. To trochę komplikuje sprawę — mruknął Boner. — Spróbuję dowiedzieć się w biurze adresowym. Jakie jest nazwisko tej pani?

— Alberycka. Julia Alberycka.

Rozdział 2

Wielokrotnie przysięgała sobie, że to już ostatni raz, że nigdy więcej. Dlaczego? Dlaczego właśnie Henryk musiał ją tam zaprowadzić? Był zazdrosny i ta zazdrość starzejącego się mężczyzny była powodem tego, co się stało. Nie chciał się zgodzić, żeby chodziła na angielski do „Wspólnej Sprawy” czy do „Metodystów”. Mogłaby tam poznać kogoś, kto by ją zainteresował.

– Ja sam ci znajdę nauczyciela – powiedział i znalazł.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Błażeja Reitinga, z wrażenia nie mogła wydobyć głosu. Przez chwilę wydało jej się, że to Quasimodo wynurzył się z mroków Notre Dame i pragnie ją uprowadzić w głąb lochów średniowiecznej katedry. Masywny, ciężki korpus, wzdłuż którego zwieszały się potężne ręce, zakończone sękatymi dłońmi. Plecy szerokie, zdeformowane kopulastym garbem, podnoszącym wysoko lewe ramię. Prawe, schylone ku dołowi, było nieproporcjonalnie chude, kościste. Nad tą bezkształtną bryłą dominowała duża, jajowata głowa, porośnięta krótkim, szpeciniastym włosiem koloru brudnego popiołu. Mięsiste wywinięte wargi, rozchylone w nieśmiałym uśmiechu, ukazywały rzadkie, pożółkłe zęby. Szara, ziemista twarz, poorana głębokimi zmarszczkami, wyglądała jak maska. Tylko oczy byty ładne, duże, szarozielone, pełne łagodnej wyrozumiałości, mądre. Ale to zauważało się dopiero potem. Pierwsze wrażenie było szokujące. Stała jak zahipnotyzowana. Henryk przyglądał jej się z nieznacznym uśmieszkiem.

Reiting milczał przez chwilę, jakby chciał dać swej uczennicy czas na oswojenie się z jego powierzchownością. Wreszcie odchrząknął i powiedział:

– Niech się pani nie zraza. Nie jestem zbyt urodziwy, ale angielskiego nauczę panią. Mążzonek pani życzy sobie, abyśmy lekcje rozpoczęli od jutra. Czy godzina osiemnasta odpowiada?

Skinęła głową. Nie mogła się zdobyć nawet na jakieś zdawkowe słowa uprzejmości. Kiedy wrócili do domu, spytała:

– Dlaczego chcesz, żeby mnie uczył ten potwór?

Henryk wzruszył ramionami.

— To świetny pedagog. Polecili mi go znajomi. Myślę, że zależy ci na nauce angielskiego, a nie na flircie.

Na drygi dzień, przewycięzając wstręt i obawę, pojechała na lekcję.

Wydał jej się jeszcze bardziej przerażający. W pierwszym odruchu chciała cofnąć się i uciec. Wyczuł najwidoczniej jej nastrój, bo szybko zamknął drzwi i powiedział:

— Proszę się mnie nie lękać. Ja naprawdę nie jestem taki straszny, na jakiego wyglądam. — Głos miał niski, o miękkim, melodyjnym brzmieniu.

Z trudem zdobyła się na blady uśmiech i na kilka uprzejmych słów. Nie wierzyła, żeby ten człowiek mógł nauczyć, ją czegokolwiek.

Reiting wiedział, co przeżywa ta śliczna, młoda kobieta. Wiedział też, że jeśli chce pozyskać w niej uczennicę, musi działać bardzo ostrożnie. Wskazał jej miejsce przy małym biurczku, stojącym pod oknem, sam zaś usiadł w cieniu.

Odtąd zawsze tak siadał. Robił wszystko, żeby jej nie zrazić, żeby oswoiła się z jego wyglądem i żeby przychodziła na lekcje. Chwilami odczuwał gwałtowny żal do losu, to znowu pojawiała się uczucie jakiejś sadystycznej satysfakcji, że wzbudza w niej dreszcz grozy, że dominuje nad nią swą brzydota.

Pierwsze tygodnie były bardzo trudne. Wracala do domu rozdygotana, pełna sprzecznych uczuć. Usiłowała przekonać samą siebie, że nie powinna bać się tego człowieka, że to nie ma sensu. Kiedy nerwy odmawiały jej posłuszeństwa, postanawiała skończyć z tymi lekcjami, przestać się męczyć. W imię czego wreszcie miała się zdobywać dwa razy w tygodniu na taki wysiłek? Tylu przecież jest normalnie wyglądających ludzi, którzy uczą angielskiego. Decydowała się poszukać nowego nauczyciela. Chciała powiedzieć Henrykowi, że nie będzie już chodziła do Błażeja Reitinga.

Ale kiedy zbliżał się wtorek czy piątek, nie umiała oprzeć się pokusie i szła, aby w ciemnym pokoju usiąść przy biurku i pisać przykłady na tryb warunkowy. Gdyby ją ktoś zapytał, dlaczego to robi, nie umiałaby odpowiedzieć. Po prostu nie zdawała

sobie sprawy ze swego stanu psychicznego. Przychodziła na te lekcje pchana jakimś wewnętrznym nakazem, którego nie potrafiła bliżej sprecyzować. Może była to ciekawość, a może żądza sensacji. Każdorazowe spotkanie z tym człowiekiem wywoływało w niej dreszcz niepokoju, mający w sobie coś z fizycznej, zmysłowej rozkoszy. Szara, upiorna twarz odpychała ją i pociągała zarazem. Bała się jej i pragnęła na nią patrzeć, tak jak ludzie nieznoszący widoku krwi i ran, przepychają się przez tłum, aby zobaczyć zmasakrowaną ofiarę wypadku tramwajowego. Nie była w stanie nie pójść na lekcję angielskiego. A po pewnym czasie pojawiły się nowe, niespodziewane elementy tej dziwnej znajomości.

Reiting nie tylko znał doskonale kilka języków, ale był człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Od dziecięcych lat poza książkami nic dla niego nie istniało. Książki wypełniły mu życie i sprawiły, że ta smutna, pozbawiona radości normalnego człowieka egzystencja nabrała sensu, stała się czymś ciekawym, wartościowym, nawet pasjonującym. Nie tylko czytał, ale i zbierał książki. Był zamięłowanym bibliofilem, a w jego kolekcji, mieszczącej się częściowo w mieszkaniu, częściowo w piwnicach domu przy ulicy Smolnej, można było znaleźć białe kruki, które zadziwiłyby niejednego dyrektora wielkich, światowych bibliotek. Dotyczyły różnych dziedzin wiedzy, poczynając od filozofii, literatury, historii, a kończąc na naukach przyrodniczych, astronomii, logice matematycznej.

Julia nie zdawała sobie oczywiście sprawy z tego, iż jej nauczyciel jest człowiekiem tak wszechstronnie wykształconym, a znowu on nie przypuszczał, że ma do czynienia z całkowitą ignorantką.

Nigdy nie była zbyt żądna wiedzy, a ten niewielki zasób wiadomości, zdobytych w szkole i na pierwszym roku uniwersytetu, zatarł się w jej pamięci już w pierwszym małżeństwie. Marek reprezentował nauki techniczne i poza budową mostów nic go nie interesowało. Henryk także był inżynierem i także nie miał czasu na zgłębianie wiedzy humanistycznej. Nie mając żadnego bodźca zewnętrznego, Julia bardzo prędko zawężyła krąg swych zainteresowań do

nowinek ze świata mody i plotek towarzyskich. Najchętniej oglądała w kinie westerny i czytała wyłącznie powieści kryminalne. Żyła w rozkosznej nieświadomości otaczającego ją świata i jego spraw, z rozbrajającą naiwnością zadając krępujące nieco pytania. Robiła to zresztą z takim wdziękiem i z tak czarującym, niefrasobliwym uśmiechem, że nikt jej nie miał tego za złe, nikt się specjalnie nie dziwił. Po prostu z całą życzliwością wyjaśniano jej, co, jak i dlaczego. Czasami ktoś był lekko zażenowany, ona – nigdy. Jeżeli czegoś nie wiedziała, to pytała, wyznając zasadę, że kto pyta, nie błądzi.

Reiting szybko zorientował się w brakach wykształcenia swej uczennicy. Początkowo jednak nie reagował na to, czekając cierpliwie, aż młoda kobieta oswoi się z jego brzydotą. Siedział w półmroku i mówił swym niskim, głębokim, bardzo sugestywnym głosem, którym umiał operować jak rutynowany aktor.

Czas mijał, a Julia nie rezygnowała z lekcji angielskiego. Przeciwnie, stawiała się coraz śmielsza. Przestała się bać, zaczynała coraz swobodniej rozmawiać ze swym nauczycielem, pytać go o różne rzeczy. Tłumaczył jej łagodnie, cierpliwie, z ogromną wyrozumiałością. Nigdy się niczemu nie dziwił, nigdy nie narzucał się ze swym zdaniem. Był zawsze delikatny, taktowny, ostrożny.

Wreszcie nie zwracała już uwagi na jego brzydotę. Widziała tylko oczy mądre, myślące, pełne dobroci. Bo Błażej Reiting nie miał w sobie ani cienia złośliwości czy goryczy. Swoje kalectwo, przyjmował z godnym podziwu spokojem i nie zazdrościł ludziom urody. Zbyt dużo w nim było z prawdziwego filozofa i zbyt wielkoduszne miał usposobienie. Trudno było sobie wyobrazić, jak ten człowiek, straszliwie przecież skrzywdzony przez naturę, potrafi szczerze cieszyć się życiem, być tak pogodnie, tak życzliwie nastawiony do otaczającego go świata. A może wiedział, że gdy przyjdzie starość, tragedia pięknie zbudowanych ludzi zostanie mu oszczędzona?

Nigdy nie będzie rozmyślał, jakim to kiedyś był wspaniałym mężczyzną i co z tych wspaniałości zostało. Nie groziła mu utrata urody i sprawności fizycznej. To też było coś warte. Poza

tym kochał książki i nie posiadał się z radości, kiedy mógł swe zbiory powiększyć o nowy, ciekawy egzemplarz.

Julia polubiła lekcje angielskiego. Z czasem przerodziły się one w wielogodzinne rozmowy o literaturze, filozofii, malarstwie. Ten dziwny, bardzo mądry człowiek odsłaniał przed nią nowy, nieznaną świat. Mówił o rzeczach, o których dotychczas nie miała pojęcia, rozbudzał zainteresowania, roztaczał barwne obrazy minionych stuleci. A opowiadał z olbrzymią swadą i tak sugestywnie, że słuchała tego wszystkiego jak najpiękniejszej bajki, nie zdając sobie sprawy z upływających godzin. Późno wracała do domu, rozgorączkowana, na wpół przytomna. Szybko zjadała kolację i nie mogła doczekać się chwili, kiedy będzie mogła położyć się do łóżka i czytać książkę otrzymaną od Błażeja Reitinga. W końcu doszło do tego, że nie wyobrażała już sobie życia bez rozmów z nim. Czas pomiędzy jedną lekcją a drugą dłużył jej się w nieskończoność. Z niecierpliwością czekała na wtorek i na piątek. Kiedy już była na Smolnej, przyspieszała kroku, a ostatnie kilkadziesiąt metrów, dzielące ją od domu, w którym mieszkał garbaty nauczyciel, prawie biegła.

Pasławski, pomimo licznych zajęć, spostrzegł wreszcie, że z jego żoną dzieje się coś niedobrego. Zaczął jej się uważniej przyglądać i któregoś dnia spytał:

— Julio, co ci jest? Czy może źle się czujesz?

— Nie, nie - odpowiedziała pośpiesznie. - Czuję się zupełnie dobrze. Nic mi nie jest. Naprawdę.

Nie nalegał, ale po kilku dniach znowu wrócił do tego tematu. Wieczorem przyszedł do jej pokoju. Leżała w łóżku i czytała książkę.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — powiedział. Odłożyła „Ucztę” Platona i podniosła głowę. W jej oczach pojawił się niepokój.

— Słucham cię?

— Pasławski dojrzał zmieszanie w spojrzeniu żony, ale nie zrobił na ten temat żadnej aluzji.

Czyżby mnie zdradzała? — pomyślał i poczuł gwałtowny, ostry ból. Wprawdzie, żeniąc się z dziewczyną młodszą od

siebie o dwadzieścia kilka lat, był przygotowany na to, że kiedyś to nastąpi, że w pewnym momencie Julię pociągnie urok młodości, ale łatwiej jest wyrozumować sobie coś, co ma nastąpić w jakiejś nieokreślonej przyszłości, aniżeli stanąć wobec konkretnej sytuacji. Zapalił papierosa.

– Powiedz mi szczerze, czy coś się zmieniło?

– Co się miało zmienić?

– No... między nami.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Dlaczego przypuszczasz, że coś się między nami zmieniło?

Patrzył na nią uważnie. Zgniół w palcach nie wypalonego papierosa.

– Bo widzisz... zauważyłem, że... że jesteś ostatnio jakaś dziwna, jakaś nieswoja. Unikasz mnie. Robisz wrażenie zdenerwowanej, roztargnionej. Często nie słuchasz tego, co mówię. Powiedz mi szczerze, o co chodzi. Pamiętasz, że kiedyś obiecywaliśmy sobie niczego nie taić, zawsze mówić prawdę, nawet gdyby ta prawda miała być bolesna.

– Ależ, Henryku, zapewniam cię, że nic się nie stało. Nie mam przed tobą żadnych tajemnic. Wszystko jest tak jak dawniej.

Wstał.

– No, jeżeli tak, to w porządku. Dobranoc, kochanie. – Pocałował żonę delikatnie w policzek i wyszedł z pokoju. Nie był przekonany o szczerości jej słów.

Od tej rozmowy upłynęło kilka tygodni. Julia regularnie uczęszczała na lekcje angielskiego, ale na tych lekcjach coraz mniej mówiło się o ojczystym języku Szekspira. Zbyt zaczęły ją pasjonować problemy związane z literaturą, z filozofią, z psychologią, aby miała tracić czas na wykuwanie słówek i prawideł gramatycznych. Stała się, niespodziewanie dla samej siebie, żadna wiedzy i z ogromną zachłannością chłoneła wszystko, co mówił ten niezwykle człowiek. Początkowo nie zdawała sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, a potem nie miała już sił, żeby się z tego wydobyć. Reiting wywierał na nią przemożny wpływ swą rozległą wiedzą, swą mądrością i swym urzekającym aksamitnym, głębokim głosem. Wiedział o

tym i podniecała go ta władza, jaką powoli nad nią zdobywał. Zaczął aranżować te wykłady, reżyserował ich spotkania, wykorzystywał swe zdolności aktorskie. Mówił niezwykle sugestywnie, starannie dobierał tematy.

Siedziała godzinami na Smolnej, zasłuchana, nieprzytomna. Nie mogła się zdecydować na to, żeby wstać i pójść do domu. A kiedy wreszcie wracała do siebie na Mokotów, była zamyślona, czasem smutna, a czasem przesadnie wesoła.

Trudno jej było skupić się nad sprawami życia rodzinnego. Gosposi wydawała nie zawsze sensowne polecenia, pytania dzieci zbywała pośpiesznie byle czym, a na Henryka patrzyła z roztargnieniem. Na próżno usiłował zainteresować ją projektem nowego gmachu czy niezwykle nowoczesną konstrukcją hali maszyn. Z trudem zdobywała się na wysiłek, żeby nie okazać się nieuprzejmą.

Przychodziły dni, kiedy pojawiały się wyrzuty sumienia. Wtedy uświadamiała sobie, że zaniedbuje dzieci, męża, dom, że wizyty u Reitinga zaczynają zagrażać jej szczęściu rodzinnemu, o którym przecież tyle lat marzyła. Pierwsze małżeństwo było jednym wielkim nieporozumieniem. Młodzieńcza, bezkrytyczna miłość. Marek poza urodą i ogromnym wdziękiem nie dysponował niczym, co by go mogło predysponować na solidnego ojca rodziny. Lekkomysłny, lubiący pić i grać w karty, nie miał najmniejszego poczucia odpowiedzialności. Bez zastanowienia wydawał pieniądze, nie licząc się z nikim ani z niczym. Działał wyłącznie pod wpływem przelotnego kaprysu. Przeżyła z nim koszmarnych pięć lat. Kiedy w jej życiu pojawił się Henryk, była szczęśliwa. Spokojny, solidny, dobrze sytuowany starszy pan ofiarował jej to wszystko, o czym od dawna marzyła – spokój, stabilizację, dostatek. Marek zgodził się na rozwód, nie robił żadnych trudności, oddał jej dziecko. Nowe, szczęśliwe życie.

A teraz czuła, że wszystko zaczyna się komplikować. Zdawała sobie sprawę z całego bezsensu tej sytuacji. Nie mogła przecież dopuścić do tego, żeby rozmowy z Błażem Reitingiem popsuły jej małżeństwo.

Paślowski przez dłuższy czas usiłował wmawiać w siebie, że

zachowanie żony spowodowane jest chwilowym zdenerwowaniem czy przejściową niedyspozycją. Wreszcie jednak doszedł do wniosku, że Julia ma kogoś i że lekcje angielskiego są pretekstem do odwiedzania kochanka. Któregoś dnia po obiedzie powiedział:

– Wydaje mi się, że już na tyle opanowałaś angielski, że możesz przerwać lekcje u pana Reitinga.

Zauważył, że bardzo się zmieszała. Nie miał już teraz wątpliwości, że jego podejrzenia były uzasadnione.

– Chciałabym jeszcze chociaż ze dwa miesiące pochodzić na lekcje.

Wzruszył ramionami.

– No, cóż... Jak uważasz. Sądzę jednak, że znajomość języka angielskiego mogłabyś pogłębiać w domu. Mam także wrażenie, że ostatnio wcale nie zajmujesz się dziećmi. Gosposia wprawdzie jest osobą wykwalifikowaną i odpowiedzialną, ale nie byłoby chyba źle, żeby i matka od czasu do czasu zainteresowała się dziećmi.

Nazajutrz był piątek. Julia ze ściśniętym sercem szła na Smolną.

Więc to już koniec – myślała. – Trzeba będzie zrezygnować z tego, co w ostatnich czasach stało się treścią mego życia.

Reiting jak zwykle przywitał ją miłymi, pełnymi serdeczności słowami. Poszli do pokoju i Julia usiadła na swoim miejscu przy małym biureczku. Nagle zaczęła płakać jak skrzywdzone dziecko. Nie mogła się opanować. Płakała coraz głośniejsze, coraz gwałtowniej.

Przestraszył się. Nie wiedział, jak się ma zachować wobec płaczącej kobiety.

– Dlaczego? Co się stało? Dlaczego pani płacze? Proszę się uspokoić. Proszę nie płakać – powtarzał bezradnie. Miał ochotę pogłodzić ją uspokajająco po głowie, ale zrezygnował z tego.

– Nie będę mogła do pana przychodzić – powiedziała cicho.

– Mój mąż chce, żebyś skończyła lekcje angielskiego. Uważa, że się już dosyć nauczyłam.

– A pani...?

— Ja...? Ja chciałabym przychodzić tutaj, tak jak dawniej... — Odwróciła głowę i dlatego nie zobaczyła, że twarz garbusa rozpromieniła się nieopisaną radością. Triumfował.

Ona chce do mnie przychodzić... — myślał wzruszony. — Płacze, bo chce mnie widywać! — W najśmielszych marzeniach nigdy nie przypuszczał, że ktoś może rozpaczać dlatego, że nie będzie go widywać.

— Lekcje możemy oczywiście skończyć, jeżeli mąż pani życzy sobie tego. To są rzeczy dość kosztowne. Doskonale rozumiem. Ale jeżeli pani będzie miała kiedyś ochotę przyjść do mnie na pogawędkę, to proszę bardzo. Zawsze będzie pani u mnie mile widzianym gościem. Proszę przychodzić jak do starego przyjaciela. Spraw mi pani przyjemność swoimi odwiedzinami.

Tak się też stało. Po kilku tygodniach Julia oficjalnie przerwała lekcje angielskiego, ale na Smolną chodziła w dalszym ciągu. Teraz rozmowy z Błażem Reitingiem nabrały trochę innego charakteru, miały w sobie coś z zakazanego owocu, a zakazany owoc zawsze jest czymś ekscytującym.

Paślawski nie wiedział o tym, że jego żona w dalszym ciągu odwiedza swego nauczyciela i jej znikanie z domu pod byle jakim, nie zawsze przekonywającym, pretekstem inaczej sobie tłumaczył. Raz zrodzona niepewność zaczęła rosnąć, nabierać realnych kształtów, działać na wyobraźnię. Męczył się. Nie miał już spokojnych dni ani nocy. Ze ściśniętym sercem czekał na ten moment, kiedy Julia powie, że wychodzi i że trochę później wróci.

Przestał ją pytać, dokąd idzie. Po co miał ją zmuszać do tych idiotycznych kłamstw? Wiedział, że prawdy i tak się nie dowie. Wreszcie przemógł w sobie wszystkie opory i zaczął ją śledzić. Bez trudu zorientował się, dokąd Julia chodzi. Za pierwszym razem przypuszczał, że może poszła odnieść należność za lekcje. Ale kiedy parokrotnie zobaczył ją znikającą w bramie na Smolnej, zaniepokoił się i przeraził. Czyżby Julia i ten garbus?...

Odtąd dręczące, obsesyjne myśli nie opuszczały go ani na chwilę. Wyobrażał sobie nieprawdopodobne sceny, pod

wpływem których kroplisty pot występował mu na czoło.

Wreszcie zdecydował się porozmawiać z Julią. Któregoś wieczoru, kiedy dzieci poszły spać, spytał:

- Czy ty już nie chodzisz na angielski?
- Nie. Przecież życzyłeś sobie, żebym przerwała lekcje.
- I nie widzisz się z panem Reitingiem?
- Po cóż miałabym się z nim widywać?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Sądziłem, że może czasem go odwiedzasz.

Wiedziała, że lepiej powiedzieć prawdę, czuła to zupełnie wyraźnie. Ale jakaś niezrozumiała przekora kazała jej skłamać.

- Nie, nie odwiedzam go. Nie pojmuję, dlaczego o to pytasz.
- Tak sobie. Dobranoc.

Na drugi dzień zaraz po obiedzie, Paślawski pojechał na Smolną.

Reiting był sam. Ze zdziwieniem spojrzął na nieoczekiwanego gościa. Nie dał jednak poznać po sobie, że jest zaskoczony tymi odwiedzinami i uśmiechnął się uprzejmie.

- Proszę, pan będzie łaskaw, panie inżynierze.

Kiedy usiedli, Paślawski spytał:

- Czy nic już nie jestem panu winien za lekcje mojej żony?
- Nie. Wszystko dawno zostało uregulowane. Pańska małżonka jest wyjątkowo zdolna do języków. Zrobiła duże postępy.

Paślawski zapalił papierosa i przez chwilę obracał w palcach zapalniczkę. Usiłował zapanować nad zdenerwowaniem.

- Czy moja żona odwiedza pana teraz?
- Tak. Pani Julia przychodzi tu od czasu do czasu.
- Na lekcje angielskiego?
- Nie. Lekcje skończyliśmy, tak jak pan sobie tego życzył.
- Wobec tego w jakim celu widuje się pan z moją żoną?

Chciałbym to wiedzieć.

W oczach garbusa pojawiły się wesołe błyski. Nagle wybuchnął gardłowym, hałaśliwym śmiechem.

- Ha, ha, ha...! Czyżby pan był zazdrosny? Nie mogę wprost uwierzyć we własne szczęście! Po raz pierwszy w życiu spotykam kogoś, kto byłby zazdrosny o mnie. Pochlebia mi

pan, panie inżynierze.

Paślawski wstał. Był bardzo blady.

– Nie podobają mi się pańskie żarty! I proszę zostawić moją żonę w spokoju! Rozumie pan?!

Reiting milczał.,

– Żądam stanowczo, żeby pan przestał widywać się z moją żoną! – krzyknął Paślawski i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Był tak wzburzony, że nie wiedział, kiedy się znalazł na ulicy. Nie mógł się uspokoić. Ciągłe widział wykrzywioną szyderczym śmiechem twarz Reitinga.

To pokraczne bydlę kpi ze mnie! – myślał z wściekłością.

Dopiero na Marszałkowskiej zaczął się trochę uspokajać. Próbował przekonać sam siebie, że to przecież nieprawdopodobne, żeby jakakolwiek kobieta mogła zainteresować się mężczyzną o takim wyglądzie. Czyż to możliwe, żeby Julia...?

Wstąpił do „Niespodzianki”. Pijąc kawę starał się trzeźwo spojrzeć na sytuację. Tłumaczył sobie, że to kompletny nonsens, żeby on, Henryk Paślawski, był zazdrosny o tego człowieka. Im dłużej jednak rozmyślał nad paradoksalnością takiego uczucia, im energiczniej usiłował wyperswadować je sobie, tym bardziej rósł jego niepokój.

Jeżeli muszę przekonywać sam siebie o tym, że Julia nie jest jego kochanką – myślał – to znaczy, że taką możliwość uważam za prawdopodobną. Któż zresztą może przewidzieć, do czego zdolna jest kobieta?

Wrócił do domu podniecony, zdenerwowany, pełen najgorszych przeczuc.

– Gdzie pani? – spytał, zdejmując palto.

– Pani wyszła z dziećmi na spacer – odpowiedziała gosposia.

Odetchnął z ulgą. Wiadomość, że Julia poszła z dziećmi na spacer, wydała mu się w tej chwili czymś niezwykle kojącym. Może jednak wszystko się jakoś ułoży, może przestanie widywać się z Reitingiem? Jego podejrzenia były w gruncie rzeczy zupełnie bezsensowne.

Tego wieczoru starał się być niezwykle serdeczny i czuły dla

Julii. Udało mu się nawet wywołać uśmiech na jej zamyślonej twarzy. Usiłował wesołością zagłuszyć nurtujący go niepokój. Nastawił telewizor, wyjął z baru koniak. Mówił rzeczy miłe, żartował, opowiadał dowcipy.

Patrzyła na niego ze zdziwieniem. Już bardzo dawno nie widziała go takim. W jego zachowaniu wyraźnie czuła sztuczność. Wiedziała, że pragnie ją sobie pozyskać. Piła koniak, oglądali razem telewizję, pozwalała się emablować.

A nazajutrz znowu poszła na Smolną.

Reiting początkowo postanowił nie mówić jej o wizycie męża. Bał się, że się przestraszy i że więcej nie przyjdzie. A przecież bardzo chciał, żeby przychodziła. Odwiedziny Julii stały się dla niego czymś więcej aniżeli zwykłą, towarzyską pogawędką. Z dumą obserwował jej nieustanny rozwój intelektualny. On to sprawił, on rozbudził w niej żądzę wiedzy, ukształtował jej umysł. Była jego Galateą.

Ale uczucie związane z osobą Julii nie ograniczało się do dumy, do zaspokojenia miłości własnej pedagoga i nauczyciela. Zaczął czekać na nią jak na kobietę. I chociaż pozornie nic się w ich stosunkach nie zmieniło, chociaż zawsze był tak samo oficjalnie uprzejmy, to jednak pojawił się jakiś nowy, początkowo niedostrzegalny element, który zmienił charakter spotkań w mieszkaniu przy ulicy Smolnej. Zmiana ta wiązała się ściśle z przerwaniem lekcji angielskiego.

Pasławski popełnił duży błąd. Z chwilą bowiem kiedy Reiting przestał być nauczycielem, pewne hamulce wynikające z rutyny zawodowej osłabły, a fakt, że Julia znajdowała przyjemność w obcowaniu z nim, że w tajemnicy przed mężem przychodziła do jego mieszkania, stwarzał zupełnie nowe aspekty ich znajomości.

Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że nie powiedziec byłoby nieuczciwym posunięciem w tej grze.

— Był u mnie pani mąż.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

— Henryk? Czego chciał?

— Zażądał kategorycznie, żebyśmy się przestali widywać.

— A pan?...

Wzruszył ramionami.

— Cóż ja?... Uśmiełem się.

— Dlaczego pan się śmiał?

— Dlatego, że mnie to ogromnie ubawiło. Pani mąż zrobił mi taką awanturę, jakbym był pani kochankiem. Przecież to bardzo zabawne. Nie sądzi pani?

Odwróciła głowę.

Dlaczego mężczyźni są tak beznadziejnie głupi?

— pomyślała. — Dlaczego Henryk sam stwarza nastrój, którego dotychczas nie było?

— Co pani myśli o tym wszystkim? Czy wobec tych komplikacji ma pani zamiar nadal mnie odwiedzać?

— Nie wiem... Nie wiem — powiedziała bardzo cicho. — Boję się, że Henryk... Mam dzieci, dom, rodzinę, nie mogę...

Uśmiechnął się.

— Dlatego też uważam, pani Julio, że będzie lepiej, jeśli przestaniemy się widywać. Nie kryję, iż sprawi mi to dużą przykrość, ale chyba nie ma innego wyjścia.

— Czy rzeczywiście nie ma innego wyjścia?

— Sądzę, że nie. Nie mogę przecież rozbijać pani małżeństwa. Cóż mógłbym w zamian ofiarować? Ten garb, który mi wyrósł na plecach i który podobno przynosi szczęście temu, kto go dotknie.

— Proszę tak nie mówić... Błagam pana. Pan doskonale wie, ile mu zawdzięczam. Przy pana pomocy stałam się innym człowiekiem. Pan sprawił cud. Pan nauczył mnie myśleć, rozumieć świat, kochać piękno. Pan mnie na nowo stworzył!

Roześmiał się.

— Nie przesadzajmy, pani Julio. Pani jest osobą bardzo zdolną.

— Wszystko panu zawdzięczam, wszystko! Doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

— Miło mi to słyszeć, ale niech pani do mnie nie przychodzi. Nie chciałbym komplikować pani życia. Proszę do mnie czasem napisać parę słów.

Pożegnali się. Postanowili, że już się nigdy więcej nie zobaczą. Upłynęło jednak kilka tygodni i Julia przyszła znowu.

Nie zdziwił się ani nie okazał radości. Przywitał ją tak jak dawniej, kiedy przychodziła na lekcje angielskiego.

Nie mówili już o Henryku, o życiu rodzinnym Julii. Rozmawiali, jak dawniej, o literaturze, o malarstwie, o teatrze, o filozofii, ale dawniej nie było na stoliku świeżych kwiatów ani kieliszków napełnionych winem. Dawniej nauczyciel angielskiego nie mówił o jej urodzie, a teraz mówił, wprawdzie bardzo dyskretnie, ostrożnie, operując poetycznymi metaforami, ale nie ulegało wątpliwości, że rozstał się z rolą obojętnego, bezpłciowego pedagoga.

Julia wiedziała, że gra jest niebezpieczna. W chwilach trzeźwej rozważki przysięgała sobie, że to był już ostatni raz, że nigdy więcej... Ale kiedy mijało kilka dni, tęsknota za rozmową z „garbatym Pigmalionem”, jak go w duchu nazywała, stawiała się tak silna, że wbrew rozsądkowi szła do mieszkania przy ulicy Smolnej.

Błażej Reiting żył oczekiwaniem. Wprawdzie nie pozwolił sobie na żaden śmielszy gest ani na żadną dwuznaczną aluzję, ale nabrał pewności siebie, uwierzył, że coś znaczy dla tej kobiety.

O mężu Julii nie rozmawiali nigdy, tak jakby w ogóle nie istniał. Na skutek milczącego porozumienia żadne z nich nie wymawiało jego imienia. A przecież inżynier Paślawski nie tylko istniał, ale i cierpiał.

Schudł, zmizerniał, nie spał po nocach, stracił ochotę do pracy i życia. Parokrotnie śledził Julię i miał już teraz pewność, że z Reitingiem łączą ją intymne stosunki. Początkowa apatia i rezygnacja poczęła przeradzać się we wściekłość. Któregoś wieczoru, kiedy Julia wróciła od Błażeja Reitinga, spytał z trudem opanowując wzburzenie:

— Znowu byłaś u tego garbusa?

Agresywny ton i groźna postawa Henryka przeraziły ją. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim nastroju. Czowała, że nie ma sensu kłamać.

— Byłam u pana Reitinga — powiedziała cicho i pośpiesznie wycofała się do swego pokoju. Poszedł za nią.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

Julia postanowiła zaatakować:

– Co się z tobą dzieje?! Co ty wyprawiasz?! Opanuj się! – krzyknęła piskliwym, nieswoim głosem.

Pchnął ją na tapczan.

– Co cię łączy z tym człowiekiem? Gadaj!

– Henryku, na miłość boską, nie przypuszczasz chyba, że ja i Reiting?...

– Właśnie to przypuszczam. Po co chodzisz do niego? Przecież skończyliście lekcje.

– My... my rozmawiamy.

Paślawski zaczął się śmiać. Śmiał się tak długo, aż twarz mu poczerwieniała i oczy zaszyły łzami.

– Widzę, że uważasz mnie za idiotę – powiedział poważniejąc nagle. – Chcesz we mnie wmówić, że chodzisz do tego garbusa tylko po to, żeby sobie porozmawiać.

– Ależ Henryku, zapewniam cię, że tylko po to tam chodzę. To jest człowiek niezwykle interesujący, inteligentny, wykształcony. Rozmawiamy o muzyce, o malarstwie, o filozofii, o literaturze.

– O literaturze? – Paślawski przez chwilę z nienawiścią przyglądał się żonie. Usiadł ciężko na krześle i zapalił papierosa. Widać było, że usiłuje się opanować. – Słuchaj, Julio, ja już nie jestem młodzikiem i mnie na takie kłamstwa nie nabierzesz. To się musi skończyć! Rozumiesz?! Musisz przestać tam chodzić. Nie zniosę dłużej tej sytuacji. Jeżeli w dalszym ciągu będziesz utrzymywała stosunki z Reitingiem, zabiję ciebie i jego. Ostrzegam cię. – Wstał i wyszedł powolnym krokiem człowieka bardzo zmęczonego.

Przez następne trzy tygodnie Julia nie poszła do Reitinga. Bała się. W słowach Henryka usłyszała prawdziwą groźbę.

Ale upływające dni poczęły zacierać wrażenie, jakie wywarła na niej ta rozmowa. Znowu pojawiła się tęsknota. Teraz wyprawa na Smolną połączona była z dreszczem emocji, z uczuciem grożącego realnego niebezpieczeństwa. Nie tylko jednak niebezpieczeństwo stało się elementem zwiększającym atrakcyjność tego przedsięwzięcia. Dotychczas nie traktowała Błażeja Reitinga jak mężczyzny. To, co usłyszała od Henryka,

dało jej dużo do myślenia. Romans z człowiekiem tak przerażająco brzydkim wydał jej się czymś niesłychanie ekscytującym. Dlaczegoż by nie?... Przecież Henryk i tak już jest przekonany o tym, że ona i Reiting...

Nie mogła opędzić się od tych natrętnych, obsesyjnych myśli. Usiłowała zająć się czym innym. Chodziła do teatru, do kina, urządziła przyjęcie dla przyjaciół. Wszystko na próżno. Zrozumiała w końcu, że musi go zobaczyć. W najbliższy piątek pojechała na Smolną.

Rozdział 3

Leżał zasłuchany w rytmiczny stukot kół. Przez melodię pędzącego pociągu przewijał się refren piosenki, którą żartobliwie śpiewał na dworcu: „A riwederci, Roma”. Do widzenia czy żegnaj na zawsze?

Z Wiecznego Miasta wywoził dużo wrażeń, ale i dużo rozczarowań. Wszystkie usiłowania, żeby stworzyć tu sobie nową egzystencję, spełżyły na niczym. Okazało się, że to nie taka prosta sprawa. Gdyby był wykwalifikowanym mechanikiem samochodowym czy specjalistą od produkcji wina, może prędzej udałoby mu się znaleźć pracę. Ale literat i to literat bez wyrobionego nazwiska... Takich ludzi z aspiracjami artystycznymi błąka się po świecie .tysiące. Tylko nieliczne jednostki wybijają się z tłumu, zdobywają sławę i pieniądze. Pozostali albo giną w nędzy, albo decydują się występować w roli kelnera lub pracownika stacji benzynowej. A on nie był nawet literatem. Nie umiał pisać, a właściwie nie wiedział, czy umie. Nigdy nie próbował.

Zamknął oczy. Widział pełne słońca, wesołe ulice i kolorowe dziewczęta. Musi tu wrócić, musi, za wszelką cenę. Nie będzie żył tylko wspomnieniami. Nie ograniczy się do oglądania fotografii w swej warszawskiej kawalerce. Znajdzie Ganzettiemu tę dziewczynę, żeby ją nawet miał wykopać spod ziemi. Regina powiedziała na pożegnanie:

— Zakręć się koło tej sprawy. Roberto dużo może, może nawet na własny koszt nakręcić film. Jeżeli przywieziesz mu tę

jego ukochaną, na pewno postara się urządzić cię tutaj. Bądź dobrej myśli. Wierzę, że ją odzujesz.

Nie mógł zasnąć. Wstał i wyszedł na korytarz. Za oknem była noc. Zapalił papierosa i zapatrzył się w ciemność.

A jeżeli ona jest mężatka? – myślał. – Jeżeli ma męża, dzieci, zorganizowane życie i jeżeli nie będzie chciała przyjechać do Rzymu?

Przecież każda normalna dziewczyna już dawno skorzystałaby z zaproszenia. Perspektywa wizyty u włoskiego bogacza była chyba wystarczająco ponętna. Dlaczego nie chce zaryzykować? Ryzyko właściwie żadne. Nie może jej przecież zmusić do małżeństwa. Zwiedziłaby Italię, powiedziała by staremu parę miłych słów i spokojnie mogłaby wrócić do Warszawy. Czyżby się bała, że to jakiś podejrzany typ, handlarz żywym towarem? Ależ mogła bez trudu zasięgnąć o nim informacji. Zarówno w ambasadzie włoskiej, jak i w ambasadzie polskiej w Rzymie powiedzieliby jej, kto to jest Roberto Ganzetti. To nie było wcale skomplikowane. Nawet gdyby miała męża i tak mogła być do tej pory zorganizować sobie jakoś wyjazd do Włoch, choćby z wycieczką „Orbisu”. Dla takiego faceta jak Ganzetti warto się rozwieść. Przecież to ogromna forsa, spokój na całe życie.

Nadaremnie Boner usiłował drogą trzeźwego rozumowania dociec, co było przyczyną dziwnego postępowania pięknej Julii. Żadna jednak koncepcja nie wydawała mu się prawdopodobna. Wreszcie doszedł do wniosku, że ma do czynienia ze zwykłym kobiecym kaprysem, który okazał się silniejszy od wszystkich pokus. Ukochana Ganzettiego bawiła się najwidoczniej tym korespondencyjnym flirtem i tajemniczość sytuacji była dla niej bardziej atrakcyjna od korzyści materialnych, płynących z nawiązania osobistego kontaktu z zagranicznym milionerem. Ich listy miłosne już od dwóch lat przebywały drogą lotniczą z Warszawy do Rzymu i z Rzymu do Warszawy. Na pytanie, dlaczego sam dotychczas nie wybrał się do Polski, Ganzetti dawał niejasne odpowiedzi, z których Boner wywnioskował, że wchodzi tu w grę jakieś przeszkody natury politycznej i że signor Roberto nie chce się narazić na odmowę wizy wjazdowej

do Polski.

Tak czy inaczej dziewczynę trzeba było znaleźć za wszelką cenę. I to nie tylko znaleźć, ale także nakłonić do zagranicznej wycieczki. Co do tego Boner był dobrej myśli. Wierzył w swe powodzenie u płci pięknej i w swą zdolność przekonywania kobiet. Był bardzo interesującym, eleganckim panem, a siwiejące na skroniach włosy dodawały mu uroku, podkreślając znakomicie charakterystyczne rysy pociągłej, śniadej twarzy.

Tak był pogrążony w swych rozmyślaniach, że dopiero po pewnym czasie zauważył stojącą przy sąsiednim oknie dziewczynę. Nie była specjalnie ładna, ale reprezentowała ten typ urody, który mężczyźni określają potocznie: „atrakcyjna babka”. Miała ciemne, leciutko skośne oczy, mocno zarysowane kości policzkowe i pełne, zmysłowe usta. Czarne, lśniące włosy, upięte wysoko, tworzyły niezwykle dekoracyjny ornament dla jej nieco egzotycznej, ciekawej głowy.

Boner odruchowo obciągnął na sobie szlafrok, który dostał w prezencie od siostry, przyglądził czuprynę i ze śmiałym zainteresowaniem spojrzał na towarzyszkę podróży.

Nie spieszyła się. Wyjęła papierosa i poprosiła o ogień. Nawiązała się od razu lekka, swobodna rozmowa. Okazało się, że „wschodnia piękność” mieszka w Poznaniu, że nazywa się Sylwia Tworowska i że jest z zawodu dziennikarką. Wracala z Wenecji, dokąd zaprosili ją jacyś dalecy krewni.

— Zebrałam masę ciekawych materiałów — powiedziała z zapałem. — Mam zamiar wydać tom reportaży. Co pan o tym myśli?

— Sądzę, że inicjatywa jak najbardziej godna pochwały — uśmiechnął się Boner.

— A pan co porabiał w słonecznej Italii?

— Także odwiedzałem rodzinę.

— Czy odwiedzanie rodziny to jedyne pańskie zajęcie?

Boner zawahał się. Doszedł jednak do wniosku, że byłoby rzeczą niebezpieczną na terenie Polski odgrywać rolę „znakomitego” literata.

— Czy nie sądzi pani, że odwiedzanie bogatej rodziny to wcale niezły zawód? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Owszem, uważam, że to zupełnie dobra profesja. Są tylko dwa „ale”. Po pierwsze bogata rodzina łatwo może przestać być bogatą, a po drugie – kochani krewni mogą się w pewnym momencie zniechęcić do przysyłania zaproszeń. Jak więc widać, ryzyko jest spore.

Roześmieli się i zaczęli rozmawiać o słonecznej Italii. Sylwia po raz pierwszy w życiu widziała Wenecję i pozostawała pod przemożnym urokiem tego pełnego romantyzmu miasta. Opowiadała o Canale Grande, o gondolach, o gondolierach i o nastrojowych piosenkach. Poszła do swojego przedziału i przyniosła albumy z fotografiami.

– Niech pan spojrzy, ile tego napstrykałam – pochwaliła się.
– Będzie czym ilustrować artykuły. A pan robił jakieś zdjęcia? Niech pan pokaże! Nie byłam w Rzymie. To wszystko tak krótko trwało... Zal mi było wyjeżdżać z Wenecji i tracić czas na zwiedzanie innych miast. Następnym razem pojedę do Rzymu. Niech pan pokaże swoje zdjęcia. Bardzo proszę!

Nie miał tego dużo. Z szerokiej szarej koperty wyjmowała fotografie, które porobił aparatem Ludwika. Z ogromnym zainteresowaniem oglądała zdjęcia z Rzymu i zdecydowała, że jednak koniecznie musi tam pojechać.

W pewnym momencie z koperty wypadła fotografia ukochanej Ganzettiego i nim Boner zdążył temu przeszkodzić, Sylwia chwyciła ją szybkim ruchem.

– Dlaczego pan nie chciał mi pokazać tego? – spytała ze śmiechem.

– Nie, nie podobnego. Po prostu to nie ma nic wspólnego z Rzymem – tłumaczył się niezręcznie.

– Ładna dziewczyna – powiedziała. – Ale chyba nie Włoszka.

– Nie.

– Najdroższa pana?

– Niezupełnie.

Nie zwracała uwagi na jego niechętnie odpowiedzi i ciągle przyglądała się fotografii.

– Bardzo efektowna. Wygląda na aktorkę filmową. Ale to chyba nie jest zdjęcie z natury.

– Jak to nie z natury?

– No tak. Niech się pan dobrze przyjrzy. To dobrze wykonana reprodukcja z jakiejś innej fotografii.

– Skąd pani tak się na tym zna? – spytał Boner, z zainteresowaniem oglądając zdjęcie pięknej Julii. – Wydaje mi się, że to, co pani mówi, jest prawdopodobne.

– Ależ oczywiście! Nie tylko prawdopodobne

– zupełnie pewne! Sama dużo fotografuję, a poza tym mój brat jest fotoreporterem. Rodzinne zamiłowania, rozumie pan...

– Czy brat pani mieszka w Warszawie?

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Bo chciałbym nawiązać kontakt z jakimś dobrym fotoreporterem. Jeżeli więc mogłaby pani podać mi adres swego brata...

– Ależ bardzo chętnie. Mój brat bardzo się ucieszy, jeżeli oprócz milej znajomości jeszcze coś zarobi.

Boner wyjął z kieszeni notes, ale nie miał przy sobie długopisu. Sylwia zapisała adres brata swoim piórem.

– Używa pani zielonego atramentu?

– Och, to czysty, przypadek. Sprzedali mi taki w Wenecji. Z moim włoskim nie jest najładniej.

Czy nie sądzi pan, że warto by się trochę położyć? Ostatecznie nie po to płaci się za miejsce sypialne, żeby całą noc przestać na korytarzu.

Boner poszedł do swego przedziału. Wyciągnął się na posłaniu i zamknął oczy, ale sen nie przychodził. Dręczyła go myśl, w jaki sposób odnajdzie tamtą dziewczynę. Nie mógł przecież dać ogłoszenia do gazety ani skorzystać z usług radia czy telewizji. W ogóle nie należało robić zbyt wiele szumu koło całej sprawy. Musiał się także dobrze zastanowić, jak postąpić w wypadku odnalezienia pięknej Julii. Niewykluczone bowiem, że z tej historii wypłyną dodatkowe korzyści. Jakie, tego jeszcze nie wiedział, ale czuł, że coś się tu da pokombinować...

To były jednak dalsze plany. W danej chwili musiał z całą energią zabrać się do szukania tej babki. Rzeczywiście nie zwrócił na to uwagi, że zdjęcie, które otrzymał od Ganzettiego,

nie było robione z natury. Fotografia z fotografii. A może z portretu? Nie, to nie wyglądało na portret. Mogło być natomiast zdjęciem z jakiegoś czasopisma czy książki. Ale dlaczego? Przecież pójście do fotografa to nie taka wielka fatyga.

A jeżeli to zdjęcie sprzed lat? Jeżeli babka jest już teraz mocno podstarzała? Do licha, to byłoby fatalne! Przecież nie może Ganzettiemu przywieźć jakiegoś starego pudła. Może dlatego piękna Julia nie kwapi się z przyjazdem do Rzymu?

Boner tak się zdenerwował, że wstał i znowu wyszedł na korytarz. Było tu zupełnie pusto. Pasażerowie spali. Pociąg dudnił po szynach, wystukując uciekające kilometry.

W końcu na wszystko znajdzie się sposób... Jeżeli to fotografia sprzed dwudziestu, trzydziestu lat, znajdzie babkę podobną, dojdzie z nią do porozumienia i oboje zrobią na szaro tego rzymskiego amanta.

Ale przecież tamta może tymczasem napisać list i popsuje wszystko... Trzeba będzie wziąć to pod uwagę. Ostatecznie każdą sprawę da się załatwić za forszę. Odpali się pomysłowej staruszce trochę dolarów i w porządku.

Psiakrew! To jednak nie było takie proste, jakby się mogło na pozór wydawać!

Przez cały czas podróży Boner był zaabsorbowany tymi myślami. Rozważał coraz to inne ewentualności, obmyślał rozmaite plany działania w zależności od zmiany sytuacji, starał się przewidzieć najbardziej nawet zaskakujące niespodzianki.

Z czarnowłosą Sylwią zaprzyjaźnił się serdecznie. Spędzali długie godziny gawędząc wesoło, urządzali wspólnie zaimprovizowane posiłki, dzielili się wrażeniami wywozonymi ze słonecznej Italii, robili plany na następną wycieczkę. Ani się spostrzegli, jak z okien wagonu zobaczyli Pałac Kultury.

Wymienili adresy i telefony. Sylwia pojechała do brata, a Boner do swojego mieszkania na Hożej.

Przez pierwszych kilka dni tak był zaabsorbowany różnymi sprawami, które na niego czekały w Warszawie, że zapomniał o rzymskich przeżyciach i o tajemniczej nieznanym z fotografii.

Dopiero kiedy ochłonął z nawału zajęć i obowiązków towarzyskich, zaczął zastanawiać się nad najbardziej skutecznym sposobem szukania ideału romantycznego Włocha. Na początek postanowił odwiedzić brata Sylwii.

Karol Tworowski był przystojnym blondynem o bystrych, wesołych oczach i lekko już przeredzonej czuprynie. Niczym nie przypominał siostry i nie sposób było się domyślić, że to rodzeństwo.

— Sylwia opowiadała mi o panu — uśmiechnął się, mieszając kawę. — Muszę nawet panu powiedzieć pod sekretem, że spodobał się jej pan. A to nie taka łatwa sprawa. Moja siostrzyczka jest bardzo wymagającą dziewczyną.

— Miło mi to słyszeć — powiedział uprzejmie Boner. — Pańska siostra jest najbardziej uroczą osobą, jaką mi się zdarzyło spotkać.

Po wymienieniu zdawkowych uprzejmości, Boner powoli naprowadził rozmowę na temat, który go interesował. Dowiedział się, że Tworowski nie jest nigdzie zaangażowany na stałe i pracuje dla rozmaitych wydawnictw i czasopism, fotografuje fabryki, huty, pola uprawne, domy, zwierzęta dzikie i domowe oraz piękne dziewczęta.

Boner zastanawiał się przez chwilę, czy zwierzyć się ze swych kłopotów młodemu człowiekowi, wreszcie jednak zdecydował się pokazać fotografię Julii Alberyckiej.

— Dziewczyna na medal — powiedział ze znanstwem Tworowski. — To pańska sympatia?

Boner uśmiechnął się z udanym zażenowaniem.

— Spodobała mi się. Ale straciłem ją z oczu. Nie wiem, gdzie jej szukać. Mam tylko to zdjęcie. Nie znam nawet jej nazwiska.

— I tak pan jej chce szukać po całej Polsce?

— Chciałbym spróbować.

— To niełatwe zadanie. Takich dziewczuszek jest na pęczki. — Tworowski wziął do ręki fotografię i zaczął jej się uważnie przyglądać. — ładna cizia. Szykowna. Może to jakaś aktorka? Ale wie pan, że to zdjęcie z czegoś robione? To nie z natury-

— Mnie też się tak zdaje — zgodził się Boner.

Chłopak pokręcił głową.

— Tak wygląda, jakby to z jakiegoś czasopisma... Jeśli pan koniecznie chce ją odnaleźć, niech pan przejrzy ostatnie roczniki pism ilustrowanych. Ale to kawałek roboty. Ja osobiście radziłbym panu zainteresować się inną. Po co tyle zachodu? No... chyba że się pan tak cholernie zakochał... W takim razie mówi się trudno i wyrusza się w Polskę w poszukiwaniu ideału. Po czym okazuje się, że to nie taki znowu ideał.

— A pan nigdy nie spotkał takiej dziewczyny?

— Nie. Mam dobrą pamięć, szczególnie jeśli chodzi o ładne buzie, ale tej nie przypominam sobie. Taka efektowna babeczka, że bym ją chyba zapamiętał.

Następną rozmowę Boner przeprowadził w redakcji miesięcznika wydawanego w językach obcych dla zagranicy.

Uprzejmy dziennikarz w dużych ciemnych okularach, za którymi kryło się pytające spojrzenie, udzielił mu wyczerpujących informacji.

— Tak, oczywiście drukowaliśmy artykuł pani Julii Alberyckiej. To był świetnie napisany artykuł i chętnie skorzystaliśmy z niego. Pani Alberycka nigdy u nas w redakcji nie była i żaden z kolegów jej nie widział. Adresu jej także nie mamy. Prosiła w liście, żeby honorarium przekazać w całości na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie. Tak też zrobiliśmy.

— Pisywała jeszcze dla was jakieś artykuły? — spytał Boner.

Dziennikarz potrząsnął głową.

— Nie... to znaczy przysłała kiedyś jakiś materiał, ale nie skorzystaliśmy. Był nawet niezły, tylko że nie możemy drukować artykułów osób, których w ogóle nie widzimy na oczy.

— Nie sądzi pan, panie redaktorze, że Julia Alberycka to jest pseudonim?

— Bardzo prawdopodobne, chociaż głowy bym za to nie dał.

— Czy mieliście jakieś zapytania w związku z tą sprawą?

— Wypytuje mnie pan jak na śledztwie — zauważył cierpko dziennikarz.

Boner roześmiał się.

— Ma pan rację! Trochę to tak wygląda. Mogę pana jednak

zapewnić, że nie jestem z milicji. Chcę się czegoś dowiedzieć o tej pani po prostu dlatego, że jeden z moich przyjaciół zakochał się w niej nieprzytomnie.

— Romantyczna historia.

— Coś w tym rodzaju. Zawróciła chłopakowi głowę i nagle zniknęła. Facet jest zrozpaczony. Chcę mu pomóc i odszukać zgubę.

— Może zmieniła przedmiot swych zainteresowań — uśmiechnął się dziennikarz, nieco ostentacyjnie spoglądając na zegarek. — Ale zaraz... W tej chwili przypominam sobie, że mieliśmy w sprawie pani Alberyckiej list z Włoch czy z Francji... raczej z Włoch. Ktoś się pytał o jej adres. Ale to już było dawno.

— Ma pan znakomitą pamięć, panie redaktorze

— powiedział z uznaniem Boner. Podziękował uprzejmie za rozmowę i wyszedł z redakcji. Był w nie najlepszym humorze. Właściwie niczego się nie dowiedział.

Trudno wyżyć z poszukiwań pięknej dziewczyny. Boner musiał zająć się także sprawami zarobkowymi i przez najbliższe dwa tygodnie zagadnienie zdobycia pieniędzy, niezbędnych do opędzenia najpilniejszych potrzeb, zaabsorbowało go bez reszty. Poszukiwaniem pięknej Julii zajmował się dorywczo i bez żadnego rezultatu. W chwilach wolnych od innych zajęć chodził do kawiarni, do znanych restauracji, do kin i teatrów. Odwiedzał nocne lokale, zaglądał za kulisy opery i operetki w nadziei, że może jakaś baletnica okaże się ideałem Ganzettiego. Było to mało prawdopodobne, bo baletnice nie pisują na ogół interesujących, a nawet pasjonujących artykułów do prasy. Gdzie szukać i jak szukać? Jaką obrać metodę, żeby wpaść choćby na najbardziej nikły ślad?

Mijały tygodnie, miesiące, a Boner nie posunął się w swych poszukiwaniach ani o krok. Zaczynał tracić nadzieję. Odwiedzał wyższe uczelnie, lokale młodzieżowe, całymi godzinami przesiadywał „U Fukiera” czy w „Krokodylu”. Wałęsał się po parkach, chodził na wystawy obrazów, zaglądał do bibliotek publicznych. Wierzył, że wreszcie los się do niego uśmiechnie,

że zobaczy ją gdzieś przypadkowo.

A jeżeli wyjechała z Warszawy? – myślał zgnębiony. – Jeżeli siedzi na prowincji?...

Nie mógł przecież jeździć po całej Polsce i każdemu napotkanemu człowiekowi pokazywać fotografię Julii Alberyckiej. Na myśl mu nie przyszło, że odnalezienie tej dziewczyny nastreczy tyle trudności. Wiedział, że to nie będzie proste, ale tam w Rzymie był głęboko przekonany, że sobie da radę. Tymczasem...

Jak to często bywa w takich razach, dopomógł mu zupełny przypadek.

Już w sobotę wieczorem poczuł, że z zębem po prawej stronie na dole coś niewyraźnie. Tak był jednak zaabsorbowany różnymi sprawami, że nie zwrócił na to większej uwagi. W niedzielę z samego rana zaczęło boleć solidnie, a pod wieczór sytuacja zrobiła się zupełnie tragiczna. Potęgi wszystko odbyło się według ustalonego programu: przeróżne proszki i bezsenna noc.

W poniedziałek rano pobiegł do dentysty. W poniedziałek rano pobiegł do dentysty. Czekających spora gromadka i to przeważnie wszyscy z bolącymi zębami. Nie było rady. Należało uzbroić się w cierpliwość.

Na owalnym stoliku leżały wymięte, bardzo stare gazety: „Przekrój”, „Dookoła Świata”, „Zwierciadło”, „Przyjaciółka”. Wszystko sprzed kilku lat. Boner prawą ręką trzymał się za pulsującą szczękę, lewą zaś dla zabicia czasu przerzucał wysłużone czasopisma. I nagle poczuł, że fala gorącej krwi uderza mu do głowy. Ząb przestał boleć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z wypłowiałych szpalt „Mody” patrzyła na niego roześmiana Julia. To ona! Nie ulegało wątpliwości, że to ona! Te same oczy, ten sam profil, te same usta. Julia Alberycka! Zwycięstwo!

Nie czekał na dentystę. Błyskawicznie zbiegł na dół i zatrzymał taksówkę. Kazał się zawieść do redakcji „Mody” na Świętokrzyską.

Elegancka pani w świetnie skrojonym popielatym kostiumie była trochę zdziwiona niezwykłym podnieceniem

niecodziennego interesanta.

— Trudno mi panu tak od razu odpowiedzieć. Numer pochodzi sprzed paru lat. Najprawdopodobniej to któraś z naszych modelek. Jeżeli tak bardzo panu na tym zależy, postaramy się to sprawdzić. Może pan zadzwoni do mnie za dwa, trzy dni.

— Ależ proszę pani, ja muszę zaraz... natychmiast! Bardzo panią proszę! Jestem gotów ponieść wszelkie koszty!

Nieznacznie wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, o jakich kosztach pan mówi? Domyśla się pan zapewne, że tu w redakcji mamy coś niecoś do roboty i nie możemy wszystkiego rzucić, żeby zajmować się tą dziewczyną.

Boner przestraszył się, że zbytnią natarczywością może wszystko zepsuć. Postanowił więc uzbroić się w cierpliwość. Podziękował, jak umiał, najuprzejmiej, przeprosił za kłopot i po dwóch dniach pojawił się znowu z pękiem czerwonych goździków.

Informacja, którą otrzymał, była dosyć ścisła: Aniela Manowska pracowała jako modelka w „Modzie Polskiej”. Od dwóch lat już nie pracuje. Podobno występowała w jakimś filmie jako statystka. Zmieniła mieszkanie. Nowego jej adresu nikt nie znał.

To było już bardzo dużo. Boner z entuzjazmem podziękował uczynnej pani za pomoc i nie zwlekając ruszył na poszukiwanie Anieli Manowskiej.

W biurze adresowym dowiedział się, że ukochana Ganzettiego mieszka na Kruczej. Psiakrew! To on tyle czasu jej szuka, a ona mieszka tuż obok niego, dosłownie o paręset metrów. Chciał zaraz iść do niej, porozmawiać o całej sprawie, ale pojawiła się refleksja.

Spokojnie, spokojnie — mitygował się w myślach. — Co nagle, to po diable. Najpierw trzeba się zorientować, co to za dziewczyna, jaki typ... Byłoby bardzo nierozważnie działać zupełnie na ślepo.

Należało zebrać trochę informacji o Anieli Manowskiej.

Elegancka starsza pani z „Mody Polskiej” miała dobrą pamięć.

— Anieli? Tak, oczywiście, że ją sobie przypominam. Bardzo efektowna dziewczyna. Jedna z najlepszych naszych modelek. Świetnie się ruszała. Żałuję, że odeszła. Czy się z kimś tutaj u nas przyjaźniła? Raczej nie... To bardzo skryta osoba, mało komunikatywna. Na ogół nie cieszyła się sympatią.

Następną rozmowę Boner przeprowadził ze swoim przyjacielem, Adamem Konieckim, który pracował w filmie.

— Czy znam Anielę? No, jasne, że znam. Taaaka babka! Wszyscy tu za nią szaleli. Moim zdaniem mogła zrobić karierę filmową, ale specjalnie się do tego nie paliła. Statystowała w jakimś filmie, już nawet nie pamiętam, w jakim. Pokręciła się tu trochę i wyfrunęła. Bardzo szykowna. A ty dlaczego się nią interesujesz?

— Lubię ładne dziewczyny.

Koniecki skrzywił się.

— Jeżeli chcesz posłuchać mojej rady, to nie zawracaj sobie nią głowy. Nic nie zdołał. Szkoda czasu. Cholernie nieprzystępna. Niejeden już tu próbował szczęścia. Nikomu się nie udało. Straciła sympatię. W naszej branży dziewczyna nie może być taka drętwa. Z reżyserem trzeba dobrze żyć.

— Nie wiesz, gdzie ona teraz pracuje? — spytał Boner.

— Słyszałem, że jest stewardessą. Lata. Ale na pewno ci nie powiem. Straciłem z nią kontakt.

— Słuchaj, Adaś, czy ty mógłbyś mnie z nią zapoznać?

— Nie mogę krzywdzić przyjaciela. Do końca życia nie zapomniabym mi tego. Po co mam się narażać?

— Bardzo mi na tym zależy.

— Pamiętaj, że cię ostrzegalem.

— Nie bój się. Nie będę miał do ciebie pretensji. No więc jak? Poznasz mnie z nią?

— A postawisz kolację?

— Jasne, że postawię.

— No to spróbuję do niej zadzwonić. Nie wiem, czy będzie chciała przyjść. To jest taka cizia, co na kolację nie leci. Rzadko się takie trafiają, ale właśnie Anieli jest taka. Nie zależy jej na nikim ani na niczym.

— Zaintryguj ją moją osobą — podsunął Boner.

— Nie ma na świecie kobiety, która nie byłaby ciekawa, a szczególnie która by nie chciała zobaczyć swego adoratora. To chwył murowany. Przekonasz się, że nie odmówi.

Okazało się, że Boner znał kobiety. Piękna Julia, a raczej Aniela, nie odmówiła.

Spotkali się wieczorem w „Krokodylu”. Dzień wyr brali powszedni i na parkiecie można się było stosunkowo swobodnie poruszać. Boner zamówił kolację i poprosił dziewczynę do tańca.

Był w doskonałym humorze. Więc nareszcie! Nareszcie długotrwałe poszukiwania zostały uwieńczone pełnym sukcesem. Obawy, że Julia Alberycka jest starą, pomarszczoną kobietą, okazały się na szczęście płonne. Aniela była nie tylko młoda, ale i bardzo piękna. Na zdjęciu uroda jej mogła się wydawać trochę banalna, ale w rzeczywistości posiadała dużo indywidualnego uroku. Ogromne, ciemne oczy o aksamitnym spojrzeniu, gęste, popielate włosy i niezwykle delikatna cera, jakby malowana na chińskiej porcelanie. I wspaniała figura. Boner widział w życiu wiele zgrabnych kobiet, ale tak znakomicie zbudowanej dziewczyny jeszcze nie spotkał.

Szkoda jej dla tego podstarzałego Włocha — myślał. — Ciekawe, dlaczego nie chciała skorzystać z jego zaproszenia?

— Świetnie pani tańczy — powiedział, pragnąc przerwać narastające między nimi milczenie.

Uśmiechnęła się. Pochwycił błysk drwiny w jej oczach.

— Czy tylko tyle ma mi pan do powiedzenia?

— Och, nie! Chciałbym paru powiedzieć o wiele więcej, ale przecież trzeba od czegoś zacząć.

— Czy początek zawsze musi być taki banalny?

Teraz on się uśmiechnął.

— Myślę, że nie zawsze. Zwykle jednak trudno jest coś zacząć, szczególnie jeśli ktoś jest onieśmielony.

— Cóż pana tak onieśmiela?

— Pani uroda.

Skrzywiła się.

— Widzę, że nie może się pan wydostać poza komunały.

-Nie lubi pani słuchać hymnów pochwalnych na cześć swej

urody?

– Nie lubię. Uważam, że jest tyle ciekawszych tematów do rozmowy.

– Co by panią interesowało?

– Interesuje mnie bardzo wiele rzeczy. Panu oddaję inicjatywę.

– Byłem ostatnio parę miesięcy we Włoszech

– powiedział swobodnie i rzucił na nią szybkie spojrzenie. – Mógłbym pani dużo opowiedzieć o słonecznej Italii.

Nie zareagowała tak, jak się tego spodziewał.

– To ciekawy kraj – stwierdziła obojętnie.

– Chciałaby pani tam pojechać?

– Oczywiście.

– To chyba nie takie trudne.

– Trzeba mieć zaproszenie.

Muzyka umilkła. Wrócili do stolika.

Cwana babka – myślał Boner i skinął na kelnera, żeby nalał wódkę.

– Jak się tańczyło? – spytał Koniecki.

– Znakomicie. Twój przyjaciel jest doskonałym tancerzem.

– Widzę, że pani postanowiła drwić ze mnie

– uśmiechnął się kwaśno Boner. – Nigdy nikt nie uważał mnie za dobrego tancerza.

– Najwidoczniej był pan dotychczas niedoceniany.

– Nie męcz Rysia – wstawił się za przyjacielem Koniecki. – Widzisz przecież, że jest w tobie zakochany.

– Sądzę, Adasiu, że w tym, co mówisz, jest dużo przesady. Przecież pan Ryszard dopiero mnie poznał. A w miłość od pierwszego wejrzenia jakoś dziwnie nie wierzę.

– Niech pani sobie wyobrazi – powiedział Boner – że ja panią znam już od bardzo dawna.

– A to jakim sposobem?

– To będzie romantyczna historia, zupełnie niedzisiejsza. Od dawna znam panią ... z fotografii.

– Z fotografii?

– Tak. Zobaczyłem kiedyś pani zdjęcie w czasopiśmie „Moda”.

– Och, to rzeczywiście odległe czasy.

– Od tamtej pory pragnąłem panią poznać.

– Czy mam w to wierzyć?

– Rysiek nigdy nie kłamie – wtrącił się do rozmowy Koniecki.

Doskonała aktorka – pomyślał z uznaniem Boner, obserwując uważnie twarz pięknej dziewczyny. Głośno zaś powiedział:

– Nie wyobraża sobie pani, jaki jestem szczęśliwy, że wreszcie panią poznałem osobiście.

– Miło mi to słyszeć, chociaż nie należę do osób łatwowiernych.

– O, to już zdążyłem zauważyć.

Orkiestra znów zaczęła grać. Tym razem Koniecki poprosił Anielę do tańca.

Boner, zostawszy sam, zapalił papierosa i zamyślił się. Teraz już zupełnie nie rozumiał, dlaczego nie chciała skorzystać z zaproszenia tego Włocha... Była wolna, niezależna, samodzielna.

Reprezentowała typ kobiety, której nie przeraża perspektywa samotnej podróży za granicę. Ryzyko minimalne, a korzyści mogły z tego wypłynąć bardzo poważne. Nie robiła wrażenia dziewczyny sentymentalnej, raczej wprost przeciwnie. Na pewno byłaby zdolna do tego, żeby z całym cynizmem wyjść za mąż dla pieniędzy. A tu przecież wchodziły w grę ogromne pieniądze. Więc dlaczego? Co się za tym kryło? Jaką prowadziła grę?

Należało to rozszyfrować możliwie jak najprędzej. Już i tak dosyć czasu stracił na te idiotyczne poszukiwania! Musiał jednak działać ostrożnie, żeby zbyt energicznymi posunięciami nie popsuć sprawy. Bo jeżeli do tej pory nie zdecydowała się skorzystać z tak ponętnej propozycji, to nie ulegało wątpliwości, że miała po temu jakieś bardzo ważne powody. Trudno było przypuszczać, że to po prostu zwykły kaprys.

Kolacja w „Krokodylu” zapoczątkowała nowy etap w życiu Bonera. Teraz całą swą energię zwrócił w jednym kierunku. Bojowym zadaniem było: rozszyfrować Anielę i nakłonić do

wyjazdu do Włoch. Chi ua piano, ua sano, ua lontano – powtarzał sobie niejednokrotnie i działał planowo, rozważnie, metodycznie.

Przede wszystkim więc nie wychodził z roli człowieka oczarowanego niezwykłą urodą pięknej stewardessy. Prawił jej czułości, wyznawał miłość, zapraszał na obiady i kolacje, organizował wypadki poza Warszawę, sięgał po ostatnie rezerwy swych oszczędności, aby tylko robić wrażenie człowieka niezależnego, trochę lekkomyślnego, łatwego w wydawaniu pieniędzy.

Aniela pozwalała się adorować. Podobał jej się ten elegancki szpakowaty pan, który miał bardzo dobre maniery i który lekką ręką płacił za kolację przeszło tysiąc złotych, nie sprawdzając rachunku. Przebywała więc chętnie w towarzystwie swego nowego wielbiciela, rzadko wymawiając się brakiem czasu i czyniąc to tylko wtedy, kiedy taką wymówkę uważała za niezbędną z punktu widzenia kobiecej strategii.

Niebawem zaprzyjaźnili się i ich wzajemny stosunek stał się mniej oficjalny. Wypili nawet bruderszaft, ale do żadnych większych poufałości nie dochodziło. Boner nie nalegał, a Aniela nie dawała mu do zrozumienia, że chętnie widziałyby jakieś zmiany. Nigdy go do siebie nie zapraszała. Byli parą dobrych przyjaciół, wesoło się razem bawili, chodzili do teatrów, do kin, jeździli na wycieczki, prowadzili długie rozmowy, ale nic poza tym. Na tematy erotyczne nigdy nie mówili. Te zagadnienia jak gdyby dla nich nie istniały.

Boner od czasu do czasu nawiązywał do swego pobytu w Rzymie, opowiadał o .Reginie, Ludwiku i ich przyjaciółkach. Parę razy padło nazwisko Ganzettiego, na które Aniela nie reagowała najmniejszym nawet drgnieniem twarzy. Podziwiał jej opanowanie i jednocześnie zastanawiał się nad tym, dlaczego dziewczyna z taką starannością usiłuje ukryć to, co ją łączyło z włoskim bogaczem. Ostatecznie nie było w tym nic złego ani kompromitującego. Boner na próżno łamał sobie głowę, pragnąc poznać pobudki jej postępowania. Wreszcie zdecydował się szczerze z nią porozmawiać.

W upalne, słoneczne popołudnie poszli do Łazienek Siedli w

cieniu rozłożystego drzewa i zamówili kawę. Zmęczona kelnerka nie robiła wrażenia osoby zadowolonej z życia.

— Czy masz zamiar całe lato przesiedzieć w Warszawie? — spytała Aniela.

Potrząsnął głową.

— Raczej nie. Zastanawiam się właśnie nad tym, gdzie by tu wyskoczyć. Może wybralibyśmy się gdzieś razem?

— Wykluczone. Nie dadzą mi teraz urlopu. Muszę swoje wylatać. Prędeż na jesieni mogłabym gdzieś wyjechać.

— We wrześniu w Rzymie jest bardzo pięknie.

— Co ty z tym Rzymem? — zachnęła się. — Bez przerwy sugerujesz, że bym pojechała do Rzymu. Wiesz przecież, że to nierealne.

— Czy jesteś tego pewna?

— Głupie żarty ciebie się trzymają.

Boner delikatnie dotknął jej dłoni.

— Posłuchaj mnie, Anielo. Czujesz chyba, że ci dobrze życzę. Możesz być ze mną szczerą, zupełnie szczerą.

— Ależ ja jestem szczerą.

— Obawiam się, że niezupełnie. Nie rozumiem, dlaczego ty nie chcesz pojechać do Włoch?

— Przestań! — krzyknęła rozdrażniona. — To jest u ciebie jakaś obsesja!

— Niepotrzebnie się denerwujesz. Ja wiem wszystko.

— Co mianowicie?

— Wiem, że od dwóch lat korespondujesz z panem Ganzettim.

— Z kim?

— Z Robertem Ganzettim.

Spojrzała na niego jak na wariata.

— Słuchaj no, Ryszard, czy tobie czasem to gorąco nie padło na mózg?

— Wiem także — ciągnął dalej Boner — że korespondując z Ganzettim posługujesz się pseudonimem Julia Alberycka i że odbierasz listy na poste restante.

— Po co ty mi te bzdury opowiadasz? — spytała wzruszając ramionami.

— Bo chcę, żebyś pojechała do Rzymu. Zapewniam cię, że warto.

Rozdział 4

Obudziło go energiczne stukanie. Odrzucił koc i usiadł. Twarz miał obrzękłą, oczy zamglone, kosmyki tłustych włosów były pozlepiane potem.

Stukanie powtórzyło się, tym razem jeszcze głośniejsze. Dźwignął się ociężale z tapczana i poszedł otworzyć. W drzwiach zobaczył Romana.

— Ale walisz. Niech cię cholera.

— No bo śpisz jak zarżnięty. Stoję pod drzwiami już z pół godziny. Znowu chlałeś?

— Nie twój interes. Gadaj lepiej, co załatwiłeś?

— Nic nie załatwiłem.

— Jak to nic? Nie rozmawiałeś ze starym?

— Rozmawiałem.

— No i...?

Roman wzruszył ramionami.

— No i nic. Tobie się, Zenek, zdaje, że wystarczy porozmawiać i załatwione. To nie takie proste.

— Powiedziałeś mu tak, jak żeśmy uzgodnili?

— Powiedziałem.

— A on co na to?

— Nic. Powiedział, że nie da ani grosza, że go to nic nie obchodzi.

Zenon podciągnął spodnie i zapiął na piersiach koszulę. Był wysoki, barczysty, muskularny. Opalona twarz miała w sobie wyraz skupionej bezwzględności.

— Niech cię cholera z takim wujem — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— No, co mogę poradzić? — tłumaczył się Roman. — Robiłem, co mogłem.

— Nie rozumiesz, gnoju, że musimy mieć tę forszę! — krzyknął Zenon. — Takiego wozu, w tym stanie za osiemdziesiąt pięć patyków nie dostaniesz, żebyś się usrał.

„Gruby” daje czterdzieści. My musimy skombinować resztę. Liczyłem na to, że z wujem załatwisz. Przecież to tylko pożyczka. Ja będziemy mieli własny wóz, to zrobimy parę numerów i oddamy staremu forszę. Wtedy dla nas te kilka kawałków nie będzie robić różnicy. Mam już opracowane inne ładne skoki.

Roman wodził wystraszonymi oczami za biegającym po pokoju kolegą.

– Co ja mogę poradzić? – jęknął.

– Co ja mogę poradzić!...Co ja mogę poradzić!

– przedrzeźniał go Zenon. – Ty tylko narzekać potrafisz, a żeby coś załatwić konkretnie... Przecież ten twój wujaszek ma forszę.

– Chyba ma.

– No więc...?!

– Ale dać nie chce.

– A mówiłeś mu, że to na leczenie ciężko chorej wdowy, matki czworga dzieci?

– Mówiłem.

– A on co na to?

– Nie uwierzył.

Zenon zaklął paskudnie.

– Więszego tumana od ciebie nie widziałem. Wyobrażam sobie, jak ty to wszystko powiedziałeś. I co my z tobą będziemy robić? Jaka pociecha z takiego kmiota?

– Będę was ubezpieczał. Umiem prowadzić wóz.

– Ale jak dostaniesz cykorii, to zapomnisz, gdzie gaz, a gdzie hamulec. Już ja to widzę. No więc wuj odmówił?

– Odmówił.

– Ale jak ja bym poszedł, to by nie odmówił.

– Co chcesz zrobić?

– Chcę sobie pogawędzić z twoim kochanym wujaszkiem.

Na twarzy Romana odmalowało się przerażenie.

– Nie masz chyba zamiaru...?

– Mam zamiar zdobyć potrzebne mi pieniądze

– powiedział Zenon, akcentując wyraźnie poszczególne wyrazy. – I zdobędę. Rozumiesz, chłopczyku? Od wuja czy od

cioci, wsio rawno, zdobędę.

– Zostaw lepiej mojego wuja w spokoju.

– A to dlaczego? Facet samotny, z grubą forszą. Nadaje się. Powinien nam pomóc i pomoże, po dobroci czy też pod przymusem, ale pomoże.

– Wuj jest bardzo silny – zaryzykował Roman.

– Myślisz, że sobie nie dam rady z garbatym staruszkiem?

– Wuj, chociaż garbaty, jest bardzo silny w rękach, pierońsko silny.

Zenon uśmiechnął się.

– Nie szkodzi, ja też nie jestem słaby. Powiedz mi lepiej, kochasiu, czy te książki wujaszka naprawdę tyle warte?

Roman zawahał się.

– No tak... Chyba. Jedna taka książka może być warta z parę tysięcy. To są rzadkie okazy.

– No więc widzisz! W razie czego zabierze się parę takich książeczek i w porządku.

– Wuj nie da.

– Nie bądź idiotą! Nie będziemy go pytali o pozwolenie.

– Ja nie chcę – powiedział cicho Roman.

Zenon zapalił papierosa i dmuchnął koledze dymem w twarz.

– Szanuję twoje uczucia rodzinne, Romeczku, ale interes jest interesem. Z tego wozu nie możemy zrezygnować, a na razie nie widzę nikogo, kto by nam dał czterdzieści pięć patyków. Twój wujaszek pasuje, jak ulał. No, nie mazgaj się. Zobaczysz, że wszystko poleci, jak trzeba. Musimy jeszcze pogadać z Grubym. Ty sobie tutaj posiedź, odpocznij, a ja się przejdę do Grubego.

Roman skinął głową w milczeniu. Był bardzo przygnębiony. Kiedy wchodził w sitwę z tymi chłopakami, nie wiedział, że to tak właśnie będzie wszystko wyglądało. Zenon uderzył wtedy w Wołominie tę kasjerkę. W głowę ją uderzył. Całe szczęście, że jej nie zabił, ale przecież mógł zabić, jakby trochę mocniej... Cholera, a teraz znowu na wuja się szykują. Niepotrzebnie się wtedy z tym wyrwał, że może mógłby tę forszę od wuja wykombinować. Teraz gotowe jakieś nieszczęście.

Zenon, jakby czytając w jego myślach, powiedział:

— Nie bój się, frajerze, nie zaciukamy ci wujaszka, a jakby nawet, to niewielka szkoda. Nie takie znowu чудо. — Zaśmiał się zadowolony ze swojego dowcipu i wyszedł, zamykając energicznie drzwi za sobą.

Gruby mieszkał na Wolskiej. Był to mężczyzna trzydziestoparoletni, niewysoki, ale mocnej, krępej budowy. Twarz miał szeroką, mięsistą, koloru świeżego buraka. Małe, okrągłe oczy wyglądały jak paciorki wyjęte z pluszowego misia. Wargi grube, wywinęte, odsłaniały drobne, ostre zęby. Gruby cieszył się złą opinią w swojej dzielnicy i nie tylko w swojej. Miał już za sobą parę odsiedzianych wyroków za kradzieże i napady. Do tej pory jednak były to wszystko sprawy raczej drobne, bez użycia broni.

Ostatnio przycichł zupełnie i rozmyślał nad zorganizowaniem jakiejś większej roboty, która przyniosłaby mu poważniejsze zyski. Zapoznał się w knajpie z Zenonem, zwanym „Grzechotnikiem”, i od razu przypadli sobie do gustu. Postanowili kupić okazjnie jakiś wóz i opracowywać starannie różne skoki na terenie całej Polski, przenosząc się błyskawicznie z miejsca na miejsce, co oczywiście utrudniałoby pracę milicji.

Zenon zastał Grubego zajętego zmienianiem wody w akwarium. Był namiętym hodowcą złotych rybek i każdą wolną chwilę poświęcał swym pupilom.

— Widziałeś, jakie fantastyczne japońskie dostałem? — zawołał rozentuzjasmowany. — Z takimi wachlarzami jeszcze nie miałem. Popatrz, jak machają. To najwyższa rybna arystokracja.

Zenon obojętnie rzucił okiem na akwarium, usiadł i zapalił papierosa.

— Klops — powiedział.

— O czym mówisz, Zenuś?

— O tym, że Romek nie dostał forsya od wujcia.

Gruby nasypał rybkom pożywienia i wzruszył ramionami.

— A tyś myślał, że ten stary garbus tak od razu otworzy kabzę i da wam, ile będziecie chcieli?

– Przypuszczałem, że jednak da się wzruszyć – mruknął Zenon. Protekcyjnalny ton tego pewnego siebie faceta drażnił go.

Gruby wytarł ręce brudną ścierką i z zachwytem zapatrzył się w akwarium.

– Jak to się, cholery, wachlują tymi ogonami! Istne cuda. Jest na co popatrzeć. Wmontuję tutaj żarówkę. Zobaczysz, jakie będą efekta świetlne. Jak w bajce, kurcze pieczone. A forsę na wóz musimy mieć. Taka okazja nie trafia się codziennie.

– Ale skąd wziąć?

– No... chyba od tego garbatego wujka. Jakoś go przecież wspólnymi siłami przekonamy, żeby nam pożyczył na dogodnych warunkach. Gdzie on mieszka?

– Na Smolnej.

– Miła uliczka, zaciszna. Ruchu tam dużego nie ma, szczególnie wieczorkiem. Teren mi odpowiada. Śródmieście. Nie moja parafia. Może być.

– Romka lepiej nie brać – zaproponował Zenon.

Gruby spojrział na niego z wyraźną dezaprobatą.

– Czasem masz, Zenuś, dobre pomysły, a czasem zupełnie kiepskie. Ten właśnie jest kiepski. Romek tu najważniejsza osoba! Krewny naszego obiektu. Musi iść! W razie czego powiemy, że przyszliśmy w odwiedziny do jego wujka. Nikt nam żadnego zarzutu zrobić nie może.

– A jeżeli Romek nie zechce?

Okrągłe oczka Grubego błysnęły groźnie.

– Co znaczy nie zechce? Czy ty sobie wyobrażasz, że ja się pozwolę za nos wodzić takiemu gówniarzowi? Ja, bracie, jestem dobry, ale głupich żartów nie lubię. Romek mógł z nami na roboty nie chodzić. Nikt go nie zmuszał. Teraz nie ma nic do gadania! Ja żadnych tam takich grymasów nie będę tolerować! Zresztą nie ma o czym mówić, on dobrze wie, co i jak. I niech mi nie próbuje podskakiwać, bo go tak za mordę wezmę, że...

Zenon nie miał wątpliwości, że to nie są czece pogrożki. Znał Grubego nie od dziś. Zgasił papierosa i spytał:

– Kiedy musisz dać resztę forsę za ten wózek?

– Najpóźniej w poniedziałek. Jeżeli nawalę, stracę zadatek. Taka umowa.

– Myślisz poważnie o tym garbusie?

– Oczywiście. To najpewniejsze. Samotny facet. Późniejszym wieczorkiem do niego się przejdziemy. Nie wątpisz chyba, że on sporo twardych trzyma po różnych dziurach. Porozmawiamy z nim najpierw grzecznie, a jak nie da rady... Tylko, bardzo cię proszę, Zenus, bez żadnej mokrej roboty. Nóż zostawisz w domu.

– Musimy przecież czymś uspokoić garbatego

– zaoponował Zenon. – Może się nie zgodzić.

– Pokombinujemy co innego. Najlepsze byłyby jakieś pigułki na sen. Włać mu do gardła i niech kima całą noc. A my sobie damy radę. Albo... czekaj... czekaj... Coś mi w głowie świta. A jakby tak Romek poszedł z ciastkami do wuja na herbatę i wsypałby mu do szklanki coś takiego? Piękna robota. Co o tym myślisz?

– Pomysł niezły – zgodził się Zenon. – Tylko skąd wytrzasnąć takie lekarstwo nasenne i żeby stary w smaku nie poczuł?

– No to ciastka można nadzieć. W kremie nie poczuje.

– Wszystko można, tylko skąd wziąć proszek? Musi być coś mocniejszego.

Gruby sapnął i usiadł na tapczanie.

– Myślę, że to da się zrobić. Mam znajomą w zakładach farmaceutycznych. Pracuje przy pakowaniu leków. Zna się na tych rzeczach. Pogadam z nią. Coś mi wykombinuje. Najlepiej będzie, jak Romek sam pójdzie do wujka na herbatkę, a my zaczekamy na dole. Garbusa się uspi i wtedy będziemy mogli przeszukać mieszkanie. Potem zrobimy porządek. Nawet może się od razu nie kapnąć. Pamiętaj tylko zabrać ze sobą rękawiczki i bambosze na nogi. Nie powinniśmy zostawić żadnych śladów. Romek oczywiście nie musi. To naturalne, że odwiedza wuja.

– A jeżeli nie znajdziemy dolarów? – spytał Zenek.

– No to weźmiemy te jego książki. Podobno warte kupę pieniędzy. Tylko trzeba wybierać takie najstarsze.

– Ale gdzie to potem spylić?

– Spokojna głowa. Mam tu takiego wariata, który grubą forszę gotów płacić za książki. To są maniacy! Taki facet ostatnie portki z siebie ściągnie, żeby tylko sobie tak zwanego „białego kruka” zafundować.

– Niewiele nam przyjdzie ze starych portek – zauważył rzeczowo Zenon.

Gruby wzruszył ramionami.

– Nie bądź głupi. To się tylko tak mówi. Taka przerośnia.

– Dla mnie ważna jest forsa, a nie przerośnia.

– Będzie i forsa, Zenuś, będzie. Jak tylko dorwiemy się do tego wozu, zaraz parę takich skoków załatwimy, że potem spokojne życie. Może gdzieś nawet za granicę pryśniemy...

– Masz już coś na oku?

– No, chyba. Jeden numerek projektuję w Bydgoszczy, drugi w Rzeszowie, a trzeci może w Białymstoku? Mając wóz, zupełnie inna robota. Przenosimy się błyskawicznie z miejsca na miejsce. Sam diabeł się nie połapie, że to ci sami w różnych miastach. Główka pracuje, Zenuś!

Napad na Błażeja Reitinga miał się odbyć w piątek wieczorem. Wszystko było dokładnie opracowane. Gruby nie znosił partackiej roboty i każdą akcję obmyślał z najdrobniejszymi szczegółami.

W czwartek po południu zebrali się na Chłodnej, żeby jeszcze raz wszystko omówić. Roman był bardzo zdenerwowany. Palił papierosa za papierosem. Ręce mu się trzęsły.

Gruby wyjął z kieszeni papierową torebkę i wysypał na stół kilka proszków w opłatkach.

– Uważaj, Romek – powiedział zniżając trochę głos. – Jutro kupisz ciastka u Bliklego albo na Kruczej w Grand Hotelu. Wybieraj z kremem, najlepiej te czarne eklery. Do każdego ciastka wsypiesz zawartość takiego opłateczka. Dla siebie zostaw bez proszka. Wszystko elegancko zapakujesz i pójdziemy do wujaszka. My zaczekamy na dole, a ty zrobisz wujowi herbatkę i poczęstujesz go ciastkami. Jak zacznie kimać, to wyjdiesz na schody i cicho gwizdniesz. Zrozumiałeś?

Roman z trudem przełknął ślinę i kiwnął głową.

– A jeżeli... jeżeli będzie ktoś u wuja?

– To się sprawdzi. Zenek wejdzie na górę, zadzwoni i spyta: „Czy tu mieszka pan Kozłowski?” Zorientuje się, czy ktoś jest oprócz wujaszka w mieszkaniu. A zresztą kto by mógł wieczorem tam być?

– Wuj udziela lekcji...

– Uczniowie po nocy się nie szwendają. Pójdziemy trochę później.

– A te proszki nie są trujące? – zaniepokoił się Roman.

– Skąd trujące? Coś ty, z byka spadł! Na cholerę mielibyśmy wuja truć? Wyśpi się tylko porządnie. Nawet się od razu nie orientuje, że coś się stało. No, przecież więcej jak dwa ciastka nie wtroi.

– A jak zje trzy?

– To także nic mu nie będzie. Najwyżej dłużej sobie pośpi.

– Boję się – szepnął Roman.

Gruby spojrział na niego zniecierpliwiony.

– Czego się boisz, idioto? Przecież to robota bez żadnego ryzyka.

– Wuj mnie oskarży.

– Nie wierz w takie rzeczy. Po pierwsze wuj cię nie oskarży, a gdyby nawet, to ci niczego nigdy nie dowiodą. Powiesz, że owszem, przyszedłeś do wujaszka na herbatkę, że wuj był zmęczony i zasnął. Więc co miałeś robić? Wyniosłeś się cicho i koniec. Być może, że niedokładnie zamknąłeś drzwi i że ktoś z tego skorzystał. Ciasteczka, oczywiście, sprzątniemy, żeby nie było żadnych śladów. A przede wszystkim jestem przekonany, że twój wuj nie będzie taką Świną, żeby lecieć na milicję i ciebie oskarżać. Starszy facet, garbaty... Co mu tak znowu zależy na kilku twardych? Machnie ręką. Nie będzie mu się chciało zajmować tym wszystkim. Czy ty sobie wyobrażasz, ile to kłopotu? Dochodzenia, śledztwo, przesłuchania, protokoły. Komu to się chce? Możesz być zupełnie spokojny! Nic nie ryzykujesz. A jak się będziesz nas trzymał, to wyjdiesz na ludzi. Takie roboty to dobra rzecz, tylko trzeba z mądrymi... Jak się z głupim wdasz, to na byle gównie się poślizgniesz.

Zenon nie odezwał się ani słowem. Palił papierosa i myślał,

że mimo wszystko zabierze jutro na robotę majcher. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– Są jakieś pytania? – spytał Gruby i powiódł po kumplach spojrzeniem wodza.

– Chciałbym się upewnić, czy to na pewno nie jest trucizną?

– odezwał się cicho Roman.

– Powiedziałem ci już, że nie żadna trucizna!

– zdenerwował się Gruby. – I przestań się wreszcie mazgać, bo ci łeb rozwałę czymś ciężkim.

– To już może po robocie – zaproponował spokojnie Zenon.

– Z rozwalonym łbem nie pójdzie do wujaszka z ciasteczkami.

Rozdział 5

Boże, żeby mu się udało... żeby mu się tym razem udało... – szeptała przejęta, drepcząc od okna do przedpokoju.

Zdenerwowanie nie pozwalało jej zająć się czymś konkretnym. Od czasu do czasu brała z półki jakąś książkę i odkurzała ją z bezmyślną starannością. Potem odkładała książkę na miejsce i znowu zaczynała krążyć po mieszkaniu. Była drobna, szczupła, leciutko pochylona. Mizerną, pomarszczoną twarz ożywiały oczy, duże, niebieskie, zawsze trochę zdziwione, a trochę przestraszone. Nigdy nie potrafiła wyzbyć się tej dręczącej nieśmiałości, która prześladowała ją od wczesnego dzieciństwa. Nawet po tylu latach małżeństwa obecność Stanisława zawsze ją peszyła. Czasami bała się odezwać, żeby go czymś nie urazić, żeby nie powiedzieć czegoś nie w porę. Nieraz krzyczał na nią za to. Drażniła go ta jej przesadna delikatność. Ale ona już była taka, cichutka, schodząca każdemu z drogi, wtapiająca się w tło mieszkania, prawie nieobecna.

Dlaczego tak długo nie wraca? Dlaczego? – myślała niespokojnie. – Obiad od dawna gotowy. Nie będzie smaczny. Tyle czasu stoi w garnkach. Może by lepiej zupę przelać do słoika, żeby nie przeszła metalem...

Co on tam robi tyle godzin? Na pewno znowu się strasznie zdenerwuje. A przecież nie wolno mu się denerwować. Doktor

stanowczo zabronił. Tak bardzo chciała, żeby było dobrze, żeby był spokój. Starła się, jak mogła. Nie zawsze jej się to udawało. Stanisław był trochę dziwnym człowiekiem.

Tyle lat żyli razem, a przecież nie bardzo go rozumiała. Na pewno nie był łatwy w pożyciu i gdyby nie jej zgodne usposobienie, dochodziłoby chyba często do awantur. Miał rozmaite nawyki, kaprysy, naprawdę bywał trudny. Mimo wszystko jednak kochała go bardzo i pragnęła jego szczęścia.

Posłyszała ciężkie kroki na schodach. Pobiegła i otworzyła drzwi. Od razu poznała, że znowu spotkała go porażka. Nie pytała o nic. Powiedziała tylko prędko:

– Zaraz ci dam obiad.

– Nie będę jadł – mruknął ponuro.

– Musisz przecież coś zjeść. Już po czwartej. Od rana jesteś bez jedzenia.

– Powiedziałem, że nie będę jadł, to nie będę!

– krzyknął zniecierpliwiony. – Nie nudź mnie!

– Ależ dobrze, Stasieczku, dobrze! Nie denerwuj się. Wiesz, że doktor zabronił ci się denerwować.

– Do diabła z doktorem!

Stał niezdecydowany, kołysząc się na swych długich, bocianowatych nogach. Kiedyś był potężnym, muskularnym mężczyzną. Na starość wychudł, zrobił się bardziej kościsty, żyłasty, ale siłę w rękach miał jeszcze ogromną. Bez trudu przesuwiał wielkie, napelnione książkami szafy.

– Nie pytasz się nawet, jak mi poszło? – powiedział z pretensją w głosie.

Szybko zatrzepotała drobnymi dłońmi.

– Musisz być cierpliwy, Stasieczku. Z takimi ludźmi trzeba dużo cierpliwości.

– Ja byłem cierpliwy, byłem za długo cierpliwy. Takiego drania tylko za gardło i tłuc tym ohydny łbem o ścianę!

Wyciągnął przed siebie potężne ramię i zwinął palce w pięść z taką siłą, że aż kości pobiegały. – Zatlukę jak gadzinę. Zaduszę, zniszczę!

Patrzyła na niego przerażona.

– Uspokój się, Stasieczku. Doktor zabronił... Błagam cię...

Nie zwracał uwagi na jej słowa.

– Dwa lata... Dwa lata chodzę do tego potwora i proszę... Ja zniżam się do tego, że proszę to monstrum. A on się ze mnie śmieje, i mówi, że nie sprzedaje. Za żadną cenę nie chce sprzedać. Dzisiaj dawałem mu trzydzieści tysięcy. Rozumiesz? Trzydzieści tysięcy!

– Jezus Maria! To masa pieniędzy. I nie chciał?

– Nie chciał. Powiedział, że mu pieniądze niepotrzebne. Za żadną sumę nie chce sprzedać. A ja muszę to mieć! Zrozum, że ja muszę to mieć!

– Stasieczku... ty masz przecież tyle tych książek. Naprawdę, czy to warto?

– Milcz! – ryknął z niespodziewaną siłą. Twarz mu poczerwieniała, oczy wyszły z orbit. – Milcz, ty głupia! – Przez chwilę chwycił szybko otwartymi ustami powietrze, a potem dodał ciszej, żałośnie: – Dlaczego ty jesteś taka głupia, Wiktorio? Dlaczego jesteś taka beznadziejnie głupia?

– Myślę, że niepotrzebnie się denerwujesz, Stasieczku – powiedziała bardzo cicho. – Może zjadłbyś jednak trochę kartoflanki? Trzeba coś zjeść.

Odwrócił się bez słowa i poszedł do swego pokoju. Panował tu półmrok, bo bogato przystrojone liśćmi drzewo zaglądało do okna. Ściany od podłogi do sufitu pokryte były półkami, uginającymi się pod ciężarem potężnych tomów. Przy nieużywanych drzwiach stała wielka, ciemna szafa ze staroświeckimi ozdobami. Pełno w niej było starych druków, rękopisów, pergaminów.

Usiadł ciężko w fotelu i wsparłszy głowę na dłoni, zapatrzył się w okno. Starał się uspokoić, ale wspomnienie odbytej niedawno rozmowy paliło go żywym ogniem. Zniżył się nawet do prośby, upokorzył się, zaapelował do ludzkich uczuć tamtego. Na próżno, wszystko na próżno. Więc ma zrezygnować? Ma uznać się za pokonanego? Nigdy! Nie ustąpi! Choćby nawet miał użyć siły, nie ustąpi!

Zerwał się z fotela i począł biegać po pokoju, podobny do dzikiego zwierza miotającego się w za ciasnej klatce. Pójdzie, jeszcze raz tam pójdzie, dzisiaj... zaraz... natychmiast... Zmusi

tego przekłętego garbusa... Zmusi!... Nie pozwoli na to, żeby ten przybłęda, ten parweniusz, ten oszust żerujący na wojennym chaosie wydarł mu to, co dla niego było najcenniejsze. Przecież to jego przodkowie przyczynili się do powstania tych druków, jego pradziadowie byli twórcami, inicjatorami drukarskich prac. On jest prawym właścicielem, spadkobiercą. On przysiągł przy łożu umierającego ojca i nie pozwoli, nie pozwoli, żeby mu wydarto najdroższe pamiątki rodzinne!

Podniecał się coraz bardziej. Na policzki wystąpiły mu ceglaste rumieńce, oczy błyszcząły nienaturalnym, gorączkowym blaskiem.

Rozległo się nieśmiałe stukanie do drzwi. Weszła Wiktoria.

– Tak mi przykro – powiedziała bardzo cicho.

– Tak mi strasznie przykro.

– Dlaczego ci znowu przykro? – spytał zły, że mu przeszkodziła w jego rozmyślaniach.

– Przykro mi, Stasieczku, że tak się niemądrze odezwałam. Po prostu nie zastanowiłam się. Przepraszam. Może ci jednak podgrzeję kartoflankę? Jest naprawdę bardzo smaczna. Na samej włoszczyźnie.

– No to podgrzej mi już tę kartoflankę – mruknął zrezygnowany. Wiedział, że się od tego nie wymiga. Jeżeli chodziło o jedzenie, Wiktoria była nieustępliwa. Zawsze potrafiła cichym uporem zmusić go do spożycia obiadu czy kolacji. Czasem się buntował, ale kończyło się na tym, że musiał skapitulować.

Zadowolona z odniesionego zwycięstwa, żwawo pobiegła do kuchni. Kiedy usadowiła go już przy stole i podała obiad, przyglądała mu się z zadowoleniem, jak je.

– Smakuje ci? – spytała nieśmiało.

– Owszem, dobre.

– Stasieczku, a dlaczego ty butów nie zdejmiesz i nie włożysz bamboszy?

– Bo jeszcze wychodzę.

Spojrzała na niego zaniepokojoną.

– Dokąd idziesz?

– Do niego.

Pobladła i zaczęła nerwowo przesuwać talerze na stole.

– Stasieczku, błagam cię, nie chodź, zostań w domu, nie chodź. Bardzo cię proszę, Zaparzę ci rumianku. Naszykuję kąpiel. Posiedzisz sobie spokojnie, posłuchasz radia. Nie chodź nigdzie, Stasieczku.

Nie słuchał tego, co mówiła. Słowa jej zlewały się w jego świadomości w jednostajny, łagodny szum, pozbawiony treści. Siedział, zapatrzony w swe myśli, które chaotycznym wirami opanowywały umysł, huczały w zmęczonej, rozpalonej namiętnym pragnieniem głowie. Musi odzyskać pamiętki rodzinne, musi złamać tępy upór tego człowieka. Czuł, że stanie się to właśnie dzisiaj, tego wieczoru. Pójdzie do niego i nie ustąpi, tym razem już nie odejdzie z niczym. Z każdą chwilą narastała w nim żądza czynu. Coraz gwałtowniej nienawidził Błażeja Reitinga.

Wiktorია dotknęła nieśmiało ramienia męża.

– Przyniosę ci bambosze, Stasieczku, dobrze?

Spojrzał na nią z tłumioną pasją.

– Daj mi spokój z bamboszami! Mówiłem ci przecież, że wychodzę.

– Tak cię proszę...

– Zostaw! To się na nic nie zda. Muszę tam pójść! Rozumiesz? Muszę!

– Ale może ten pan chodzi wcześniej spać. Może mu przeszkodzisz?

– O siódmej czy o ósmej wieczorem nikt nie chodzi spać. A jeżeli nawet wyciągnę go z łóżka, to nic nie szkodzi. Moja cierpliwość już się wyczerpała. Nie ustąpię, żeby nawet miał tego garbusa chwycić za gardło i zmusić do oddania mi tego, co do mnie należy, co należało od wieków do mojej rodziny!

– On to na pewno kupił od kogoś w dobrej wierze. Nie wiedział, że to twoje.

– Chcesz go tłumaczyć? Wstawiasz się za nim?

– Ależ broń Boże, nie wstawiam się za nim. Tylko... tylko... wydaje mi się, że nie powinienes tak bezwzględnie...

Walnął pięścią w stół, aż talerze podskoczyły.

– Już prawie dwa lata! Słyszysz? Dwa lata grzecznie z nim rozmawiam, proszę, tłumaczę, przekonuję, daję pieniądze. A on nie, nie i nie... Czy ty sobie wyobrażasz, że ja tak do końca życia będę chodził na Smolną i będę zebrał o łaskę tego przekłętego garbusa? Dzisiaj się to skończy. Powiadam ci, że dzisiaj się to skończy. Mam jeszcze dosyć siły na to, żeby zgnieść, zdeptać tę pokrakę! Żarty i grzeczne rozmówki już się skończyły. Pogadamy teraz inaczej.

– Przecież już dzisiaj byłeś u niego.

– To co, że byłem? Tym lepiej. Nie spodziewa się mnie. Zaskoczę go. To będzie ostateczna rozgrywka.

Zobaczyła coś takiego w jego oczach, że przeraziła się.

– Nie chodź dzisiaj... Nie chodź – szepnęła błagalnie. – Tak się boję, tak się okropnie boję...

Wstał i wyprostował się na całą wysokość. Przy tej drobnej, szczupłej kobiecie robił wrażenie jakiegoś baśniowego olbrzyma. Wyrastał nad nią jak góra, podobny do tych legendarnych rycerzy, którzy dęby wyrywali z korzeniami i zabijali smoki.

Drżała ze zdenerwowania. Czowała, że nie powinna go wypuścić z domu w tym stanie. W jego oczach widziała szaleństwo.

– Stasieczku, tak cię bardzo proszę, nie chodź tam dzisiaj. Musisz to wszystko przemyśleć, rozważyć. Nie chodź. Zaparzę ci rumianku.

Odsunął ją zdecydowanym ruchem ręki. Poszedł do przedpokoju i włożył palto.

– Zostań, Stasieczku! – krzyknęła i przestraszyła się własnego głosu.

Wyszedł, nie spojrzawszy na nią. Posłyszał za sobą jej płacz, ale nie wrócił.

Rozdział 6

Downar podniósł się z klęczek i otrzepał starannie spodnie.

– Więc wyklucza pan samobójstwo? – spytał.

Doktor Ziemba potrząsnął głową.

– Nie, to nie było samobójstwo. Zarówno położenie zwłok,

jak i sposób, w jaki sztylet został wbity w serce, świadczą o tym, że ten człowiek został zamordowany i to najprawdopodobniej zamordowany w czasie snu. Poza tym ludzie ułomni rzadko odbierają sobie życie. Przeważnie są bardziej do tego życia przywiązani aniżeli ludzie normalnie rozwinięci. Ja w mojej praktyce nie spotkałem się z wypadkiem samobójstwa osobnika ułomnego.

— Podzielim pańskie zdanie — powiedział Downar. — Moje pytanie miało charakter raczej retoryczny. Mamy do czynienia z jednym solidnym pchnięciem przez ubranie. Samobójca zazwyczaj odsłania tę część ciała, w którą ma zamiar ugodzić. Rzadko też się zdarza, żeby pozbawił się życia jednym pchnięciem. Tak, to morderstwo, morderstwo dokonane przez dyletanta.

— Dlaczego pan uważa, że nie dokonał tego fachowiec? — zainteresował się Ziemba.

— To proste. Fachowy nożownik nie zostawia noża w ranie. Automatycznie go wyjmuje.

— Ma pan rację, majorze. Dlatego właśnie, że morderca nie wyjął noża z rany, żył jeszcze chwilę i zdołał stoczyć się z łóżka na podłogę. Wszystko wskazuje na to, że chciał się ratować.

— Czy sądzi pan, że takiej zbrodni mogła dokonać kobieta?

Doktor Ziemba zamyślił się.

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. No cóż... W naszych czasach kobiety raczej rzadko operują nożem. Pistolet i trucizna to dzisiaj bardziej modne narzędzie zbrodni. Za dawnych czasów posługiwano się sztyletem. W danym przypadku użyto właśnie takiego zabytkowego sztyletu. Długie i bardzo cienkie ostrze. Żeby wbić, nie trzeba dużej siły. Tak, sądzę, że kobieta mogła to zrobić bez większego trudu.

Downar z zainteresowaniem obejrzał sztylet. Była to broń egzotyczna, pochodząca zapewne ze świata arabskiego. Rękojeść ozdobna, grawerowana w srebrze. Klinga długa, wąska, ostra jak brzytwa. Doktor Ziemba miał rację, nie trzeba było zbyt dużej siły, żeby taki sztylet wbić w serce. A więc mężczyzna albo kobieta. Na wysnuwanie wniosków było jeszcze stanowczo za wcześnie.

Ogłędziny lekarskie zostały ukończone. Doktor Ziemba pożegnał majora, obiecując możliwie jak najprędzej dostarczyć dokładne wyniki sekcji. W mieszkaniu Błażeja Reitinga zostali fachowcy od daktyloskopii, Downar i sierżant Pakuła. W bramie pełnili służbę dwaj milicjanci.

Downar usiadł w fotelu i cierpliwie czekał, aż utrwalał odciski palców i ślady butów na podłodze. Obok niego stał stolik, a na nim dwie szklanki i talerzyk z jakimiś okruszkami. Jedna szklanka była pusta, druga do połowy napełnioną mocną herbatą. Poleciał zarówno okruszki jak i niedopitą herbatę przekazać do laboratorium do analizy. Nie spodziewał się żadnych rewelacji, ale na wszelki wypadek.

Rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych. Sierżant Pakuła poszedł otworzyć. Jakież było zdziwienie Downara, kiedy zobaczył uśmiechniętą twarz Walczaka.

– A ty co tu robisz? – spytał, ściskając dłoń przyjaciela.

– Odwiedzałem rodzinę – odparł Walczak zdejmując palto.

– Idę, patrzę, nasze chłopaki stoją w bramie. Poznali mnie. Pytam, co się dzieje. Powiedzieli, że morderstwo i że ty się męczysz. No to wpadłem dodać ci otuchy. Nie cieszysz się?

– Bardzo się cieszę. Ostrzegam cię tylko, Karolku, że z łatwością możesz być wciągnięty do tej roboty. Właśnie zastanawiałem się nad tym, kogo by tu sobie przygruchać do pomocy.

– Jakaś skomplikowana historia? – spytał Walczak.

– Pozornie robi to wrażenie typowego zabójstwa na tle rabunkowym. Ale diabli wiedzą, co z tego może wypłynąć. Wiesz, jak to bywa.

Walczak rozejrzał się po pokoju.

– Solidnie rozbebeszyli lokal – mruknął. – Szukali chyba waluty. Biurko rozwalone, drzwi szaty wyrwane, posadzka pozrywana. Ale narobili bałaganu. Niech ich cholera. Ile tu książek! Co ten lacet bibliotekę publiczną zakładał czy jak?

Downar wzruszył ramionami.

– Zbieracz, bibliofil. Przyjrzyj się dobrze. Większość to muzealne okazy, białe kruki.

Walczak zaczął grzebać w porozrzucanych bezładnie na

podłódze książkach i kręcił głową z podziwem.

– Rzeczywiście! Fantastyczne zbiory! Ile to lat musiał kompletować. Trzeba mieć zamiłowanie. Stare druki, pergaminy ręcznie pisane. Masz rację, że to muzealne okazy. Widziałeś te płyty?

– Jakie płyty? – zainteresował się Downar.

– No, płyty gramofonowe, tu na dole w szafie Wszystko utwory Wagnera, „Tannhäuser”, „Lohengrin”, „Złoto Renu”, „Walkiria”, „Śpiewacy Norymberscy. To był entuzjasta muzyki Wagnerowskiej. Kupa tych płyt.

– Każdy ma swoje przyjemności – mruknął Downar.

– Wiesz, co mnie zastanawia?

– Co takiego?

– To, że morderca szukał, jak słusznie zauważyłeś, pieniędzy, ale także grzebał w książkach.

– Może przypuszczał, że ten bibliofil trzymał w swoich zbiorach miękkie dolary? To dosyć popularny sposób przechowywania waluty. Sądząc po zdemolowaniu mieszkania, wydaje mi się, że tu działał nie jeden osobnik. Musiało ich być paru. Słuchaj, Stefuś, czy już rozmawiałeś z sąsiadami?

– Ale skąd – zachnął się Downar. – Widzisz przecież, że dopiero zacząłem urzędować. Przed chwilą zabrali zwłoki. Przesłuchałem tylko mleczarkę.

– Mleczarkę?

– Tak. Ona pierwsza spostrzegła morderstwo. Przyniosła, jak zwykle, mleko i zauważyła, że drzwi są otwarte. Weszła więc do mieszkania i wtedy zobaczyła, co się stało. Narobiła krzyku, ktoś zatelefonował do komendy... no i przyjechałem.

– To znaczy, że zabili go w nocy?

– Wczoraj wieczorem. Doktor Ziemba określił przybliżony czas zgonu między dwudziestą a dwudziestą drugą.

– Czym go załatwili?

– Tym – Downar wskazał leżący na stole sztylet.

– Ładna zabawka – powiedział z uznaniem Walczak.

– Jakiś wschodni nożyk. Ciekawe byłoby się dowiedzieć, czy to własność denata, czy też morderca przyniósł ze sobą?

– Przypuszczam, że to tego zbieracza – powiedział Downar.

– Kto u nas posługuje się taką egzotyczną bronią?

– Sztylet tkwił w ranie?

– Tak.

– Przebił serce?

– Tak.

Walczak w zamyśleniu potarł wierzchem dłoni podbródek.

– No cóż, Stefuś, życzę ci powodzenia w robocie. Myślę, że przede wszystkim musisz się zapoznać z przyjaciółmi i z rodziną zmarłego. Warto też chyba rozejrzeć się wśród takich samych zwariowanych zbieraczy, jakim był nieboszczyk.

– Idziesz już?

– Idę. Helenka czeka na mnie w kawiarni. Wpadłem tylko na chwileczkę, żeby cię zobaczyć. Trzymaj się. A jak będziesz potrzebował jakiejś genialnej rady, to zadzwoń do mnie.

Po wyjściu Walczaka Downar odczekał jeszcze z pół godziny, aż fachowcy od daktyloskopii skończyli swoją robotę i wspomagany przez sierżanta Pakułę rozpoczął przeszukiwanie mieszkania. Było to zadanie dość skomplikowane, ponieważ Błażej Reiting w nieprawdopodobny sposób zagracił mieszkanie. Pudełka, pudełeczka, skrzynki, walizki pamiętające chyba czasy dyliżansów, puszki, przeróżne bibeloty, srebrne naczynia, figurki porcelanowe. Nie mówiąc już oczywiście o ogromnej liczbie książek, nie tylko ułożonych na półkach i w szafach, ale także zmagazynowanych w piwnicy. Nie ulegało wątpliwości, że dokładne przejrzanie tego wszystkiego zajmie kilka dni.

Downar zdał sobie sprawę z tego, że trzeba rozłożyć robotę na dłuższy czas i że musi zażądać pomocy. Na razie więc zorientował się pobieżnie w sytuacji, odnalazł katalog zbiorów garbatego bibliofila i postanowił zdobyć trochę informacji.

Najbliższymi sąsiadami Błażeja Reitinga byli Sosnowscy. On pracował w Ministerstwie Oświaty, ona była bibliotekarką. Ludzie cisi, spokojni, bezdzietni, cieszący się swoim skromnym, uregulowanym życiem. Zbrodnia popełniona w sąsiednim mieszkaniu zrobiła na nich ogromne wrażenie. Byli wstrząśnięci.

– To straszne, straszne – powtarzała Sosnowska. – Biedny

pan Reiting. Nie mogę sobie wyobrazić, że już nie żyje. I dlaczego? Kto mógł to zrobić?

– Czy państwo wczoraj wieczorem nie słyszeli niczego podejrzanego? – spytał Downar.

Sosnowski potrząsnął głową.

– Nie. Absolutnie nic. Zresztą wieczorem nie było nas w domu. Chodzimy na koncerty piątkowe do filharmonii. Mamy abonamenty.

– O której godzinie państwo wyszli z domu?

– Przed siódmą.

– Dokładnie za piętnaście siódma – uzupełniła pani Sosnowska.

– A wrócili państwo?

– Około dziesiątej. Może było parę minut po dziesiątej. Wolno szliśmy z filharmonii. Chcieliśmy się trochę przejść przed spaniem.

– Państwo lubią muzykę?

Sosnowski przytaknął skwapliwie.

– Bardzo. Szczególnie moja żona. Chodziła kiedyś do konserwatorium.

– Cóż ty takie dawne czasy wspominasz, Józieczku? – uśmiechnęła się Sosnowska.

– Jak państwo wrócili z koncertu, to nie zauważyli państwo, że drzwi od mieszkania pana Reitinga są uchylone?

– Nie.

– A pan też tego nie zauważył?

– Nie. Nie pamiętam, czy w ogóle patrzyłem w tamtą stronę. Chyba nie.

– Nie słyszeli państwo jakichś krzyków czy też kłótni?

– To było wcześniej – powiedziała pani Sosnowska.

Sosnowski zgromił ją spojrzeniem.

– Dajże spokój, Marylko, po co to się wtrącać w takie sprawy?

– Jeżeli pan major pyta, to przecież muszę powiedzieć.

Downar ze zdziwieniem spojrział na Sosnowskiego.

– Nie bardzo pana rozumiem. Przecież chyba obowiązkiem każdego jest dopomóc w ujawnieniu mordercy. Poprosiłem

państwa o pomoc i informacje jako najbliższych sąsiadów zamordowanego.

– Wiem, jakie to w takich wypadkach bywają kłopoty – mruknął Sosnowski. – Będą nas potem włóczyć po komisariatach, sądach. A ja lubię spokój.

– Więc wspomniała pani, że we wcześniejszych godzinach słyhać było w mieszkaniu pana Reitinga jakąś awanturę – podjął Downar.

– Tak. Słyszałam przez drzwi krzyki.

– O której to było godzinie?

– Chyba parę minut po trzeciej. Dokładnie nie wiem.

– A czy pani domyśla się, z kim dyskutował pan Reiting?

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że krzyczał ten starszy pan, który co jakiś czas odwiedzał pana Reitinga.

– Zna pani nazwisko tego starszego pana?

– Nie.

– A jak wygląda?

– Wysoki, kościsty, mocnej budowy. Ma gęstą, siwą czuprynę. Nosi okulary.

– Czy pani nie słyszała, o co chodziło konkretnie w tej awanturze?

– Nie mam zwyczaju podsłuchiwać pod drzwiami – powiedziała urażona nieco pani Sosnowska. – Ale krzyczał tak głośno, że... Zdaje się, że chodziło o jakieś druki. Ten pan krzyczał, że musi je odzyskać. Bardzo głośno krzyczał.

– A pan Reiting?

– Głosu pana Reitinga nie słyszałam.

Downar zanotował coś w notesie i po chwili spytał:

– Czy państwo utrzymywali z panem Reitingiem stosunki towarzyskie?

– Ale skądże znowu – zaprzeczył z ożywieniem Sosnowski.

– Żadnych stosunków towarzyskich. Ot, po prostu czasem się po sąsiedzku zamieniło parę słów.

– Ja kiedyś pomagałam mu przy katalogowaniu książek – dodała pani Sosnowska.

– Czym zajmował się pan Reiting oprócz zbierania książek?

– Udzielał lekcji języków obcych.

- Dużo miał uczniów?
- Dosyć dużo. Podobno dobrze uczył.
- Podczas katalogowania książek rozmawiała pani z nim oczywiście?
- No, tak.
- Czy pani się nie orientuje, czy pan Reiting miał jakąś rodzinę, jakichś krewnych?
- Wspominał mi o siostrzeńcu, z którym miał kłopoty.
- Jakie kłopoty?
- Chłopak nie chciał się uczyć. Wyrzucili go ze szkoły zawodowej. Wpadł w złe towarzystwo.
- Zna pani nazwisko tego siostrzeńca?
- Nie. Wiem tylko, że na imię ma Roman.
- Widziała go pani kiedy?
- Nigdy.
- A czy o innych członkach swojej rodziny pan Reiting nie opowiadał pani?
- O ile się orientuję, to nie miał nikogo. Mówił, że wszyscy jego bliscy zginęli w czasie okupacji.
- Downar zadał jeszcze kilka pytań dotyczących życia i zwyczajów zamordowanego, a następnie podziękował państwu Sosnowskim za rozmowę i wrócił do sierżanta Pakuły.
- Co nowego?
- Znalazłem to, obywatelu majorze – powiedział sierżant, podając gruby brulion w twardej oprawie, w którym Reiting zapisywał dni i godziny lekcji.
- Downar usiadł i z zainteresowaniem zaczął przewracać zeszytowe kartki. Po pewnym czasie ustalił, jakie nazwiska powtarzały się regularnie we wtorki i piątki. Starannie zanotował te nazwiska i oddał sierżantowi brulion.
- Dołączycie to do akt sprawy – powiedział.
- A od jutra musimy zacząć wędrówki po szkołach zawodowych.
- Po szkołach? – zdziwił się Pakuła.
- Tak. Trzeba sprawdzić, z której szkoły wyrzucili chłopaka imieniem Roman. To siostrzeniec denata. Podobno chuligan, bandzior.

– Nielatwa sprawa – Pakuła z powątpiewaniem pokręcił głową. – Z niejednej szkoły mogli wywalić Romana. Nie takie rzadkie imię.

– Nie ma innej rady. Chłopaka musimy odszukać. Zabierze to nam trochę czasu, ale trudno.

Zupełnie przypadkowo pomógł im dozorca domu.

– Romek? Siostrzeniec pana Reitinga? On się na elektryka kształcił. Jak tu mieliśmy kiedyś spięcie w pionie, że na całej jednej stronie światło wysiadło, to on zreperował. Przyszedł jak raz wujka odwiedzić.

– Nie wie pan, jak on się nazywa? – spytał Downar.

– E, tego nie wiem.

Na drugi dzień z samego rana ustalili personalia siostrzeńca Błażeja Reitinga. Uzyskane informacje okazały się ścisłe. Rzeczywiście uczęszczał do technikum elektrycznego, z którego został usunięty za chuligaństwo i drobne kradzieże. Roman Grabczak, lat dwadzieścia, zamieszkały w Warszawie przy ulicy Kawęczyńskiej, gdzie odnajmował służbowy pokój przy kuchni.

Feliks Rokicki, z zawodu ślusarz mechanik, udzielił krótkich, rzeczowych informacji.

– Owszem, mieszka u mnie, ale chyba go na zbity łeb wywalę, bo to nic dobrego. Kiedy się do mnie wprowadził? Ano jakoś w zeszłym roku na wiosnę. Zenek mi go naraił.

– Kto to jest Zenek? – spytał Downar.

– To syn mojego nieboszczyka brata. Także nic mu się robić nie chce. Miał dobrą pracę, to rzucił. Pije. Bo to, panie, z tymi chłopakami teraz to nie daj Boże. Życ by chcieli luksusowo, ale robić nie chcą. Nie wiadomo, jak do takiego podejść.

– Jak pan sądzi, gdzie teraz może być Roman?

– Diabli go miedzą. Nie wraca ha noc. Już go dwa dni nie widziałem.

– Płaci za mieszkanie punktualnie?

– Tak. Czasem zalega kilka dni, ale na ogół płaci w terminie.

– Skąd bierze pieniądze?

– A tego to już ja nie wiem.

– Nigdzie nie pracuje?

– Chyba nigdzie. Nie widać, żeby się spieszył do pracy.
– Opowiadał coś o swojej rodzinie?
– Mówił, że ma wujka w Warszawie, takiego, co to książki zbiera. Podobno nawet wuj chciał go wziąć do siebie.
– No i dlaczego nie zamieszkał u wujka?
– Nie miał chęci. Mówił, że byłby skrupowany, że wuj by go kontrolował. Chciał mieć swobodę. No pewnie, że stary nie pozwoliłby na te wszystkie chuligaństwa. Pędziłby do jakiejś roboty. Bardzo pana przepraszam, panie majorze, ale czy ten chłopak ukradł co, że pan się tak o niego dopytuje?

Downar potrząsnął głową.

– Nie chodzi o kradzież. Wuj Romana Grab- czaka został w piątek wieczorem zamordowany.

– Rany boskie! – Rokicki otarł pot z czoła. – Zamordowali tego garbatego?!

– Skąd pan wie, że on był garbaty? – zapytał Downar.

Stary ślusarz trochę się zmieszał.

– No bo... widzi pan... ja właściwie kiedyś u niego byłem.

– Był pan a Błażeja Reitinga?

– Ano byłem.

– Po co?

– Miałem tam taką małą robótkę. Trzeba było półki wzmocnić, dać okucia. Przy okazji założyłem zamki do biurka i do szafki z książkami. A w gruncie rzeczy to chciałem pogadać o tej pani.

– O jakiej pani? – zdziwił się Downar.

– Taka jakaś elegancka blondyna przykleiła się do Romana. Parę razy ich spotkałem. Spytałem się Romana, kto to taki. Powiedział, że to uczennica wujaszka. Jakoś mi się to nie podobało, bo, proszę pana, taka szykowna dama nie będzie się zadawała z byle pętakiem.

Może ten Roman bardzo przystojny?

– Gdzie tam przystojny – skrzywił się Rokicki.

– Taki sobie chłopaczyna jeszcze dobrze niewypierzony. Nic nadzwyczajnego. Wydało mi się ogromnie podejrzane, że piękna, elegancka kobieta spotyka się z gówniarzem.

– Dlaczego pan chciał w tej sprawie rozmawiać z panem

Reitingiem?

— No, jak to dlaczego? Po prostu się bałem, że coś się niedobrego szykuje. Tak mi się widziało, że ten garbaty profesor musi mieć sporo forsy, może złoto, walutę. Niby nic specjalnie takiego nie zauważyłem, ale...

— Ale jak pan zakładał zamki do szuflad biurka... — uzupełnił Downar.

— O, właśnie. Jakby pan major zgadł. Coś niecoś zobaczyłem. Chyba to były złote dolary i to pewnie sporo. No, to jak znowu spotkałem Romana z tą uczennicą pana Reitinga, która mówiąc między nami wcale na uczennicę nie wyglądała, tylko na kogoś zupełnie innego... No, więc jak ją zobaczyłem z Romkiem, taką luksusową kobietę, to pomyślałem, że może być z tego coś niedobrego. I faktycznie, dobrze wyczułem.

— Podejrzewa pan Romana?

Rokicki gwałtownie zatrzepotał dłońmi.

— Ależ... uchowaj Boże! Wcale nie chciałem tego powiedzieć. Gdzieżby Roman... Nie. To do niego niepodobne. Ukraść, tak coś tego, to owszem, ale zamordować... Nie, panie majorze, nie ten typ chłopaka. Za miękki. Nie miałby odwagi.

Downar bez przekonania pokiwał głową.

— Tak. Niech mi pan jeszcze powie, panie Rokicki, jak się odbyła ta rozmowa między panem a panem Reitingiem?

— Ano zwyczajnie. Powiedziałem mu, że Romek chodzi z tą jego uczennicą i żeby z tego nie było jakiejś draki.

— A on co na to?

— Śmiał się. Powiedział, że jak chłopakowi wpadła w oko dziewczyna, to on nic na to nie poradzi.

— Wiedział, o kogo chodzi?

— Nie. Mówił, że przychodzą do niego na lekcje różne ładne kobiety. Żartował. To był dziwny człowiek.

— Dlaczego uważa pan, że był dziwny?

— Dlatego, że jak się z nim rozmawiało, to nigdy nie było wiadomo, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje. I maskę miał taką straszną, że dreszcze brały, jak się na niego patrzyło. Ja jestem przecie stary chłop i różne już w życiu rzeczy widziałem, ale jak zostałem z nim sam w czterech ścianach, to mnie strach

obleciał. Daję słowo.

— Więc nie dowiedział się pan od niego, z którą to babką flirtował Roman?

— Nie. Nie dowiedziałem się. Mówiłem, że blondyna. Uśmieł się i powiedział, że dużo blondyn przychodzi do niego na lekcje.

— Dlaczego pan się tak zainteresował Romanem? Przecież to żaden pański krewny.

— No, co z tego, że nie krewny. Młody chłopak, mieszka u mnie... Tak mimo woli człowiek się zainteresuje. A już od jakiegoś czasu zdawało mi się, że chuligan się z niego robi. Pomyślałem sobie: pogadam z tym wujem, niechby mu trochę rozumu do łba nakładł.

— No, dobrze, a co jeszcze pan Reiting mówił o swoim siostrzeńcu?

— Mówił, że się orientuje, że to kawał drania, że uczyć się nie chce i że na złą drogę zejdzie. Ale tłumaczył mi, że on na to żadnej rady nie ma, bo z chłopakiem nie może się dogadać. Nie chce się uczyć, nie chce nic robić i koniec. Nie można mu przetłumaczyć.

Downar zapisał sobie adres bratanka Rokickiego, podziękował staremu ślusarzowi za informacje i pojechał do komendy. Natychmiast wysłał ludzi po kolegę Romana, ale, jak przewidywał, nie zastano go w domu i od paru dni nikt z sąsiadów go nie widział. Komisariat na Mokotowie miał ustaloną opinię o Zenonie Rokickim: chuligan, złodziej, nigdzie nie pracuje, parokrotnie karany. Ostatnio kombinuje ze znanym opryszkim, Marianem Chojnickim, używającym pseudonimu „Gruby”. Komisariat z Woli potwierdził te informacje. Chojnicki także zniknął i to w tym samym czasie, co tamci dwaj.

Nietrudno było powiązać fakty i wysnuć z nich pewne konkretne wnioski. A więc banda, w skład której wchodził ewentualnie: Roman Grabczak, Zenon Rokicki i Marian Chojnicki. Być może, że jakieś powiązania miała z nimi owa piękna blondyna, flirtująca z siostrzeńcem Błażeja Reitinga. Zorganizowali napad rabunkowy, zabili wyrwanego ze snu człowieka i uciekli. To była pierwsza, najprostsza hipoteza.

Taka koncepcja nie wydała się jednak Downarowi zbyt przekonującą. Przede wszystkim Chojnicki, który z racji swego przestępczego doświadczenia musiał być typowany na szefa bandy, był zbyt inteligentnym opryszkiem, żeby działać w tak prymitywny sposób i ryzykować tak dużo. Napad z morderstwem to bardzo poważna sprawa. A ileż mogli zrabować u Reitinga? Kilkadziesiąt dolarów, niechby nawet paręset. To wszystko mało jak na taką imprezę. A poza tym nie musieli przecież mordować. Jeżeli było ich trzech, to związanie i zakneblowanie garbatego, starszego człowieka nie przedstawiało większych trudności. Nie mieli potrzeby zabijać. Chojnicki, doświadczony bandzior, bez trudu mógł przewidzieć, że milicja dochodzenie zacznie od Romana, a od niego z łatwością dojdzie do jego kumpli. Wszyscy trzej zniknęli tego samego dnia. To przecież bardzo głupie, tak głupie, że aż nieprawdopodobne.

Komendy wojewódzkie i powiatowe w całym kraju otrzymały polecenie odnalezienia bandytów. Downar zaś postanowił rozszerzyć śledztwo i stworzyć sobie nowe hipotezy. Była to jego stała metoda: nie sugerować się jedną koncepcją, a przeciwnie, budować ich jak najwięcej, aby następnie, drogą logicznej eliminacji, wybrać tę najwłaściwszą, jedynie możliwą.

Ponownie obejrzał mieszkanie na Smolnej, sprawdził, czy prace przy spisywaniu książek posuwają się z należytą szybkością, następnie odbył jeszcze jedną rozmowę z dozorcą.

— Niech mi pan coś powie o tym siostrzeńcu pana Reitinga.

Dozorca był mężczyzną po pięćdziesiątce. Twarz miał czerwoną, szeroką, nieco nabrzmiałą. Niebieskie oczy spoglądały na świat z pogodnym spokojem. Patrząc na tego człowieka nie miało się wątpliwości, że jego najważniejsze problemy to jedzenie i picie.

— Cóż ja mogę, panie majorze, powiedzieć o tym chłopaku? Przecież go nie znam. Widziałem go tu ze dwa, trzy razy, ale to wszystko.

— A jak się panu zdaje — spytał Downar — czy ten chłopak byłby zdolny zabić swego wuja?

Dozorca bez namysłu potrząsnął głową.

— Mnie się zdaje, że nie.

— A dlaczego panu tak się zdaje?

— Bo wie pan... to mikrus, wąły chłopaczyna. Nie ma żadnego wyglądu. Taki jakiś nieśmiały.

No czy ja wiem, jak by tu powiedzieć? Jednym słowem nie widzi mi się, żeby on mógł zadźgać wuja. Już prędzej ten inżynier.

— Jaki inżynier?

— No ten, co tu przychodził. Godzinami w bramie wystawał. Kawał chłopca i tak paskudnie spode łba patrzył.

— Dlaczego w bramie wystawał?

— Bo zazdrosny był.

Downar z coraz większym zdziwieniem spoglądał na dozorcę.

— Zazdrosny? Co wy opowiadacie? O koga zazdrosny?

— No pewnie, że nie o mnie. O żonę był zazdrosny. Nawet mi parę razy dał setkę, żebym wyszedł, czy żona przychodzi do pana Reitinga, jak długo tam siedzi, o której wychodzi.

— Jakże ta inżynierowa wygląda?

— Piękna kobieta. Sam miód. Podstawna blondyna, że aż miło popatrzeć.

— I była kochanką Reitinga?

Dozorca wzruszył ramionami.

— Tego to już ja tam nie wiem. Przychodziła do niego.

— Może na lekcje przychodziła? '

— Najprzód na lekcje, a potem, zdaje się, że nie na lekcje.

Downar pokręcił głową.

— Nieprawdopodobne, zupełnie nieprawdopodobne. Przecież to był ułomny człowiek.

— Faktycznie, śliczny nie był. Sam się dziwiłem. Ale kto to kobietę wyrozumie, panie majorze? Jeszcze się taki nie urodził.

— I opowiadacie, że to naprawdę ładna kobieta?

— Nie ładna, ale piękna. Ja się, panie majorze, na tych sprawach trochę znam. Zawsze mnie takie rzeczy interesowały. Śliczna, szykowna blondyna. Rzadko się takie spotyka.

— A skąd wiecie, że jej mąż jest inżynierem?

— Bo kiedyś tu zajechał służbową „Wołgą” i słyszałem, jak szofer do niego mówił „panie inżynierze”.

— Ale nazwiska tego inżyniera nie znacie?

— Nie znam.

— A poznalibyście go?

— Oczywiście.

— W jakim może być wieku?

— Pięćdziesiąt kilka będzie miał, ale się ładnie trzyma.

Po rozmowie z dozorcą Downar wrócił do komendy i zabrał się do studiowania zeszytu, w którym Reiting zapisywał lekcje. Miał już wprawdzie w swoim notesie odnotowane nazwiska wtorkowych i piątkowych uczniów, ale wolał jeszcze raz sprawdzić. To pożyteczne zajęcie przerwał mu sierżant Pakuła.

— Obywatelu majorze, znaleźliśmy w piwnicy pudełka z taśmami.

— Z jakimi taśmami?

— Z magnetofonowymi. Pięć pudełek. Wszystkie taśmy nagrane.

Downara bardzo zainteresowała ta wiadomość. Natychmiast kazał przynieść magnetofon.

Na znalezionych w piwnicy taśmach zostały utrwalone dialogi mężczyzny i kobiety. Były to rozmowy o literaturze, o sztuce i o filozofii. Głos męski, głęboki, basowy, miał łagodne, miękkie brzmienie, opowiadał, wyjaśniał, operował przykładami, cytował autorów. Kobieta początkowo odzywała się rzadko, jakby nieśmiało pytała, prosiła o wytłumaczenie jakiegoś zagadnienia. Na dalszych taśmach mówiła coraz śmielej, była coraz bardziej pewna siebie, wygłaszała własne teorie w różnych sprawach. Czulo się zupełnie wyraźnie, że nabiera erudycji i odwagi. Parę razy padło imię męża czy przyjaciela: „...Henryk jest o mnie bardzo zazdrosny...”, „...Henryk nie pozwala mi przychodzić do pana...”, „...Boję się, żeby między panem a Henrykiem nie doszło do jakichś przykrych scen...”. Może lepiej przestaniemy się widywać...”, „Nie, nie, nie przyjdę więcej. To niebezpieczne... Henryk...”

Downar z ogromnym zainteresowaniem przesłuchiwał taśmy. To był niewątpliwie ciekawy materiał. Nie tracąc czasu, zabrał magnetofon, sierżanta Pakułę i pojechał na Smolną.

Zarówno dozorca, jak i państwo Sosnowscy bez żadnych wątpliwości poznali głos Błażeja Reitinga. Downar zachodził w głowę, dlaczego ten dziwny człowiek utrwał na taśmach magnetofonowych rozmowy z tą kobietą. Wreszcie doszedł do wniosku, że Reiting musiał być zakochany i pragnął utrwalić głos pięknej inżynierowej. To była właściwie jedyna prawdopodobna hipoteza.

W komendzie wrócił do wykazu uczniów zamordowanego. Około dwóch godzin zajęło mu telefonowanie do różnych osób, które ewentualnie mogły wchodzić w grę. I wreszcie znalazł to, czego szukał. W słuchawce posłyszał kobiecy głos z taśmy magnetofonowej. A więc inżynierowa Paśławska. Żeby się jeszcze upewnić, połączył się z biurem paszportowym. Odpowiedziano mu, że Paśławski Henryk jeździł służbowo za granicę i że oczywiście mają jego fotografię.

Downar raz jeszcze odwiedził dozorcę na Smolnej.

– Poznaje pan tego inżyniera? – spytał pokazując zdjęcie.

Dozorca zdecydowanie skinął głową.

– No pewnie, że go poznaję. Ten sam. Dobrze wyszedł. Tylko tutaj, na tej odbitce trochę mniej bandziorowaty. Uśmiechnięty. Jak w bramie stał, to minę miał taką więcej spod ciemnej gwiazdy.

– Stanie godzinami w bramie nikogo dobrze nie usposabia – zauważył Downar.

– To też racja. Czy pan major myśli, że to on pchnął nożem pana Reitinga?

– Nie wiem.

Paśławski nie był zaskoczony, kiedy go sierżant Pakuła zaprosił do milicyjnego wozu. Wiedział, że to się musi tak skończyć.

– Pozwoli pan zatelefonować do żony?

Pakuła zawahał się.

– Zadzwoń obywatel z komendy – powiedział.

Downar przyjął gościa z niezwykłą uprzejmością.

Wyjął z biurka reprezentacyjne papierosy, kazał przynieść kawę. Wskazał zapraszającym ruchem fotele stojące przy bocznym stoliku. Chciał, żeby ta rozmowa miała możliwie jak

najmniej oficjalny charakter.

— Przepraszam, że pana niepokoję, panie inżynierze, ale chciałbym prosić o pewne wyjaśnienia, o pomoc.

Pasławski skinął głową w milczeniu. Widać było, że z trudem panuje nad zdenerwowaniem.

— Prowadzę obecnie dochodzenie w dość skomplikowanej sprawie – ciągnął dalej Downar, uważnie obserwując twarz inżyniera – i w związku z tym jestem zmuszony zgromadzić jak najwięcej materiału informacyjnego, który pozwoliłby mi się należycie zorientować w sytuacji.

Pasławski zapalił papierosa i powiedział schrypniętym nieco głosem:

— Przystąpmy do rzeczy, panie majorze.

Downar poprawił się w fotelu.

— Otóż sprawa przedstawia się w ten sposób, że w ubiegły piątek został zamordowany w swym mieszkaniu niejaki Błażej Reiting. Czy pan znał tego człowieka?

— Tak.

— Czy może mi pan powiedzieć, w jakich okolicznościach poznał go pan?

— Moja żona uczyła się u niego angielskiego.

— A przedtem nie znał go pan?

— Nie.

— W jaki sposób państwo trafili do pana Reitinga?

— Ktoś ze znajomych polecił mi go jako dobrego nauczyciela.

— To znaczy, że pan znalazł żonie nauczyciel angielskiego?

— Tak.

— Reiting miał powierzchowność dość szokującą. Czy nie przyszło panu na myśl, że pańskiej żonie przykro będzie uczyć się u człowieka o takim wyglądzie?

Pasławski ściągnął brwi.

— Szukałem dla żony dobrego nauczyciela, a nie amanta – powiedział rozdrażniony.

— Oczywiście, oczywiście – przytaknął skwapliwie Downar.

— Doskonale pana rozumiem. Pańska małżonka była zadowolona z tych lekcji?

— Bardzo była zadowolona – odparł z wyraźną intencją w

głosie Paślowski.

Downar wypił łyk kawy i spytał:

– Od jak dawna pańska żona uczyła się angielskiego?

– Chyba od dwóch lat.

– I do ostatnich dni pani chodziła na lekcje do Reitinga?

Paślowski zawahał się. Nietrudno było się domyślić, że rozmowa wkracza na niemiły dla niego teren.

– Kilka miesięcy temu żona moja przerwała lekcje angielskiego, ale...

– Ale co? – podchwycił szybko Downar.

– Ale od czasu do czasu odwiedzała jeszcze swojego nauczyciela.

– I panu nie podobało się to?

– Nie.

– Prosił pan żonę, żeby nie chodziła z Luizytami do Reitinga?

– Tak.

– Ale ona nie zastosowała się do pańskiej prośby?

– Nie wiem. Jestem bardzo zajęty. Nie mam czasu interesować się zbyt tym, co robi moja żona.

Downar ponownie napełnił filiżankę kawą i podsunął swemu gościowi papierosy.

– Rozmawiałem niedawno z dozorcą domu, w którym mieszkał pan Reiting. Otóż dozorca twierdzi, że pan śledził swoją żonę, że nieraz czekał pan na nią w bramie parę godzin i że nadto ofiarowywał pan mu pieniądze za informacje, czy żona pańska odwiedza swego nauczyciela i jak długo u niego przebywa. Czy to jest zgodne z prawdą?

Paślowski milczał.

– Czy to jest zgodne z prawdą? – powtórzył pytanie Downar.

– To są moje prywatne sprawy.

– Więc odmawia pan odpowiedzi?

– Odmawiam.

Downar z zakłopotaniem pokręcił głową.

– No, cóż... ma pan oczywiście prawo nie odpowiadać na moje pytania. Tylko... widzi pan, panie inżynierze, to jest

bardzo poważna sprawa, morderstwo. A tak się fatalnie złożyło, że pan miał pewne powody, żeby być niechętnie usposobionym do Błażeja Reitinga. A propos, gdzie pan przebywał w piątek wieczorem między godziną dwudziestą a dwudziestą drugą?

– Spacerowałem.

– Sam?

– Sam.

– I tak pan spacerował przez dwie godziny?

– Dwie czy trzy, nie pamiętam.

– I nikt ze znajomych pana nie widział?

– Nie. Przynajmniej ja nie spotkałem nikogo znajomego. Czy pan usiłuje sprawdzić moje alibi, panie majorze?

– To jest bardzo prawdopodobne.

Pasławski uśmiechnął się blado.

– Niestety, muszę panu zrobić zawód. Jeżeli chodzi o ten piątkowy wieczór, to nie mam alibi.

– A czy w piątek odwiedzał pan może pana Reitinga?

– Nie.

Downar otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale w tej chwili zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos sierżanta Pakuły:

– Obywatelu majorze, zgłosiła się tu jedna obywatelka. Mówi, że to ona zabiła Błażeja Reitinga.

Rozdział 7

– Więc pani twierdzi, że pani zabiła Błażeja Reitinga?

Skinęła głową.

– Tak, to ja go zabiłam.

Downar przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

Bardzo ładna, efektowna blondyna – pomyślał. – Elegancka, szykowna...

Ostatnio ciągle ktoś mu opowiadał o ładnych blondynkach.

– Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, dlaczego pani to zrobiła. Jaki motyw tej zbrodni?

Wargi jej tak drżały, jakby się miała zaraz rozpląkać.

– Chciałam się uwolnić od tego człowieka – powiedziała z

wysiłkiem. – Musiałam.

– Nie rozumiem. Chciała się pani od niego uwolnić? Czy mogłaby mi pani to wytłumaczyć?

– Jestem bardzo zmęczona – szepnęła, przesuwając dłonią po czole. – Tak, trudno mi zebrać myśli...

Downar ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Doskonale zdaję sobie sprawę z pani zdenerwowania. Takie wyznanie dużo kosztuje, wymaga ogromnego wysiłku, napięcia nerwów. Niemniej jednak, z chwilą kiedy pani zdecydowała się już na to, jestem zmuszony wyjaśnić sprawę do końca. A więc powtarzam moje pytanie: Dlaczego pani chciała, a co więcej musiała się od niego uwolnić? Proszę odpowiedzieć mi zupełnie spokojnie, bez pośpiechu.

Paśławska spuściła oczy. Niekontrolowanymi ruchami szarpała chusteczkę.

– Chciałam przestać się z nim widywać – powiedziała bardzo cicho.

– Aby przestać się z kimś widywać, nie ma chyba potrzeby zabijać go – zauważył Downar.

– Nie miałam innego wyjścia.

– Nie rozumiem.

– Ten człowiek tak mnie omotał, tak na mnie oddziaływał, że musiałam do niego przychodzić.

– Była pani jego kochanką?

– Nie, nie! Pan mnie źle rozumie. Rozmowa z nim sprawiała mi rozkosz.

Downar ze zdziwieniem patrzył na młodą kobietę. Nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Czuł, że traci grunt pod nogami. W pierwszym momencie nie wierzył, że to ona zabiła. Był wewnętrznie przekonany, że przyznała się do winy, aby ratować męża. Teraz jednak w jej oszczędnych, prostych słowach wyczuł tyle prawdy, że zaskoczyło go to.

Albo ona rzeczywiście zabiła tego człowieka – myślał – albo miała zamiar to zrobić.

Odczekał chwilę, a następnie znowu spytał:

– Czy pan Reiting wyznał pani swą miłość?

– Nie. Nigdy nie rozmawialiśmy na takie tematy.

– O której godzinie zabiła go pani?

– Wieczorem. Godziny nie pamiętam. W takich sytuacjach nie patrzy się na zegarek.

– Tak, oczywiście. A może mi pani powiedzieć, skąd pani wzięła pistolet, z którego pani zastrzeliła Reitinga?

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Pan mi nie wierzy. Ja przecież go nie zastrzeliłam. Ja sztyletem... Dlaczego pan mi nie wierzy?

Downar uśmiechnął się.

– Niestety, proszę pani, to podstawowa zasada mojego zawodu: nie wierzyć ludziom. Chciałbym jeszcze o coś panią spytać. Czy ten sztylet, którym został zabity, jak pani twierdzi, Błażej Reiting, był jego własnością?

Zauważył, że się zaniepokoiła.

– Tak. To był sztylet pana Reitinga. Używał go do przecinania kartek.

– To ładna, egzotyczna broń.

Patrzyła na niego czujna, pełna wewnętrznego nacięcia. Nic nie powiedziała.

– Często pani odwiedzała pana Reitinga?

– Jak chodziłam na lekcje, to dwa razy w tygodniu, we wtorek i w piątek. Potem różnie, ale także przeważnie w piątki. To był nasz stały dzień.

– Proszę mi powiedzieć, czy mąż pani był przeciwny tym spotkaniom?

– Tak. Mąż mój nie chciał, żebym się widywała z Reitingiem.

– Był zazdrosny?

– Myślę, że tak. Mój mąż bardzo mnie kocha.

– I pani była skłonna zrujnować swoje małżeństwo dla Błażeja Reitinga?

– Pan nie jest w stanie tego zrozumieć – powiedziała bardzo cicho. – To są trudne do wytłumaczenia sprawy. Ja... Ja nie chciałam do niego chodzić, a jednocześnie nie mogłam przestać go odwiedzać. To było coś takiego, czego sama nie potrafiłam sobie wytłumaczyć. Kiedy zbliżał się piątek, odczuwałam dziwny, dręczący niepokój, nie mogłam tego w sobie zwalczyć i... szłam na Smolną. Żyłam jak pod działaniem jakiegoś

narkotyku. Wreszcie postanowiłam z tym skończyć. Tylko jego śmierć mogła mnie z tego wyzwolić. Musiałam... Musiałam...

Downar był coraz bardziej zbity z tropu. Intuicyjnie wyczuwał, że ta kobieta nie jest morderczynią, że nie byłaby zdolna wbić swemu nauczycielowi w serce sztylet po rękojeść, a jednak...

– Chciałbym, żeby mi pani dokładnie odtworzyła scenę zabójstwa.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Nie mogę! Nie mogę! Niech mnie pan nie męczy! Nie mam siły dłużej z panem rozmawiać. Przyznałam się. Proszę mnie odesłać do więzienia. Przyznałam się.

Downar skinął głową, podniósł słuchawkę i wezwał porucznika Kobięłę.

– Zajmijcie się panią – powiedział. – Za chwilę was poproszę.

Kiedy wyszli, kazał wprowadzić Paślawskiego.

– Przepraszam, panie inżynierze, że pozwoliłem panu czekać tyle czasu, ale zaszły pewne niespodziewane okoliczności. Przed chwilą rozmawiałem z pańską żoną.

– Moja żona tu była?! – wykrzyknął Paślawski.

– Tak. Przyszła, żeby złożyć zeznanie.

– Jakie zeznanie?

– Twierdzi, że to ona zabiła Błażeja Reitinga.

Paślawski zerwał się.

– To nieprawda! Pan przecież nie wierzy, że ona...

– To, co mówi pańska żona, jest zupełnie przekonujące. Nie mam powodu, aby jej nie wierzyć.

– Ależ, panie majorze, to kłamstwo! Okłamała pana! Ona nie zabiła Reitinga.

– Więc według pana kto jest mordercą?

– Ja.

Downar roześmiał się.

– Musi pan przyznać, że stawiacie mnie państwo w trochę trudnej sytuacji. Pańska żona twierdzi, że to ona zamordowała, a pan... Przecież zeznał pan, że w ubiegły piątek nie odwiedzał pan Reitinga.

– Kłamałem.

– Więc odwołuje pan tamte zeznania?

– Odwołuję. To mi chyba wolno?

– Oczywiście, że panu wolno. Tylko... widzi pan, panie inżynierze, cała trudność polega na tym, że teraz nie wiem, które z pańskich zeznań zgodne jest z prawdą.

– Stwierdzam, że to ja zabiłem Reitinga.

– Pańska żona twierdzi, że to ona.

– Czy pan tego nie rozumie, panie majorze? – powiedział podniecony Paślawski. – Czy pan tego nie rozumie, że moja żona po to przyznała się do zabójstwa, żeby mnie ratować? To przecież jasne.

– Albo też pan obecnie przyznaje się do winy, aby ratować swoją żonę. To też jest bardzo prawdopodobne.

– Panie majorze... – Paślawski przelknął ślinę i pochylił się ku Downarowi. – Panie majorze... przecież pan nie wierzy w to, żeby wątła kobieta mogła wbić nóż w serce. To jest nieprawdopodobne, zupełnie nieprawdopodobne. Zresztą dlaczego miałyby to zrobić?

– A dlaczego pan miałyby to zrobić?

– Przecież pan wie.

– Zazdrość?

– Prosiłem Julię, żeby się z nim nie spotykała, zaklinałem ją, błagałem, wreszcie groziłem. Obiecywała, że już nie pójdzie do niego, ale nie dotrzymywała słowa. Okłamywała mnie. Widywała się z nim ciągle. A mnie ogarniała coraz większa wściekłość. Czuję się bezsilny, zupełnie bezsilny. I upokorzony. Wygląd tego Reitinga... Pan rozumie? Nie mogłem już dłużej znieść... Nie mogłem!

– I wreszcie postanowił pan zabić Błażeja Reitinga?

– Tak.

– W piątek wieczorem poszedł pan do niego?

– Tak.

– Czy pan był zdecydowany zabić go właśnie tego dnia?

Paślawski potrząsnął głową.

– Nie, nie byłem zdecydowany. To znaczy... nosiłem się z tą myślą, ale nie wiedziałem, że to się stanie właśnie wtedy.

– Może mi pan opowie, jak doszło do zabójstwa? – zaproponował Downar.

Paślawski poruszył się niespokojnie.

– Doszło między nami do ostrej wymiany zdań. Zażądałem kategorycznie, żeby przestał widywać się z moją żoną. Zaczął ze mnie drwić. Wtedy chwyciłem leżący na stole nóż i...

– To dziwne. Wszystko wskazuje na to, że Reiting został zamordowany w łóżku.

– Bo stał koło łóżka – wyjaśnił pośpiesznie Paślawski. – Upadł na łóżko.

– A więc Reiting, otrzymawszy cios w serce – powiedział w zamyśleniu Downar – upadł na łóżko, po czym zdjął buty, żeby nie powalać pościeli.

Paślawski spojrzał zaskoczony:

– Nie rozumiem.

– To proste. Kiedy znaleziono trupa Reitinga, na nogach nie miał butów. Przyzna pan, panie inżynierze, że to intrygujące.

Paślawski milczał. Bezdźwięcznie poruszał wargami.

– Czy pan Reiting poczęstował pana herbatą?

– spytał Downar.

– Nie. Skądże?

Major uważnie spojrzał na zatroskaną twarz Paślawskiego.

– Chciałbym panu coś zaproponować, panie inżynierze.

– Słucham?

– Może by pan zdecydował się szczerze ze mną porozmawiać? Co pan na to?

– To ja zabiłem Reitinga.

Downar wzruszył ramionami.

– No cóż... Widzę, że się nie dogadamy. Trudno. Nie mogę pana zmusić do powiedzenia prawdy. Chciałbym tylko zwrócić pańską uwagę na to, że przez swój upór utrudnia mi pan pracę i komplikuje sprawę.

– To ja zabiłem Reitinga – powtórzył Paślawski.

– I chce pan we mnie wmówić, że po przebicium sztyletem Błażeja Reitinga zdjął pan buty z nóg swojej ofiary i postawił je pan koło łóżka. Wielu już w moim życiu widziałem morderców, ale żaden z nich nie był tak pedantycznie dbały o bieliznę

pościelową.

– To ja zabiłem Reitinga – powiedział Paślawski z uporem nakręconego automatu.

– O której godzinie to się stało?

– Nie pamiętam.

– Może chociaż mniej więcej pan sobie przypomni?

– Nie pamiętam.

Downar poczuł ogarniające go zmęczenie. Cała ta rozmowa wydała mu się nagle bezsensowna. Nie wierzył w to, co mówił ten człowiek. Z drugiej strony jednak pewne rzeczy były zastanawiające. Jeżeli Paślawski nie był mordercą, to skąd wiedział, że Reiting zginął zasztyletowany? W tej sprawie można było stworzyć sobie taką teorię: Paślawska zabiła, a mąż jej nadszedł właśnie w tym momencie i zobaczył nóż w piersiach Reitinga. Oboje wiedzieli, że zbrodnię popełniono sztyletem. Gdyby przyjąć, że oboje składają fałszywe zeznania i że żadne z nich nie zamordowało, automatycznie nasuwa się pytanie, skąd wiedzą o tym sztylecie?

– Więc pan nie jest skłonny pomówić ze mną szczerze, panie inżynierze?

– Nie mam nic więcej do dodania.

Downar bezradnym ruchem rozłożył ręce.

– No, cóż... Bardzo mi przykro, ale w tej sytuacji jestem zmuszony zatrzymać w tymczasowym areszcie zarówno pana, jak i pańską żonę.

– Proszę zostawić mają żonę w spokoju! – krzyknął napastliwie Paślawski. – Ja się przyznałem do popełnienia tej zbrodni! To chyba w zupełności wystarcza!

– Niech pan nie zapomina, że żona także się przyznała do zabójstwa Błażeja Reitinga. Szanse macie państwo absolutnie takie same.

– Nie ma pan prawa zatrzymywać mojej żony!

– Może pan być zupełnie spokojny, panie inżynierze – powiedział wolno Downar – że wszystko zostanie przeprowadzone zgodnie z Kodeksem Postępowania Karnego.

Paślawski chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Downar wstał, dając tym do zrozumienia, że uważa przesłuchanie za

skończone.

— Proszę wszystko dobrze przemyśleć, panie inżynierze. Ukrywanie prawdy pogarsza zarówno pańską sytuację, jak i pańskiej żony. To chyba nie jest najlepsza taktyka.

Zadzwonił telefon. Downar podniósł słuchawkę i ucieszył się, posłyszawszy charakterystyczny głos Karola.

Po upływie pół godziny siedzieli w „Świteziance” i pili kawę.

— No, jak ci idzie z tym bibliofilem?

Downar streścił rozmowy przeprowadzone z Paślawnymi.

Walczak nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Gratuluję ci, Stefanku. To się nazywa działać błyskawicznie. Masz już morderców i to kilku naraz.

— Nie wygłupiaj się — mruknął Downar, którego drażnił dobry humor przyjaciela.

— Więc ty nie wierzysz w to, żeby któreś z nich popełniło tę zbrodnię? — spytał Walczak..

— Absolutnie nie wierzę. Według mnie są to typowe fałszywe zeznania, składane w celu osłonięcia kochanej osoby. Chociaż z drugiej strony muszę ci się przyznać, że zarówno w słowach Paślawnego, jak i w tym, co mówi jego żona, dźwięczą jakieś bardzo prawdziwe akcenty.

— A czy nie sądzisz, że oni oboje myśleli o zlikwidowaniu tego Reitinga?

— Otóż to — przytaknął skwapliwie Downar.

— Jeżeli ani on, ani ona nie popełnili tej zbrodni, to jest to chyba jedyne wytłumaczenie. Każde z nich mogło świadomie lub podświadomie pragnąć śmierci tego człowieka. Paślawni nie potrafiła uwolnić się spod jego wpływu, a Paślawnego dręczyła zazdrość, która rosła z każdym dniem.

— A masz jeszcze jakiegoś ewentualnego kandydata na mordercę?

— Oczywiście. Siostrzeniec Reitinga. Zniknął z Warszawy, a razem z nim zniknęło dwóch oprychów.

— No to może oni?

Downar wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Tło rabunkowe zbrodni niewykluczone, tylko

że to zbyt doświadczone bandziory, żeby mieli ryzykować „mokrą robotę”, która właściwie zupełnie nie była potrzebna.

– Coś ci, Stefuś, poradzę – powiedział po namyśle Walczak.

– Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyś nawiązał kontakt z jakimś przyjacielem inżyniera Paślawskiego. Może zdobędziesz trochę nowych informacji?

Downar skorzystał z rady Karola i jeszcze tego samego dnia odwiedził inżyniera Redlińskiego, który pracował z Paślawskim i przyjaźnił się z nim od wielu lat.

Po wymienieniu wstępnych uprzejmości Downar przystąpił od razu do rzeczy.

– Niech mi pan łaskawie powie, panie inżynierze, czy małżeństwo państwa Paślawskich przechodziło ostatnio jakiś kryzys?

Redliński był człowiekiem starszym, bardzo zrównoważonym, niezbyt skłonny do żywszych wzruszeń. To pytanie jednak zaskoczyło go.

– Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi, panie majorze. To są tak intymne sprawy dwojga ludzi, że...

– Oczywiście – przytaknął Downar. – Bywają jednak sytuacje, w których, niestety, zmuszony jestem docierać do najbardziej nawet intymnych spraw. Wytworzyła się właśnie taka sytuacja. Popełniono morderstwo i inżynier Paślawski jest podejrzany o tę zbrodnię.

Twarz Redlińskiego wyrażała najwyższe zdumienie.

– Niepodobna! Henryk? To chyba jakaś pomyłka!

– Poszlaki są bardzo poważne. Oczywiście nie mam jeszcze stuprocentowej pewności, ale... Gdyby pan zechciał ze mną szczerze porozmawiać, być może, że wspólnymi siłami zdołalibyśmy oczyścić pańskiego przyjaciela z tak ciężkiego zarzutu.

– Co mam robić? – spytał Redliński.

– Odpowiadać szczerze na moje pytania.

– Proszę, niech pan pyta. Co pan chce wiedzieć?

– A więc chciałbym wiedzieć, czy w małżeństwie państwa Paślawskich coś się ostatnio psuło.

– Mam wrażenie, że tak.

- Pan się może orientuje, co było przyczyną tych niesnasek?
 - Lekcje angielskiego, a ściślej mówiąc, nauczyciel angielskiego.
 - Błażej Reiting?
 - Tak.
 - Pani Paśławska odwiedzała go, mimo zakazu męża.
 - O ile wiem, właśnie tak było.
 - Czy pan Paśławski zwierzał się panu ze swych kłopotów rodzinnych?
 - Tak. Rozmawiał kiedyś ze mną na ten temat.
 - A on sam był wiernym mężem?
 - Myślę, że tak – odparł z wahaniem Redliński.
 - To znaczy, że nie jest pan tego zupełnie pewien. Widywał pan Paśławskiego z innymi kobietami?
- Redliński robił wrażenie człowieka bardzo zakłopotanego. Milczał chwilę, ale w końcu powiedział:
- Tak. Parę razy widziałem Henryka z bardzo efektowną blondynką. Nie twierdzą jednak, że to jakiś flirt.

Rozdział 8

Zarówno sekcja zwłok, jak i laboratoryjne badanie herbaty oraz resztek jedzenia wniosły niespodziewane elementy do sprawy. W przewodzie pokarmowym zamordowanego wykryło sporą dawkę weronalu. Weronal znajdował się także w okruchach, pozostałych po ciastkach, natomiast nie dopita herbata zawierała śmiertelną dawkę arszeniku.

Downar, zaskoczony tymi rewelacjami, parokrotnie pytał kierownika laboratorium, czy nie zaszła jakaś pomyłka. Otrzymał zdecydowaną odpowiedź, że o żadnej pomyłce nie może być mowy, że analizy zostały przeprowadzone ze staranną dokładnością i że w Zakładzie Kryminalistyki wszystkie badania są bardzo dokładnie sprawdzane.

- Nie wątpię w solidność waszej roboty – zapewnił Downar.
- Po prostu te wyniki tak mnie zaskoczyły, że trudno mi w nie uwierzyć. Dwie trucizny i sztylet to doprawdy trochę za dużo jak na jednego, niemłodego bibliofila.

Kierownik laboratorium pokiwał głową.

— Tak. Rzeczywiście dosyć tajemnicza historia. Wygląda na to, że morderców było dwóch i że chyba o sobie nawzajem nie wiedzieli.

W tej chwili rozległo się wołanie:

— Telefon do majora Downara!

Dzwonił Walczak.

— Przyjeżdżaj do komendy! Mamy tych bandziorów.

Okazało się, że po dwóch udanych napadach w Białymstoku noga powinęła się bandytom. Miejskowa milicja ujęła wszystkich trzech.

— Siedzą osobno? — spytał Downar.

— Oczywiście, obywatelu majorze — odparł sierżant Pakuła.

— Widzieliście ich?

— Widziałem. Tych dwóch to zakazane mordy. Bez sprawy dałbym im najmarniej po dziesięć lat.

— A ten trzeci?

— Szczeniak. Nieprzytomny ze strachu.

— To siostrzeniec Reitinga?

— Tak jest. Roman Grabczak.

— Kiedy ich przywieźli?

— Przed godziną.

— Dawajcie tego Romana.

Chłopak był rzeczywiście przerażony. Błada, brudna twarz nosiła ślady łez.

Downar energicznym ruchem wskazał krzesło.

— Siadaj!

Usiadł posłusznie na samym brzegu i powiedział cicho:

— Ja nie brałem udziału w tych napadach. Ja tylko... tylko stałem i uważałem, czy kto nie idzie...

— Nie chodzi o napady. O tym będzie kto inny z wami rozmawiał. Ja chcę wiedzieć, jak to było z Błażem Reitingiem.

— Ja nic nie wiem — wymamrotał chłopak.

— Błażej Reiting to twój wuj, tak?

— Tak.

— Brat matki?

— Tak.

Downar zastanawiał się chwilę, jaką obrać taktykę. Postanowił uderzyć.

– Został zamordowany, a ty jesteś podejrzany o tę zbrodnię.

Roman pobladł tak gwałtownie, że zdawało się, że zaraz zemdleje.

– Ja... ja... Nie! Nie! Ja tego nie zrobiłem! Nie zrobiłem!

– Jesteś podejrzany o zamordowanie Błażeja Reitinga – powtórzył Downar.

– Proszę pana... Ja nie... Ja nie... Jak Boga kocham. Ja nic nie wiem! Nie wiedziałem, że wuj... To nie ja...

– A kto?

– Nie wiem! Nie wiem!

Downar pochylił się nad biurkiem.

– Zrozum, Grabczak, jesteś podejrzany o zabójstwo. Jeżeli będziesz kręcił, to się bardzo smutno dla ciebie skończy.

– Ja nie zabiłem, panie majorze!

– Więc kto zamordował wuja?

– Nie wiem. Może któryś z nich... Nie wiem.

– O kim mówicie?

– O tamtych.

Downar rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Chciałbym usłyszeć, jak to było tego piątkowego wieczora, kiedyście przyszli na rabunek do Błażeja Reitinga.

– Ja stałem na schodach. Już mówiłem...

– Cały czas stałeś na schodach?

– Tak. Uważałem, czy kto nie idzie.

– I nie wiesz, co się działo w mieszkaniu wuja?

– Nie widziałem, co oni tam robili.

– Ale że pieniądze znaleźli, o tym wiesz!

– Trochę dolarów...

– Dużo?

– Nie mówili...

– Coście zrobili z tymi dolarami?

– Kupiliśmy wóz.

– A o tym, że Błażej Reiting nie żyje, kiedy się dowiedziałeś?

– W ogóle nic nie wiedziałem! Jak Boga kocham!

– Kumple ci powiedzieli?

— Nie.

— Kiedy ostatni raz widziałeś wuja?

— Bardzo dawno. W zeszłym miesiącu. Nie pamiętam.

— Coś masz słabą pamięć.

— Jestem zdenerwowany, proszę pana.

— To widzę. Odpoczniesz sobie u nas. Może ci się pamięć poprawi.

Po wyjściu Romana Downar kazał wprowadzić szefa bandy.

Gruby twarz miał spokojną, pozbawioną wszelkiego wyrazu. Poruszał się z nonszalancką swobodą.

Obojętnym, beznamiętnym spojrzeniem wodził po ścianach pokoju.

Po zanotowaniu personaliów bandyty, Downar spytał:

— No więc, jak to było?

— Niby z czym?

— Jak to było z Reitingiem na ulicy Smolnej?

— Nie wiem, o czym pan major mówi. Nie znam żadnego Reitinga.

— Przypomnijcie sobie. Może jednak znacie.

— Jak mówię, że nie znam, to nie znam.

Downar patrzył uważnie w szeroką, czerwoną twarz. Nie wyczytał w niej nic oprócz bezczelnej drwiny. Gruby nie bał się albo też znakomicie maskował strach.

— Przed chwilą rozmawiałem z siostrzeńcem Błażeja Reitinga, Romanem Grabczakiem. Otóż twierdzi on, że to wy dokonaliście tego morderstwa.

Bandyta poruszył się niespokojnie.

— Że ja? Że ja kogoś zamordowałem?

— Tak. Że zamordowaliście Błażeja Reitinga w jego mieszkaniu przy ulicy Smolnej.

Niespodziewanie Gruby zaczął się śmiać.

— Dobry kawał, panie władzo, ale to przecież nie prima aprilis.

— Nie widzę powodu do takiej wesołości — powiedział spokojnie Downar. — Jesteście podejrzani o morderstwo, a chyba wiecie, co grozi za pozbawienie kogoś życia.

— Przecież pan nie mówi tego poważnie?

– Czy sądzicie, że zaprosiłbym was do swego gabinetu, żeby sobie pożartować?

– Tego nie myślę, ale...

– Słuchajcie, Chojnicki – Downar nie spuszczał oczu z twarzy opryszka. – Roman Grabczak, wasz kumpel...

– Jaki tam kumpel... – zachnął się Gruby. – Pętak, nie kumpel. Ja mu...

– Spokojnie. Chodziliście z nim na robotę, więc kumpel. Ten chłopak stwierdził tu przed chwilą, że to wy zamordowaliście Błażeja Reitinga-

– Kłamie, panie władzo! Bezczelnie kłamie! Nikt nie zamordował tego garbatego!

– A skąd wiecie, że zamordowany był garbaty? Przecież przed chwilą powiedzieliście, że żadnego Reitinga nie znacie.

Gruby zmieszał się. Zrozumiał, że dał się zbyt łatwo wciągnąć w pułapkę. Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Widzę, że z panem trzeba szczerze.

– Spróbujcie szczerze. Może wam się uda – zaproponował Downar.

– No więc faktycznie poszliśmy do tego garbatego wujka.

– Na robotę?

– Chcieliśmy parę złotych pożyczyć. Zabrakło nam. Wóz był zadatkowany. Nóż na gardle, panie władzo, jak to się mówi.

– I tym nożem pchnęliście pana Reitinga.

– Jak Boga kocham! – Gruby uderzył się pięścią w piersi, aż mu w płucach zagrało. – Jak Boga kocham, że ja go nie pchnąłem nożem! Niech pan władza przejrzy moją kartotekę. Bandzior jestem, owszem. W kiciu siedziałem, owszem. Z Kodeksem Karnym nie żyję w zgodzie, też prawda. Ale żebym ja na mokrą robotę chodził, tego mi nikt nie może zarzucić. Mokrą robotę, proszę pana, to tylko najgorsze pętaki praktykują. Można czasem kogoś nastraszyć majchrem czy spluwą, ale żeby starego garbusa pod żebro dźgać, to po prostu nie wypada, nieładnie.

– A kto wam powiedział, że Błażej Reiting został zabity nożem? – spytał Downar.

Gruby przez chwilę patrzył wybałuszonymi oczami, jakby

ogarnięty niesłychanym zdumieniem.

— No, jak to kto?... Pan władza... Przecież... cały czas o tym się rozmawia.

— Niezupełnie — uśmiechnął się Downar. — O nożu to wy wspomnieliście. Powiedziałem wam wprawdzie, że pan Reiting został zamordowany, ale zamordować człowieka można w rozmaity sposób; łom, sznur, pistolet... Skądże więc wiecie, że morderstwa dokonano nożem? No, śmiało, mówcie...

Gruby milczał chwilę, wreszcie burknął:

— Tak przypuszczałem.

— Ale to przypuszczenie musi skądś pochodzić. Może podejrzewacie kogoś?

— Nikogo nie podejrzewam.

— Było was trzech w mieszkaniu Reitinga?

— Tak. To znaczy ja, Zenek i Romek. A raczej Romek potem stał na schodach.

— Może opowiecie mi po kolei, jak to się wszystko odbyło.

— No więc potrzebowaliśmy forsy.

— To już słyszałem.

— Potrzebowaliśmy forsy na samochód i przypuszczaliśmy, że wuj Romana ma trochę twardych.

— I miał?

— Coś niecoś miał.

— Dużo zabraliście?

— Było może z dziesięć dwudziestek.

— Gdzie?

— W biurku. W takiej bocznej skrytce. Stare biurko. Człowiek na tych antykach się nie zna. Z początku nic nie znaleźliśmy. Aż podłogę Zenek zrywał.

— Czym zrywał?

— Nożem.

— Miał nóż ze sobą?

Gruby nie od razu odpowiedział. Unikał spojrzenia Downara.

— Nie wiem. Może miał, a może to był nóż garbatego.

— Czy ten Zenek ma zwyczaj chodzić z nożem?

— Czasami. Bardzo rzadko. Wybijam mu to z głowy. Człowiek się może zdenerwować, a potem komplikacje. Ręka to

ręka, a nóż to nóż.

Downar nie podjął dyskusji na temat tej „filozoficznej” sentencji.

– Wróćmy do rzeczy. Więc jak to było z tym napadem na Reitinga?

– Żaden napad, panie władzo. Po prostu Romek poszedł do wujka z ciastkami, a do ciastek nasypał proszku na sen.

– Co to był za proszek?

– Weronal.

– Skądżeście to wzięli?

– Jedna znajoma mi skombinowała. Poprosiłem ją. Powiedziałem, że nie mogę sypiać.

– Wrócimy jeszcze do tej sprawy. No więc Grabczak do ciastek nasypał weronalu. A do herbaty?

– Do herbaty nic.

– Analiza wykazała w herbacie arsenik.

– Arsenik? – zdziwił się szczerze Gruby. – Co za arsenik?. Nie miał arszeniku! Przecież to cholerna trucizna, na szczury!

– Tak, to mocna trucizna. W herbacie dawka była śmiertelna.

– Nikt z nas tego nie nalał do herbaty – powiedział z przekonaniem Gruby.

– Mówcie, co było dalej.

– Ano nic. Romek poczęstował wujka ciasteczkami. Stary wtroił ze trzy sztuki, poczuł się zmęczony i zaczął kimać.

– Położył się na łóżko?

– Położył się.

– A buty?

– Co buty?

– Pytam, czy zdjął buty?

– Romek mu zdjął. On bardzo wujka kochał. Uczuciowy chłopak.

– I potem szukaliście forsy.

– Konieczność życiowa, panie władzo. Czasem człowiek się znajdzie w takiej sytuacji bezdewizowej.

– Wszyscy trzej byliście w pokoju?

– Nie, Romek stał na schodach. Na wszelki wypadek.

— A jak żeście znaleźli te dolary, to zaraz wyszliście z mieszkania?

— Nie było na co czekać.

— Kto pierwszy wyszedł?

— Ja wyszedłem pierwszy.

— A Zenon?

— Za chwilę, za mną.

— To znaczy; że miał czas przebić nożem Reitinga?

Gruby popatrzył badawczo na Downara.

— Czas to może i miał... — powiedział bardzo wolno — ale wątpię...

— Nic wam na ten temat nie mówił?

— Absolutnie nic.

— Błażej Reiting znał Zenona?

— Chyba tak. Zenek kolegował się z Romanem.

— Czy oprócz tych dolarów wzięliście coś jeszcze?

— Nie. A po co?

— Książki były porozrzucane na podłodze.

— Szukaliśmy na półkach, za książkami i dlatego...

— Nie wzięliście żadnej książki?

Gruby wzruszył ramionami.

— A na co nam książki, panie władzo? Ciężkie do noszenia. Sprzedać trudno. Zresztą starczyło nam tych twardych.

— Powiedźcie mi, czy po wyjściu z mieszkania Reitinga drzwi zamknęliście za sobą na zatrzask?

— Tego nie powiem. Zenek wychodził ostatni. Nie wiem.

— A na schodach nie spotkaliście nikogo?

— Nie.

Czy to wszystko, co macie na ten temat do powiedzenia?

— Powiedziałem wszyściutko, jak na świętej spowiedzi.

— A teraz odpowiedźcie mi na jeszcze jedno pytanie. Kto zamordował Błażeja Reitinga?

— Nie mam pojęcia.

— Nie macie pojęcia, a jednak na początku rozmowy twierdziliście, że pan Reiting został zabity nożem i tak było w istocie.

— To mi się tak tylko powiedziało, panie władzo. Ja nic nie

wiem.

– A kogo podejrzewacie?

– Nikogo. Jak pragnę wolności! Nic nie wiem!

– To ja wam powiem, kogo podejrzewacie. Podejrzewacie Zenona. I nietrudno się domyślić, jak to się stało. Zenon został przez chwilę w mieszkaniu, żeby coś dodatkowo gwizdnąć. W tym momencie Reiting zaczął się budzić. Zenon przestraszył się, że zostanie rozpoznany i pchnął go na wszelki wypadek nożem. To przecież nożownik. Co o tym myślicie?

– Ja nic nie wiem – powiedział niepewnie Gruby. – Absolutnie nic nie wiem.

Downar zrezygnował na razie z dalszego przesłuchania. Kazał wyprowadzić Grubego.

Następnie przyszła kolej na Zenona. Usiłował nadrabiać miną, ale widać było, że to sztuczna fanfaronada i że w gruncie rzeczy ma porządnego stracha.

– Siadajcie, Rokicki. Sądzę, że macie mi coś niecoś do powiedzenia.

– No, cóż... W Bydgoszczy faktycznie trochę podokazywaliśmy z kolegami... Ale w Rzeszowie to nie my. Słowo honoru. Bo w ostatniej chwili...

– Nie chodzi mi o tamte sprawy – przerwał Downar. – Waszymi bandyckimi napadami zajmie się ktoś inny. Ja prowadzę dochodzenie w sprawie zamordowania Błażeja Reitinga.

Zenon widocznie zaniepokoił się.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie majorze. Ja nie znam takiego faceta. Nigdy nie znałem.

Downar poruszył się niecierpliwie.

– Dajcie spokój z tymi głupimi kłamstwami! Zanim was wezwałem, przesłuchiwałem waszych kumpli. Zarówno Roman Grabczak, jak i Marian Chojnicki przyznali się do napadu na Błażeja Reitinga w jego mieszkaniu przy ulicy Smolnej. Nie ma więc najmniejszego sensu, żebyście próbowali zaprzeczać.

Zenon milczał.

– No więc, jak to było?

– Zwyczajnie. Zabraliśmy parę dolarów.

– Opowiedzcie mi, jak zabiliście Błażeja Reitinga.

Chłopak zbladł gwałtownie.

– Ja nikogo nie zabiłem, panie majorze.

– Podobno umiecie bardzo zgrabnie operować nożem. Tak słyszałem i tak czytałem w waszym życiorysie.

– Zdarzyło mi się. Przypadkowo.

– I Reitinga takżeście przypadkowo pchnęli nożem.

– Słowo honoru, panie majorze, ja tego nie zrobiłem.

– Marian Chojnicki zeznał tu przed chwilą, że wy ostatni wyszliście z mieszkania przy ulicy Smolnej. Rano znaleziono Błażeja Reitinga zamordowanego. Zamordowano go nożem. Kto to mógł zrobić? Wszystko wskazuje na to, że wy.

Zenon stracił cały swój początkowy tupet.

– Panie majorze... Ja naprawdę... Słowo honoru. Niech mi pan wierzy, panie majorze! Ja go nie zabiłem! Zresztą po co miałbym go zabijać? Wuj Romana spał jak zarżnięty. To jest. W jakim celu miałbym go nożem pchnąć?

– Więc twierdzicie, że jak wychodziliście z mieszkania przy ulicy Smolnej, to Reiting spał?

– Ma się rozumieć, że spał.

– I nie obudził się?

– Ale skąd! Dostał taką porcję weronału, że spał, ani się ruszył.

– A dlaczego nie wyszliście razem z Chojnickim?

– Żał mi się zrobiło zegarka. Dona.

– Macie ten zegarek?

– Nie. Sprzedałem. Nie lubię nosić nie swoich rzeczy.

Downar z trudem opanował wesołość.

– No, dobrze. Ale jeżeli żaden z was nie popełnił tego morderstwa, to kto?

Zenon wzruszył ramionami.

– Tego to już ja nie mogę wiedzieć.

– Czy jak wychodziliście z mieszkania, zamknęliście drzwi na zatrask?

– Nie pamiętam.

– Radzę sobie przypomnieć.

– Zdaje mi się, że tam trzeba kluczem zamykać, a ja klucza

nie miałem. Chyba zamknąłem tylko na klamkę. Tak wychodzi.

— Chciałem was jeszcze zapytać w sprawie tego zegarka — powiedział po namyśle Downar. — Czy zdjęliście go z ręki pana Reitinga?

Opryszek potrząsnął głową.

— Nie, z ręki nie zdjąłem. Takiego małego zegareczka nie nosiłby na ręku. Wyjąłem z kieszeni marynarki.

— Gdzie była ta marynarka?

— Wisiała w szafie.

— Skądżeście wiedzieli, że w kieszeni jest zegarek?

— Jak szukaliśmy forsy, to zauważyłem, ale Marian nie pozwolił brać. Potem żal mi się zrobiło. Ładnych kilka patyków można za takie cacko dostać.

— Powiedzieliście, że to był mały zegarek.

— Bo faktycznie mały. Damski.

— Złoty?

— Ma się rozumieć, że złoty. Piękna sztuka.

— Oglądaliście go dokładnie?

— Oczywiście.

— Coście z nim zrobili?

— Sprzedałem. Chciałem go podarować mojej dziewczynie, ale na kopercie było coś napisane. Woląłem sprzedać.

— Co było napisane na kopercie?

— Nie wiem. Nie po polsku.

— A w jakim języku?

Zenon wzruszył ramionami.

— Skąd mogę wiedzieć? Nie uczę się języków.

— Napis był na wewnętrznej kopercie?

— Tak.

— Komu sprzedaliście ten zegarek?

— Jednemu znajomemu.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem.

— Jak to? Znajomy i nie wiecie, jak się nazywa?

— Taki znajomy z widzenia.

— Gdzie można spotkać tego waszego znajomego z widzenia?

— Różnie. Często stoi pod „Jubilerem” na MDM-ie. Tak sobie

trochę handluje. Porządny chłopak.

— Skontaktujecie mnie z nim. Muszę mieć ten zegarek.

— Chętnie, panie majorze. Tylko nie wiem, czy go gdzie dalej nie puścił.

— Jak puścił, to poszuka. Zajmiemy się tym. Powiedzcie mi, Rokicki, jeszcze taką rzecz. Czy wyście coś nalali do herbaty wtedy na Smolnej?

— Do jakiej herbaty?

— Do tej, która stała na stoliku. Były dwie szklanki. Jedna pusta, druga z herbatą.

— Nie wiem, o czym pan major mówi. Cóż ja mogłem nalać do herbaty?

— W herbacie był arsenik. Śmiertelna dawka.

Zenon wybuchnął.

— Czego pan chce ode mnie, jak pragnę Boga?! Najprzód pan we mnie wmawia, że starego pchnąłem nożem. Teraz znowu, że mu trucizny naląłem do herbaty. Na jaką cholere miałbym to wszystko robić? Garbaty nawtrajał się tych ciastek z weronalem i spał jak zabity. Nie trzeba go było ani majchrem zaprawiać, ani truć. Nie rozumiem, w co mnie pan chce wrobić. No, owszem... podgrandziliśmy trochę tych dolarów, ale o żadnym mordowaniu nie było mowy. Skąd?!

— No, to kto go nożem pchnął?

— A skąd ja to mogę wiedzieć? Musiał ktoś przyjść po naszym wyjściu. Drzwi faktycznie pewnie były niezamknięte.

— Dawno znacie Romana Grabczaka? — spytał Downar.

— Romka? No, będzie już pewnie ze cztery lata.

— Przyjaźnicie się z nim?

— E... nie taka tam znowu przyjaźń. To pętaczyna. Chce kozaka udawać, ale mu to nie wychodzi.

— Podobno ma duże powodzenie u kobiet.

Zenon spojrzał zaskoczony.

— Skąd pan major wie takie rzeczy?

Downar zignorował to pytanie.

— No więc, jak to jest? Ma Roman powodzenie u kobiet?

— No, faktycznie, że chyba ma. Ostatnio chodził z taką fasonową babką, że aż się sam dziwiłem. Nawet do niego nie

pasowała. Wyglądała na artystkę filmową. Nie wiem, co ona zobaczyła w takim gówniarzu?

– Często spotykaliście ich razem?

– Parę razy. Byliśmy kiedyś nawet na kawie. Roman chciał się popisać znajomą.

– Opowiedzcie mi, jak żeście się spotkali w tej kawiarni?

– Zwyczajnie. Romek mi powiedział, że będzie z fajową babką w „Europejskim”, żebym przyszedł.

– A ona wiedziała o tym, że przyjdziecie?

– Chyba nie. Była trochę zdziwiona.

– I nie bardzo zadowolona?

– Może i niespecjalnie. Zresztą ja niedługo spłynąłem. Nie miałem co z nimi siedzieć. Ale babka na medal.

– Jak wyglądała?

– Postawna blondyna. Bardzo elegancka. Taka z drygiem.

– Czy wiecie, jak się nazywa?

– Tego nie wiem. Na imię ma Aniela. Nazwisko u kobiety nieważne.

– Na dzisiaj dosyć – powiedział Downar. – Wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

Kazał odprowadzić Zenona do celi, następnie zaś wezwał do siebie porucznika Kobięłę i polecił mu odnaleźć złotą „Dohę”.

– Weźcie tego bandziora do radiowozu. Niech wam pokaże koleżkę, który handluje pod „Jubilerem” na MDM-ie. Muszę mieć ten zegarek.

– A jeżeli tamten już sprzedał?

– Tak od razu nie sprzedał. A w razie czego, znajdziecie tego, który kupił. To wszystko przecież było nie tak dawno.

Tego samego dnia późnym popołudniem Downar odwiedził Walczaka. Czuł potrzebę porozmawiania z kimś na temat sprawy Błażeja Reitinga. Zastał przyjaciela porządkującego książki.

– Dobrze, żeś przyszedł, Stefanku. Właśnie miałem do ciebie telefonować.

– Sam jesteś? – spytał Downar.

– Samiuteńki. Helenka jak zwykle w kinie. Lata na wszystkie filmy.

— A ty? Nie lubisz kina?

Walczak machnął ręką.

— Co mi po kinie? Dosyć mam sensacji w komendzie. Nie muszę jeszcze tego wszystkiego oglądać na ekranie. Na jakiś koncert symfoniczny do filharmonii to z przyjemnością, ale kino... A propos, co słyhać ze sprawą tego entuzjasty muzyki Wagnerowskiej?

— Dochodzenie w toku. To wszystko nie jest takie proste.

Downar w krótkich słowach opowiedział o dotychczasowych wynikach śledztwa. Kiedy skończył, zapanowało milczenie. Walczak tarosił w zamyśleniu swoją gęstą, sterczącą do góry czuprynę i pogwizdywał cicho „Pieśń do gwiazdy” z „Tannhäusera”.

— No popatrz, Stefuś, jak się zasugerowałem tym wszystkim.

— O czym myślisz?

— No o tym, że bez przerwy chodzą mi po głowie Wagnerowskie melodie, a przecież nigdy specjalnie Wagnera nie lubilem.

— Przestań się zajmować muzyką — zniecierpliwił się Downar. — Ja zupełnie o czym innym chcę z tobą rozmawiać. Właściwie po to przyszedłem.

— Ciągle jeszcze należycie nie doceniasz znaczenia drobnych szczegółów — powiedział z wyrzutem Walczak. — W naszej robocie nigdy nie wiadomo, co może naprowadzić na właściwy trop.

— Dajże spokój z tą twoją dydaktyką — mruknął Downar. — Odkąd wykładasz w szkole, zrobiłeś się zupełnie niemożliwy.

Walczak poklepał przyjaciela po plecach.

— No dobra, dobra, Stefanku. Nie będę cię już pouczał. Widzę, że jesteś zdenerwowany.

— A kto by nie był? Teczka z aktami pęcznieje, a ja ani trochę nie jestem mądrzejszy.

— No, przecież masz już paru kandydatów na morderców.

— I co z tego? To tylko poszlaki.

— Co w końcu myślisz o Paślowskich?

— Bo ja wiem? Niby oboje mieli powody do popełnienia tej zbrodni, ale ja nie jestem wewnętrznie przekonany ani o jego

winie, ani o jej.

Ich zeznania mają typowy charakter zeznań składanych w celu ratowania drugiej osoby.

– Jednakże wzajemnie podejrzewają się o tę zbrodnię – zauważył Walczak.

– Tak. To prawda. Wynika to niewątpliwie przede wszystkim z tego, że konflikt między nimi narastał przez czas dłuższy. O swoich stanach psychicznych wiedzą oczywiście o wiele więcej aniżeli ja.

– A co sądzisz o tych oprychach? – spytał Walczak.

– No cóż... właściwie nie mieli powodu zabijać Reitinga. Dostał dużą porcję weronału, spał...

– Mógł się w pewnym momencie obudzić.

– Biorę to pod uwagę.

– Mówiłeś mi o facecie, który awanturował się z Reitingiem o jakieś książki czy druki.

– Właśnie – podchwycił Downar. – Chciałem w tej sprawie zasięgnąć twej światłej rady.

– Mianowicie?

– Wyobraź sobie, że sporządzono już kompletny spis książek znajdujących się w mieszkaniu Reitinga. Porównano ten spis z jego katalogiem i stwierdzono, że brakuje tylko jednej książki.

– Cóż to za książka?

Downar wyjął z portfela kartkę i przeczytał: „Katechizm zboru tych ludzi, którzy wyznają, że nikt inszy jeno ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa jest onym”.

Walczak zafrasowany podrapał się w głowę.

– I tylko ta książka zginęła?

– Tylko.

– Takich rzeczy raczej się nie wypożyczają...

– I ja też tak myślę.

– I co jeszcze myślisz?

– Myślę, że może wchodził tu w grę jakiś maniak.

Walczak pokiwał głową.

– Bardzo słusznie. Maniakalny zbieracz, bibliofil, opanowany manią posiadania „białego kruka”. Moim zdaniem nie obejdziemy się bez przekonsultowania tej sprawy z

fachowcem.

— Absolutnie zgadzam się z tobą.

Nazajutrz w godzinach południowych odwiedzili profesora Stanisława Wadeckiego.

Profesor, wysłuchawszy uważnie, o co chodzi, powiedział:

— Tak, proszę panów, to jest bardzo rzadki dokument, „biały kruk”, wydrukowany przez Sebastiana Sternackiego na początku siedemnastego wieku.

— Jak pan sądzi, panie profesorze, komu mogłoby na tej książce specjalnie zależeć? — spytał Downar.

Wadecki uśmiechnął się. Miał miły, ujmujący uśmiech, który łagodził ostre rysy suchej, ascetycznej twarzy.

— No, cóż... właściwie każdy bibliofil byłby uszczęśliwiony z posiadania takiej pozycji w swych zbiorach.

— Czy w Warszawie wielu jest zamilowanych bibliofilów?

— Raczej nie. To rzadkie i bardzo trudne do uprawiania hobby. No i bardzo kosztowne.

— A rozpatrzmy sprawę z innej strony... Komu mogłoby ze względów uczuciowych zależeć na zdobyciu tej książki? — wtrącił się do rozmowy Walczak.

— Najbardziej zainteresowanym mógłby być jakiś potomek rodziny Sternackich. Właśnie Sebastian Sternacki drukował w Rakowie te bardzo rzadko w tej chwili spotykane dzieła. Coś sobie przypominam... Zdaje się, że obecnie mieszka w Warszawie amator-bibliofil o tym nazwisku...

— To niesłychanie interesujące — powiedział Downar. — Czy pan profesor ma może jego adres?

— Możliwe, że gdzieś mam zapisany ten adres, ale nie jestem pewien, czy zdołam go odszukać.

— Nie męcz profesora — uśmiechnął się Walczak. — Damy sobie chyba radę z tym adresem.

Podziękowali za cenne informacje i nie zwlekając pojechali do biura adresowego.

Kiedy znaleźli się przed drzwiami opatrzonymi mosiężną tabliczką z nazwiskiem: Stanisław Sternacki, Walczak zawahał się.

— Może sam pójdziesz? Po co robić taki tłok?

– Chodź, chodź – zachęcił go Downar. – Będzie mi raźniej. Cholernie nie lubię takich wizyt.

Drzwi otworzyła im drobna, zmęczona życiem staruszka. Na widok nieznanym mężczyzną przestraszyła się, a posłyszawszy słowo „milicja” wpadła w panikę.

– Nie ma męża w domu, nie ma. I nie wiem, kiedy wróci. Może dzisiaj w ogóle nie wróci. Zdaje się, że wyjechał. Niech panowie przyjdą innym razem. Ja jestem sama. Męża nie ma. Wyjechał. Nie wróci. Ja nic nie wiem. Ja panom nic nie potrafię powiedzieć. Innym razem... Innym razem.

– Niechże się pani uspokoi – powiedział Walczak. – Przecież nawet nie wie pani, o co nam chodzi. Dlaczego pani jest taka zdenerwowana?

– Bo ja... bo ja... nie jestem przyzwyczajona do rozmów z milicją.

– Milicjant to taki sam człowiek jak każdy inny. Po prostu urzędnik państwowy. Proszę się nam przyjrzeć. Nie wyglądamy przecież na potworów. Przynajmniej tak mi się zdaje.

– Może innym razem. Może innym razem – upierała się staruszka. – Męża nie ma w domu...

nie ma... – Wargi jej drżały. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

– Miłe macie państwo mieszkanie – powiedział z pogodnym uśmiechem Walczak. – Tak tu czystutko, przytulnie...

Spojrzała na niego zdziwiona. Dopiero w tej chwili zauważyła, że ma przed sobą człowieka niedużego wzrostu, korpulentnego, o dobrodusznej twarzy.

– Pan jest naprawdę z milicji? – spytała.

– Naprawdę, proszę pani. Paskudne to zajęcie, ale przecież człowiek musi z czegoś żyć. Czy pani pozwoli, że chwilę odpoczniemy, bo zmęczyliśmy się. Winda nieczynna.

Poczucie gościnności przewyciężyło w niej niechęć do milicji.

– Proszę, niech panowie Wejdą. Proszę siadać. Może herbatki?

– O, nie, nie. Za herbatkę dziękujemy serdecznie –

uśmiechnął się Walczak. – Chwilę sobie odpoczniemy, a jeżeli pani byłaby taka dobra i zechciała dotrzymać nam towarzystwa...

Usiadła i skierowała ku nim pytające, badawcze spojrzenie.

– Czy panowie muszą widzieć się z moim mężem?

– No, tak. Mamy interes do męża pani.

– A czy ja bym nie mogła tego załatwić? Nie wiem, kiedy mąż wróci. Nie chciałabym, żeby się panowie fatygowali drugi raz. A poza tym mój mąż jest bardzo nerwowy. Lekarz zakazał mu wszelkich wzruszeń.

Walczak rozłożył ręce.

– Nie wiem, czy pani zdoła udzielić nam potrzebnych informacji

– O jakie informacje chodzi?

– Mąż pani kolekcjonuje książki, jest podobno zamiłowanym bibliofilem.

W oczach starej kobiety zamigotał niepokój.

– Tak. Zbiera różne stare książki. To jego pasja. Ale przecież nie ma w tym nic złego.

– Ależ oczywiście. Proszę nam powiedzieć, czy mąż pani zna niejakiego Błażeja Reitinga?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem...

– W takim razie będziemy musieli poczekać na męża. On nam to wyjaśni.

– Zdaje mi się, że kiedyś wspominał to nazwisko – powiedziała prędko. – Teraz sobie przypomniałam...

Czy mąż pani miał jakieś scysje z panem Reitingiem?

– Nie wiem... Możliwe... Nie orientuję się.

– A czy pani wie, dlaczego o to pytam?

– Nie. Skądże miałabym wiedzieć?

– Bo Błażej Reiting został zamordowany.

Gwałtownym gestem ukryła twarz w dłoniach.

– Jezus Maria!

– Tak. Błażej Reiting został zamordowany w swoim mieszkaniu w piątek, czwartego września.

Odjęła ręce od twarzy i patrzyła na niego szklistymi oczami.

– On tego nie zrobił. On tego nie mógł zrobić.

– Dlaczego pani przypuszcza, że mąż pani mógł zamordować Błażeja Reitinga? – spytał Downar.

– Boję się, bardzo się boję – szepnęła i znowu podniosła rękę do twarzy.

W tej chwili rozległ się zgrzyt klucza w zamku i do pokoju wszedł Sternacki. Zatrzymał się przy drzwiach i ze zdumieniem spojrzął na obecnych. W długim, ciemnym płaszczu wydawał się jeszcze wyższy.

– Co się tu dzieje?

– Ci panowie właśnie do ciebie, Stasieczku.

– Jestem z milicji – wyjaśnił Downar, wstając.

– Przyszliśmy prosić pana o kilka informacji.

– Ja go nie zabiłem – powiedział bez żadnych wstępów Sternacki. – Panowie zupełnie niepotrzebnie zajmują czas mnie i sobie.

– Czy pan mówi o Błażeju Reitingu? – spytał Walczak.

– A o kimże mógłbym mówić? Przecież w tej sprawie panowie przyszli.

– Skąd pan wie, że Błażej Reiting został zamordowany?

– Dowiedziałem się. Byłem tam wczoraj.

– A po co pan tam był?

– Chciałem porozmawiać z tym przeklętym garbusem.

– O czym chciał pan porozmawiać?

– Ukradłem mu książkę.

– Bój się Boga, Stasieczku! – wykrzyknęła Sternacka przerażona.

– „Katechizm zboru tych ludzi, którzy wyznają, że nikt inszy jego ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa jest onym” – powiedział Walczak.

Sternacki spojrzął z nieukrywanym zdziwieniem na mówiącego.

– A pan skąd to wie?

– Może usiądziemy? – zaproponował Walczak. – Bardzo nie lubię dyskutować w pozycji stojącej.

Usiedli i Sternacki powtórzył pytanie:

– Skąd pan wie, że chodzi o ten starodruk?

– Pracujemy w milicji – uśmiechnął się Walczak. – A

milicja od czasu do czasu też musi coś wiedzieć. Może nam pan opowie, jak to było z tą kradzieżą.

— Z jaką kradzieżą?

— No przecież powiedział pan przed chwilą, że ukradł pan Reitingowi książkę.

— Bo miałem do niej prawo! Bo to była od wieków własność mojej rodziny! Bo ten łajdak, wykorzystując zawieruchę wojenną... To jest dla mnie pamiątka. Rozumiecie?! To jest dla mnie bezcenna pamiątka! Nie oddam! Nie oddam! — Podniecał się coraz bardziej. Twarz mu nabrzmiała, oczy błyszczały gorączkowo.

— Czy to w piątek czwartego września zabrał pan tę książkę z mieszkania Reitinga? — spytał Downar.

— Być może, że to było w piątek. Nie pamiętam.

— Proszę sobie przypomnieć. To bardzo ważne.

— W piątek u niego był, Stasieczku... — chlipnęła pani Wiktoria. — Ja pamiętam...

Zgromił ją wzrokiem.

— Niech będzie w piątek. I co z tego?

— W piątek, czwartego września Błażej Reiting został zamordowany.

— Ja go nie zabiłem, chociaż, Bóg mi świadkiem, nieraz miałem wielką ochotę zadusić tę gadzinę!

Downar pokiwał głową.

— Tak. Można zaryzykować twierdzenie, że pan nienawidził Błażeja Reitinga.

— Nienawidziłem go z całego serca.

— Więc właściwie może pan być podejrzany o tę zbrodnię.

— Powiedziałem już, że ja go nie zabiłem. Przestańcie mi zwracać głowę tymi głupstwami!

— Stasieczku!

Walczak uśmiechnął się.

— To nie są takie głupstwa, jak się panu zdaje. Podejrzenie o morderstwo to bardzo poważna sprawa.

— Przecież panu mówię wyraźnie, że ja go nie zabiłem! — krzyknął zniecierpliwiony Sternacki.

— Może nam pan opowie, jak to się stało, że pan zabrał tę

książkę z mieszkania Reitinga.

– Dzwoniłem. Nikt nie odpowiadał. Pchnąłem drzwi i wszedłem.

– Więc drzwi były otwarte? – przerwał Downar.

– Jeżeli wszedłem do mieszkania, to znaczy, że były otwarte.

– Bardzo słusznie. I co dalej?

– W mieszkaniu panował straszny nieład. Pełno rzeczy i książek na podłodze. Reiting spał na łóżku.

– Spał czy leżał zamordowany?

– Spał. Zabrałem to, co naprawdę było moją własnością i wróciłem do domu.

– O której godzinie?

– Wieczorem. Godziny nie pamiętam. Może była ósma, może dziewiąta.

– I zostawił pan Reitinga śpiącego?

– Tak.

– A kiedy zobaczył pan taki niecodzienny nieład w mieszkaniu, nie przyszło panu na myśl, żeby zaalarmować sąsiadów czy dozorcę?

– Nie mam zwyczaju wtrącać się do nie swoich spraw.

– Zechce mi pan pokazać tę książkę, którą pan wyniósł z mieszkania Reitinga.

– A nie zabierze mi jej pan?

– Nie, nie zabiorę. Chcę tylko obejrzieć.

Sternacki podniósł się, podszedł do szafy i wyjął z niej niewielki tomik oprawny w bardzo zniszczoną skórę.

– Tysiąc sześćset piąty rok. Sebastian Sternacki wydrukował w Rakowie. To w prostej linii mój przodek. Ta książka była zawsze w posiadaniu mojej rodziny. Musiałem ją odzyskać. Nie mogłem pozwolić, żeby ten złodziej, ten kombinator...

Downar wziął książkę do ręki i zaczął oglądać z zainteresowaniem. Nagle spomiędzy poślódkich kart wypadła na podłogę złożona na pół koperta lotnicza.

Walczak schylił się, podniósł ją i przeczytał adres: „POLONIA, SIGNORA MARIA KOZŁOWSKA (PER LA SIGNORA JULIA ALBERYCKA) WARSZAWA I, POSTE RESTANTE”. Znaczek włoski. Stempel „Roma” Nazwiska

nadawcy nie było na odwrocie.

– Czy pan wsunął tutaj tę kopertę? – zapytał Downar.

Sternacki potrząsnął głową.

– Nie. Nie spostrzegłem nawet, że tam była. Nie wiem. Przecież przeglądałem...

Downar schował kopertę do kieszeni i powiedział:

– Źle się stało, że pan zabrał z mieszkania Reitinga tę książkę. Obawiam się, że będą z tego powodu przykrości.

– To wszystko przez tę dziewczynę! – wybuchnęła pani Sternacka.

– Przez jaką dziewczynę? – spytał Walczak.

Sternacki znowu zgromił żonę spojrzeniem:

– Zostaw, Wiktusiu! Nie wtrącaj się!

– O jakiej dziewczynie pani mówiła? – upierał się Walczak.

– To pana nie obchodzi.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie popełnionego morderstwa. Jeżeli będzie pan odmawiał wyjaśnień, zabierzemy pana do komendy na bardziej oficjalne przesłuchanie – uprzedził Downar.

Pani Sternacka poruszyła się niespokojnie.

– Proszę, niech panowie tego nie robią. Ja wszystko powiem. Przed kilkoma tygodniami zadzwoniła do mojego męża jakaś młoda osoba, twierdząc, że jest kuzynką.

– Widziała ją pani?

– Nie. Mąż spotkał się z nią w kawiarni.

Downar spojrzał na Sternackiego.

– Co to za dziewczyna?

– Moja daleka kuzynka.

– Jak się nazywa?

– Danuta Borkowska.

– Jak wygląda?

– Zwyczajnie.

– Ładna, brzydka?

– Ładna.

– Mówiłeś, Stasieczku, że bardzo ładna – wtrąciła się pani Sternacka.

– No tak... raczej ładna...

- Blondynka, brunetka? – pytał dalej Downar.
- Blondynka.
- I skąd nagle przypomniała sobie o tym pokrewieństwie?
- Przyjechała podobno niedawno ze Szczecina. Przeniosła się do Warszawy. Posłyszała gdzieś moje nazwisko.
- I zadzwoniła do pana?
- Tak.
- Pańskie nazwisko nie figuruje w spisie telefonów.
- Mam telefon zastrzeżony. Nie lubię, jak byle dureń może do mnie w każdej chwili zatelefonować.
- To skąd ta pańska kuzynka dowiedziała się numeru telefonu?
- Tego nie wiem. Nie pytałem jej o to.
- Czy mógłby mi pan powiedzieć, o czym rozmawiał pan w kawiarni ze swoją kuzynką?
- O sprawach rodzinnych – odburknął niecierpliwie Sternacki.
- A czy była mowa także i o tym starodruku z początku siedemnastego wieku?
- Możliwe, że coś o tym wspomniałem.
- Przecież mówiłeś mi, Stasieczku, że dużo rozmawialiście na ten temat – powiedziała cichutko pani Wiktorია.
- Możliwe! Nie przypominam sobie.
- Była oburzona, że taka pamiątka rodzinna znajduje się w obcych rękach... Tak mi mówiłeś.
- Sternacki zdradzał coraz gwałtowniejsze oznaki zdenerwowania. Ogromnymi krokami przemierzał pokój, wymachiwał rękami, z wściekłością spoglądał na żonę.
- Głupia baba! Głupia baba! – mruczał przez zaciśnięte zęby.
- Walczak wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Downarem. Porozmawiali jeszcze chwilę, łagodząc naprężoną atmosferę, jaka się wytworzyła pomiędzy małżeństwem. Następnie pożegnali uprzejmie państwa Sternackich i wrócili do czekającego na dole wozu.
- Co sądzisz o tym starym wariacie? – spytał Downar.
- Walczak zrobił niewyraźną minę.

— Bo ja wiem? Albo facet z dużym szmerglem, albo cwaniak nie z tej ziemi. W tej chwili trudno odgadnąć, co się kryje za tym maniakalnym przywiązaniem do pamiątek rodzinnych.

— Co masz na myśli?

— Trochę to na mnie robi takie wrażenie — powiedział Walczak — jakby stary chciał rzucić podejrzenie na siebie, odwracając naszą uwagę od kogoś innego. O czym tak dumasz, Stefanku?

— dodał podchwyciwszy roztargnione spojrzenie przyjaciela.

Downar pokręcił głową.

— Dziwne, bardzo dziwne.

— Co cię tak dziwi?

— To, że ciągle ktoś nam opowiada o bardzo ładnej blondynce. Wydaje mi się, że to już trochę za duży zbieg okoliczności. — Wyjął z kieszeni kopertę lotniczą. — Trzeba się zająć odnalezieniem signoriny Julii Albertyckiej. A temu facetowi warto by się może trochę bliżej przyjrzeć. W każdym razie miejmy go na oku.

Rozdział 9

Bezsenna noc dobiegała końca. Szarość jesiennego poranka osiadła na szybach, najprzód nieśmiało, jakby z wahaniem, potem coraz szerzej, coraz energiczniej wydobywając z ciemności dobrze znane kształty mebli i barwy obrazów wiszących na ścianach. W dole, pod oknami trzeszczał i zgrzytał nieposłuszny motor. Ktoś rzucał w głąb ulicy głośne przekleństwa. Ktoś inny dzwonił rowerowym dzwonkiem.

Przewrócił się na drugi bok i zamknął oczy. Leżąc twarzą do ściany myślał o tym, że powinien zasnąć chociaż na godzinę, że w przeciwnym razie będzie rozbity, zmęczony, do niczego, a przecież czeka go dzień pełen działania.

Im dłużej jednak przekonywał sam siebie, że sen mu jest konieczny, tym bardziej czuł się trzeźwy, tym jaśniej widział obrazy, narastające w wyobraźni do granic obsesyjnych wizji. Bał się i ten nie opuszczający go od dłuższego czasu strach nie pozwalał mu zasnąć, szedł za nim wszędzie, prześladował go,

dręczył, zabijał.

Zrozumiał, że dłużej nie ma sensu leżeć i pocić się.

Gwałtownym ruchem odrzucił kołdrę, wstał, podszedł do okna i rozsunął zasłony.

Dzień zapowiadał się pogodny. Niebo jasne, poprzecinane smugami dymów, rozgrzane pod wesołym słońcem wczesnej jesieni. Ulica coraz głośniejszym rozbrzmiewała życiem. Zgiełk motorów i piskliwe zawodzenie hamulców przerywały głosy ludzi spieszących się do pracy.

Muszę wziąć się w garść. Muszę wziąć się w garść – powtarzał, siedząc w chłodnej wodzie, która łagodziła zmęczenie. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeżeli nie zdoła opanować rozdygotanych nerwów, to bardzo łatwo może zrobić jakieś nieobliczalne w skutkach głupstwo: Prowadził grę, której nie wolno było mu przegrać.

Wychodząc z wanny, zatoczył się i o mało nie upadł.

Słaby jestem – pomyślał – bardzo słaby.

Poszedł do kuchni i przyszykował sobie śniadanie, sute śniadanie. Chciał za wszelką cenę odzyskać utracone siły. Nie mógł jednak jeść. Po paru pierwszych kęsach poczuł taki wstręt do tego wszystkiego, co stało na stole, że o mało nie zwymiotował. Wziął więc do ręki wczorajszą gazetę i, żeby się czymś zająć, zaczął czytać ogłoszenia.

Około dziewiątej przyszła Aniela. Była jak zwykle świeża, wypoczęta, świetnie ubrana. Obrzuciła go szybkim, taksującym spojrzeniem.

– Znowu nie spałeś?

– Nie mogłem.

Zniecierpliwiona zmarszczyła brwi.

– Słuchaj no, Ryszard, co się z tobą właściwie dzieje?

– Jestem zdenerwowany.

– To widzę. Ale dlaczego tak się szaleńczo denerwujesz?

– To wszystko nie jest takie proste.

Wzruszyła ramionami.

– Mój drogi, życie w ogóle nie jest proste. A jeżeli czegoś się chce dokonać, to zazwyczaj komplikacje mnożą się.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Mam wrażenie, że ty sobie nie zdajesz sprawy z sytuacji.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Bo zachowujesz się zupełnie tak, jakby nie istniało żadne niebezpieczeństwo.

– A cóż mi to da, jeżeli będę się tak denerwowała jak ty? Zresztą mówiąc szczerze, wydaje mi się, że trochę wyolbrzymiasz niebezpieczeństwo.

– Miałem otrzymać paszport w zeszłym tygodniu.

– Och, przecież wiesz, jak to z tymi paszportami.

– A jeżeli milicja coś podejrzewa?

– Wydaje mi się, że przeceniasz talenty naszej milicji.

– A ja się boję, że ty nie doceniasz.

Ruchem pełnym zniecierpliwienia zapaliła papierosa.

– Może byś wreszcie zrezygnował z tej manii prześladowczej. Niby w jaki sposób mogą dojść do ciebie?

– Zostawiłem tam odciski palców. Na szklance. Piłem herbatę.

– No to co z tego, że mają twoje odciski palców? Nie wiedzą przecież, do kogo je przykleić.

– A jeżeli dojdą do tej idiotki z poczty?

– Bo też to było zupełnie niepotrzebne.

– Inaczej nie znalazłbym nigdy tego garbusa!

– Ale nie musiała znać twojego nazwiska.

– Dowiedziała się zupełnie przypadkowo... Wiesz przecież...

– Jeżeli jesteś tak mało rozgarnięty, że akurat na tej poczcie zachciało ci się podejmować pieniądze...

– Przestań mnie, do jasnej cholery, sztorcować! – krzyknął wyprowadzony z równowagi.

Umilkła i przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

– Wiesz, co ci poradzę – powiedziała gasząc papierosa. – Idź do lekarza. Niech ci przepisze jakąś kurację na nerwy. W końcu doprowadzisz się do takiego stanu, że pierwszy lepszy milicjant zatrzyma cię na ulicy.

Boner nie zwrócił uwagi na ostatnie słowa Anieli.

– Czy jesteś pewna, że cię przeniosą na włoską linię? – spytał.

– O to się nie kłopotcz. W przyszłym tygodniu lecę do Rzymu.

- I już nie wrócisz?
- Nie wiem. Może nie.
- I zostawisz mnie tu samego?
- Przecież przyjedziesz.
- A jak mnie zamkną?
- Przestań!

Boner podniósł się ze swego miejsca, podszedł i położył jej rękę na ramieniu.

- Chciałem cię o coś zapytać, Anielo.
- O co chodzi?
- Czy tobie na mnie zależy?

Uwolniła się od jego ręki, wstała i podeszła do okna.

– W tej chwili nie czuję się na siłach, żeby rozmawiać na sentymentalne tematy.

– Jednak muszę wiedzieć. To dla mnie bardzo ważne.

– Ważne jest to, żebyśmy się jak najprędzej wyrwali stąd. Wszystko inne nie jest istotne.

– Nie chcesz mi odpowiedzieć na moje pytanie. Robisz uniki.

Zwróciła ku niemu zniecierpliwione spojrzenie.

– Proszę cię, Ryszard, nie rozklejaj się. Czego ty właściwie chcesz ode mnie? Żądasz wyznań miłosnych? Mam cię zapewniać o tym, jak szaleńczo jestem w tobie zakochana, że jeszcze żaden mężczyzna... że jesteś wspaniały, że?...

– Ciepło dzisiaj na dworze? – spytał Boner, którego twarz zastygła nagle w twardym, nieomal wrogim wyrazie.

– Ciepło. Nie miej do mnie żalu, mój drogi, ale naprawdę to nie jest moment do tego rodzaju rozmów.

– Więc w przyszłym tygodniu lecisz do Rzymu?

– Tak. Przynajmniej tak ustaliłam z dyrekcją.

– I od razu skontaktujesz się z tym Włochem?

– No oczywiście. Na cóż mam czekać? Przecież Romeo tęskni do swojej Julci.

– Pamiętaj, że to wszystko mnie zawdzięczasz.

Zaśmiała się.

– A cóż ty myślisz, że ja chcę cię kiwnąć?

– Nic nie myślę. Chcę tylko, żebyś nie zapomniała o tym, że

interes robimy do spółki.

— Bądź spokojny. Nie skrzywdzę cię.

— Czy zaraz chcesz wyjść za mąż za niego?

— Oczywiście. Na cóż mam czekać? Jeszcze się gotów rozmyślić.

— Nie ma obawy. Szaleje za tobą, to znaczy za twoją wizją.

Aniela wyjęła z torebki szminekę i puderniczkę. Z zapalem zabrała się do zabiegów upiększających.

— Wychodzisz już? — spytał Boner.

— Tak. Mam jeszcze kilka spraw na mieście do załatwienia. A tobie radzę przejść się do biura paszportowego. Załatw jakoś z nimi.

Boner patrzył na nią jak na zupełnie obcą osobę. Czuł, że mu się wymyka, że z każdym dniem coraz mniej interesuje się nim. Nie usiłowała nawet ukryć chłodu i obojętności. Pojedzie, załatwi swoje sprawy, a on?

— Boję się, że nie wydadzą mi tego paszportu w związku ze sprawą Reitinga — powiedział zgnębiony.

Wzruszyła ramionami.

— Nudny jesteś. Przestań wreszcie zagłębiać się w tych pesymistycznych rozważaniach.

— Zostawiłem wtedy papierośnicę u niego w mieszkaniu.

— Szkoda, że nie zostawiłeś jeszcze biletu wizytowego z adresem. Były jakieś inicjały na tej papierośnicy?

— Była cała dedykacja. Dostałem ją na imieniny od Teresy.

— A propos. Co z Teresą?

— No cóż... Chodzi ze złamanym sercem.

Aniela skończyła się malować, schowała swoje przybory kosmetyczne do torebki i powiedziała:

— Źle zrobiłeś. Takich spraw nie powinno się tak brutalnie likwidować.

— Miałem już jej tak dosyć. Nie mogłem się odczepić.

— Trzeba to było jakoś delikatniej załatwić. Pamiętaj o tym, że odtrącona kobieta potrafi się mścić. Ciao, carissimo. Czy wiesz, że z włoskim już wcale nieźle daję sobie radę?

Rozdział 10

Porucznik Kobiela stosunkowo szybko odnalazł skradziony z kieszeni Reitinga zegarek.

— Ładny drobiazg, obywatelu majorze. Do»a. Złota. Ten oprych mówił prawdę. Wszystko się zgadza. Nawet napis jest na wewnętrznej kopercie. Po francusku czy po włosku.

Downar wyjął z szuflady biurka szkło powiększające i przeczytał: Per la bellissima Giulietta uecchio Romeo.

Walczak odebrał z rąk przyjaciela zegarek i przetłumaczył:

— „Najpiękniejszej Julii stary Romeo”. Zastanawiam się nad tym, co łączyło Błażeja Reitinga z tą jakąś tajemniczą Julią, która z Włoch otrzymała list i zegarek.

— List był adresowany na nazwisko Marii Kozłowskiej, dla Julii Alberyckiej — powiedział Downar. — Marii Kozłowskich może mieszkać w Warszawie kilkadziesiąt albo więcej. Nie sposób z wszystkimi rozmawiać. Alberycka to rzadkie nazwisko. Nie rozumiem tylko, skąd lotnicza koperta mogła się znaleźć w tej siedemnastowiecznej książce?

— Może któraś z uczennic Reitinga zostawiła przez roztargnienie kopertę? — podsunął Walczak.

Downar pokręcił głową.

— Nie bardzo prawdopodobne. Reiting miał raczej usposobienie pedantyczne. Zapisywał starannie nazwiska swoich uczniów i uczennic. Julii Alberyckiej tam nie ma. Poza tym zegarek...

— No, to może być zbieg okoliczności. Julia nie jest znów aż tak rzadkim imieniem.

— Oczywiście, że może to być zbieg okoliczności. Ale list z Włoch i zegarek z Włoch, a wszystko w mieszkaniu Reitinga. To byłby bardzo dziwny zbieg okoliczności.

— Szukałeś Julii Alberyckiej w biurze meldunkowym? — spytał Walczak.

— Oczywiście, że szukałem. Nie ma takiej w ewidencji.

— Czyżby była nie meldowana?

— Na to wygląda.

— I co, Stefanku, masz zamiar robić teraz z tym fantem?

– Mam zamiar pojechać na pocztę główną.

– Inicjatywa zaiste godna pochwały.

Kierownik poczty z pewnym zdziwieniem przyjął przedstawiciela władzy.

– Czym mogę panu służyć, panie majorze? – spytał, wyjmując papierosy.

Downar wyjaśnił, o co chodzi i na zakończenie powiedział:

– Bardzo zależy mi na tym, panie dyrektorze, żeby moja wizyta tutaj nie nabrała zbyt dużego rozgłosu.

Po chwili weszła do dyrektorskiego gabinetu młoda, przystojna szatynka.

– Proszę, niech pani siada. Pan major z komendy milicji chciałby panią o coś zapytać.

Niespodziewanie dziewczyna wybuchnęła płaczem.

– Ja... ja tylko raz. Ja bardzo żałuję, że to zrobiłam. Wiem, że nie powinnam.

– O czym pani mówi? – spytał zdziwiony Downar.

– Mówię o tym liście, który wyniosłam z urzędu, ale... ale przyniosłam go z powrotem. Adresat otrzymał go. Nic się nie stało. Tylko może małe opóźnienie.

Dyrektor i Downar spojrzeli po sobie.

– Jak to, więc pani wynosi na miasto listy, które przychodzą na poste restante? – spytał surowo dyrektor.

– Tylko jeden raz mi się to zdarzyło, panie dyrektorze! Przysięgam, że już nigdy więcej! Cały czas się bałam, że będą z tego jakieś nieprzyjemności.

– Dlaczego pani to zrobiła?

Zawahala się.

– Proszę mówić zupełnie szczerze – przynaglił ją

Downar. – Pani sytuacja jest niezbyt miła. Jedyne powiedzenie całej prawdy może to wszystko jakoś załagodzić.

– Poznałam pewnego mężczyznę... Przypadkowo, tutaj na poczcie...

– I co?

– Zaprosił mnie na kolację do „Kameralnej”. Potem... spotykaliśmy się wielokrotnie, chodziliśmy do kina, do teatru. Mówił, że mu się bardzo podobam...

– I co dalej?

– Kiedyś powiedział, że poszukuje swojej zaginionej kuzynki, która nazywa się Julia Alberycka i która dostaje listy na poste restante. Prosił... że jak taki list przyjdzie, żebym mu go przyniosła...

– I pani przyniosła ten list?

– Tak, ale nazajutrz odniosłam go z powrotem.

– Skąd był ten list?

– Z Rzymu.

– Jak to się dzieje, że pani tak dobrze pamięta, że z Rzymu?

– Bo listy z Rzymu do pani Alberyckiej przychodzą już od dawna. Chyba od dwóch lat. To w ogóle jest dziwna i tajemnicza historia z tymi listami do Julii Alberyckiej.

– Dlaczego pani tak twierdzi, że to jest tajemnicza historia?

– spytał Downar.

– Bo te listy przychodzą na nazwisko pani Marii Kozłowskiej, z adnotacją, że są przeznaczone dla pani Alberyckiej.

– I zawsze przychodzą z Rzymu?

– Tego nie pamiętam. Wiem tylko, że zawsze z Włoch.

– Czy pani widziała kiedy Julię Alberycką?

– Nie, nigdy jej nie widziałam. Listy zawsze odbiera Maria Kozłowska.

– Jak wygląda ta pani?

– Taka zwyczajna, starsza kobieta.

– Czy nie wie pani, gdzie mieszka?

– Nie.

Downa: zapalił papierosa i zamyślił się. Po chwili powiedział:

– Wróćmy jeszcze do tego znajomego, któremu pani zaniósła list adresowany do Julii Alberyckiej. Jak go pani poznała?

– Przychodził tu na pocztę, kręcił się koło mojego okienka. Potem zaczął ze mną rozmawiać. Zaprosił mnie...

– Jak on się nazywa?

– Powiedział mi, że się nazywa Zbigniew Wólecki, ale to nie jego prawdziwe nazwisko. Naprawdę nazywa się Ryszard Boner.

– W jaki sposób dowiedziała się pani o tym?

— Zauważyłam, że wyjął z kieszeni książeczkę oszczędnościową i poszedł podjąć pieniądze. Poprosiłam koleżankę, żeby zanotowała jego nazwisko.

— Więc podejrzewała go pani, że panią oszukuje?

— Był trochę dziwny i dlatego...

— Czemu dziwny?

— Tak ciągle wystawał na pocztę...

— Pewnie czekał na ową panią Kozłowską.

— Chyba tak. Chciał się czegoś dowiedzieć o tej Alberyckiej.

— No i spotkał się wreszcie z Kozłowską?

— Tak. Któregoś dnia przysłała po listy. Ale on nie podszedł do niej, chociaż dawałam mu znaki, że to ona. Pewnie dlatego nie podszedł, że nie była sama.

— Az kim przysłała?

— Z jakimś ułomnym mężczyzną. Strach było na niego patrzeć.

— Ułomny?

— Tak. Garbaty.

— I pani Kozłowska odebrała listy?

— Tak. Odebrała listy i razem wyszli.

— A Boner?

— Wyszedł za nimi.

— Ale nie podchodził do nich?

— Nie wiem. Zostałam przecież przy okienku pocztowym...

— Czy pani poznałaby tę panią Kozłowską?

— Oczywiście.

— Mam do pani prośbę. Jeśli pani Kozłowska przyjdzie jeszcze po odbiór listów, proszę spojrzeć w jej dowodzie osobistym na adres.

— Dobrze. Postaram się.

— Dziękuję. Na razie to byłoby wszystko.

Ze Świętokrzyskiej Downar pojechał do komendy. Zaraz wezwał do siebie Kobięłę.

— Słuchajcie, poruczniku, mam dla was taką robótkę. Przeprowadzicie mi maleńki wywiadzik, dotyczący jegomościa, który nazywa się Ryszard Boner. Z nim osobiście nie kontaktujcie się. Raczej zręcznie wybadajcie jego otoczenie.

– Co to za facet?

– Nic bliższego o nim nie wiem poza tym, że od czasu do czasu uwodzi urzędniczki pocztowe. Byłoby bardzo dobrze, żebyście jakoś dyskretnie mogli zdobyć odciski jego palców.

Odprawiwszy porucznika, Downar poszedł do Walczaka. Zastał go pochylonego nad partyturami operowymi.

– Cóż to, Karolku, przerzucasz się na muzykologię?

– Bardzo prawdopodobne – mruknął Walczak i czytał dalej.

Downar rzucił okiem na rozrzucone na biurku nuty.

– Wagner? Chcesz coś wydedukować z oper Wagnerowskich?

– To niewykluczone, Stefanku. Wcale niewykluczone.

– Zasugerowałaś się płytami Błażeja Reitinga?

– Trochę.

– Powiedz wreszcie po ludzku, o co ci chodzi

– zdenerwował się Downar. – Chcesz mnie zaintrygować?

Walczak podniósł głowę, spojrzął na przyjaciela i uśmiechnął się.

– Nie, Stefanku, nie chcę cię zaintrygować, ale coś mi przychodzi do głowy, tylko jeszcze na ten temat nie będę mówił. Pozwól mi się trochę pobawić w muzykologa.

– To się baw – wzruszył ramionami Downar.

– Ja zajmuję się bardziej konkretnymi sprawami. Wracam z poczty.

– No i co?

Downar opowiedział o rozmowie w gabinecie dyrektora.

– Trochę materiału zebrałeś – pochwalił go Walczak. – Z tego wszystkiego wynika, że masz nowego kandydata na mordercę Reitinga.

– Przyznam ci się, że ta duża liczba potencjalnych morderców trochę mnie niepokoi.

– Mnie także.

Walczak odsunął od siebie Wagnerowskie opery i zapalił papierosa.

– Widzisz, Stefanku, to wszystko zaczyna na mnie robić takie wrażenie, jakby ktoś celowo montował tę całą historię z Reitingiem. Bo zastanówmy się. W zglądzeniu Reitinga było

zainteresowanych kilka osób: Pasławski, jego żona, trzech młodych bandytów, ten zwariowany bibliofil, a teraz znowu wypłynął jakiś Boner.

– O Bonerze właściwie nic nie wiemy – zauważył Downar. – Nie wiemy, czy miał jakieś powiązania z Reitingiem.

– Ale wiemy, że interesował się bardzo osobą Julii Alberyckiej, z którą korespondował ktoś mieszkający we Włoszech. Koperta zaadresowana na jej nazwisko została znaleziona w książce, będącej własnością Reitinga. Ergo Boner pośrednio czy też bezpośrednio miał coś wspólnego z Reitingiem.

Downar pokiwał głową.

– No, tak. Rozumowanie raczej logiczne, tylko że niestety nie posuwające nas ani o krok naprzód.

– Nie bardzo bym się z tobą zgodził – powiedział Walczak.

– Wydaje mi się, że postać Bonera jest dla nas bardzo interesująca. O ile sobie przypominam, wspomniałeś, że «w mieszkaniu Reitinga znaleziono srebrną papierośnicę z wygrawerowaną dedykacją.

– Owszem – przytaknął Downar. – Pamiętam nawet treść tej dedykacji: „Najdroższemu Ryszardowi w dniu imienin Teresa”.

– Boner ma na imię Ryszard.

– Tak.

– A poznana urzędniczka nie nosi przypadkiem imienia Teresa?

– Tego nie wiem. Można sprawdzić.

– Bo nie jest wykluczone, że ta papierośnica należy do Bonera. Ryszardów oczywiście może być wielu, ale tak nam to dziwnie pasuje.

– Jaki mógłby być motyw zbrodni?

– Nie wymagaj ode mnie za wiele – uśmiechnął się Walczak.

– Jak dotąd nie jestem jeszcze jasnowidzem. Jedźmy dalej. Wszystkie zainteresowane osoby mają czy miały coś wspólnego z piękną blondynką. Zaiste przedziwny zbieg okoliczności.

– Nie sugerujmy się – powiedział Downar. – Nie mamy żadnych podstaw, ażeby twierdzić, że we wszystkich

wypadkach występuje ta sama dziewczyna. To chyba zbyt fantastyczne.

— W tej sprawie, Stefanku, dużo jest rzeczy fantastycznych i mało prawdopodobnych. Choćby i to, że wszyscy ci kandydaci na morderców byli akurat u Reitinga tego samego dnia, w ten feralny piątek. Przyznam ci się, że nie wierzę w takie łańcuchowe zbiegi okoliczności.

— A więc dopatrujesz się tu celowości?

— Jak najbardziej. Pomyśl chwilę. Załóżmy, że Boner z jakichś tam powodów postanowił zamordować Reitinga. Jest jednak człowiekiem sprytnym i postanawia dokonać zbrodni w sposób możliwie inteligentny. Działa planowo. Zapoznaje się z otoczeniem Reitinga, bada jego życie, jego zwyczaje, zdobywa wiadomości zarówno o jego przyjaciółach, jak i o jego wrogach. Dowiaduje się, że tego a tego dnia odwiedzą Reitinga ludzie, którzy ewentualnie mogą być uważani za morderców.

— Tak... — pokiwał głową Downar. — No, cóż... to, co mówisz, brzmi trochę fantastycznie, ale nie pozbawione jest cech prawdopodobieństwa. Byłaby to zbrodnia metodycznie przygotowana. Idąc dalej po linii twego rozumowania, można stworzyć hipotezę, że nasz teoretyczny morderca, czyli Boner, otrzymywał informacje od owej tajemniczej blondynki, która w tym celu na wiązy—, wała kontakty z poszczególnymi kandydatami na morderców. A więc mielibyśmy i współniczkę zbrodni.

Walczak klasnął w dłoń.

— Brawo, Stefanku, brawo. Zaczynasz mi się podobać. Czy wiesz, że niedługo gotów jesteś prześcignąć mistrza, to znaczy mnie?

— Nie wygłupiaj się — mruknął Downar i spojrzął na zegarek. — No, na mnie już czas.

Rozdział 11

— Siadajcie — powiedział Downar, wskazując porucznikowi krzesło. — Zapalicie „Carmena”?

Rumiana twarz Kobieli promieniała zadowoleniem.

– Należy mi się, obywatelu majorze. Odwaliłem kawałek ładnej roboty. – Wziął papierosa i sięgnął do kieszeni po zapalki.

Downar szybko przebiegł oczami maszynopis:

Ryszard Boner nr. 4 października 1928 roku, kawaler, pracował w Ministerstwie Kultury i Sztuki, obecnie bez stałego zajęcia. Trudno ustalić, z czego się utrzymuje. Miał przyjaciółkę, Teresę Mikulską, z zawodu stenotypistkę. Prawdopodobnie zerwał z nią. W kwietniu bieżącego roku wyjeżdżał do Rzymu, na zaproszenie swojej siostry Reginy, która wyszła za mąż za włoskiego przemysłowca Ludwika Antonellego. Obecnie Boner znowu stara się o paszport na wyjazd do Włoch.

– Bardzo interesujące informacje – powiedział Downar. – Bardzo.

Kobiela wyprostował się dumnie.

– U nas tak się pracuje, obywatelu majorze. Tu lipy nie ma. Wszystko sprawdzone, ustalone. Szafa gra, jak to się mówi. A oprócz tego odciski paluszków pana Bonera także posiadam.

– Jakżeście je zdobyli?

– Całkiem po prostu. Wsunąłem szklanę do kieszeni i chodziłem z nią za naszym obiektem. Wreszcie spotkał się w kawiarni, w „Nowym Świecie”, z tą swoją cizią. Postąłem w holu, że to niby czekam na kogoś i jak tylko wstali od stolika, ja szybko usiadłem na jego miejscu, przykryłem chustką szklanę, oczywiście bardzo dyskretnie, schowałem do kieszeni, a swoją szklanę postawiłem na spodeczku i w porządku. Potem przejechałem się do Zakładu, zrobili, co do nich należało i linie papilarne mamy jak na dłoni. Nawet bardzo fotogenicznie wyszły.

– Trzeba to natychmiast porównać z materiałem znalezionym w mieszkaniu Reitinga – powiedział podniecony Downar. Czuł, że sprawa, której do tej pory nie mógł ruszyć z miejsca, zaczyna przybierać konkretne kształty.

W Zakładzie Kryminalistyki stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że odciski palców zdobyte przez Kobielę należą do osobnika, który pozostawił odbicie swych linii papilarnych w

mieszkanu Reitinga. Krąg podejrzanych coraz bardziej zacieśniał się wokół osoby Bonera.

Po naradzie z Walczakiem Downar postanowił działać bez straty czasu. Na drugi dzień z samego rana pojechał z Pakułą na Hożą. Zostawił sierżanta na klatce schodowej, sam zaś poszedł o pół piętra wyżej i nacisnął dzwonek.

Boner, mimo wczesnej godziny, był już ubrany i szykował się do wyjścia. Ujrawszy nieznanego mężczyznę jakby się spieszył, ale zapytał spokojnie:

– Pan do mnie?

– Jeżeli pan nazywa się Ryszard Boner, mam interes do pana.

– Tak. Nazywam się Ryszard Boner. Słucham? O cóż to chodzi? Z kim mam przyjemność?

– Pozwoli pan, że wejdę – powiedział Downar, wchodząc do pokoju.

– Proszę, tylko że ja się spieszę... Właśnie miałem wyjść.

– Postaram się nie zabrać panu zbyt wiele czasu. Będę się streszczał. – Downar wyjął z portfela legitymację służbową. – Może pan obejrzy moją legitymację, żeby nie było żadnych wątpliwości.

Boner przybladł nieco.

– Czym mogę służyć; panie majorze? – powiedział, z wysiłkiem opanowując drżenie głosu.

– Proszę siadać.

Usiedli na nowoczesnych niskich fotelikach.

– Czemu zawdzięczam pańskie odwiedziny, panie majorze?

Downar spostrzegł, że Boner nabiera pewności siebie. Żałował, że nie zaatakował od razu, wykorzystując pierwsze zaskoczenie przeciwnika. Nie lubił jednak tej uderzeniowej metody, uważając, że stać go na spokojne i metodyczne rozpracowanie podejrzanego. Wiedział z doświadczenia, że gwałtowne posunięcia nie zawsze dają pożądane wyniki. Rozejrzał się po mieszkaniu i powiedział z uprzejmym uśmiechem:

– Ładnie tu u pana. Przyjemnie się pan urządził. Te zielone zasłony na oknie znakomicie harmonizują z dywanem.

Miałbym może pewne zastrzeżenia co do reprodukcji Kossaka, wiszącej nad biurkiem. Wydaje mi się, że kolorystycznie niezbyt tutaj siedzi.

Boner słuchał zdumiony. Nie mógł zrozumieć, do czego zmierza ten dziwny milicjant.

— I biblioteczkę ma pan ładną — ciągnął dalej Downar, podchodząc do półki z książkami. — Choć nie jest pan oczywiście bibliofilem, takim, jakim był Błażej Reiting. Ten miał zbiory! Fantastyczna kolekcja starych druków! Znał pan zapewne Błażeja Reitinga?

Boner potrząsnął głową.

— Nie, nigdy nie zetknąłem się z człowiekiem o tym nazwisku. Zresztą, mówiąc prawdę, w najmniejszym stopniu nie interesuję się bibliofilstwem.

— „Mówiąc prawdę” powiada pan — Downar usiadł. — Chciałbym panu coś zaproponować.

— Słucham?

— Bo widzi pan, nie wiem, czy warto, żebyśmy obaj tracili tyle czasu.

— Nie rozumiem.

— To nietrudno zrozumieć. Ja prowadzę śledztwo i przyszedłem do pana w ściśle określonym celu.

— Domyślam się, że...

— No więc właśnie. Proponuję panu, żeby pan porozmawiał ze mną szczerze na pewne interesujące mnie tematy. Mogę pana zapewnić, że zanim zdecydowałem się na te odwiedziny, zebrałem trochę niezbędnych informacji i chyba nie ma sensu, żeby pan kłamał.

— Ależ o czym pan mówi, panie majorze?

— Zaraz to panu wyjaśnię. Prowadzę śledztwo w sprawie zamordowania Błażeja Reitinga i pragnę pana prosić o pomoc.

— Powiedziałem już, że żadnego Błażeja Reitinga nie znałem.

Downar skrzywił się z niesmakiem.

— No, widzi pan. Nie możemy się dogadać. Taktyka, którą pan obiera, nie tylko niepotrzebnie przedłuża naszą rozmowę, ale również stawia pana w dwuznacznej sytuacji.

— Jak to w dwuznacznej sytuacji?

— Och, jaki pan niedomyślny! Jeżeli pan twierdzi, że pan nie znał Błażeja Reitinga, a ja mam pewność, że pan go znał, to ukrywanie tego faktu może rzucić na pana jakieś niemile podejrzenie. Człowiek o zupełnie czystym sumieniu nie wypiera się swoich znajomości, szczególnie w rozmowie z oficerem śledczym.

— Nie rozumiem, dlaczego pan się upiera, że ja musiałem znać tego jakiegoś Reitinga? — powiedział wyraźnie już zdenerwowany Boner.

— Czy słyszał pan o daktyloskopii?

— Oczywiście.

— Otóż w mieszkaniu Błażeja Reitinga znaleziono odciski pańskich palców, co zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość.

— To jakaś pomyłka.

— Wykluczone. Proszę mi teraz powiedzieć, dlaczego pan nie chciał się przyznać do tej znajomości?

Boner zwilżył językiem wyschnięte wargi.

— To proste, panie majorze, bardzo byłoby mi teraz nie na rękę, gdybym został zamieszany w tego rodzaju sprawę. Siostra moja jest poważnie chora i właśnie staram się o paszport, żeby pojechać do niej do Rzymu.

A dlaczego pan przypuszczał, że może pan być zamieszany w sprawę o morderstwo?

— Tego nie przypuszczałem. Bałem się tylko, że będę powoływany na świadka i może nie otrzymam pozwolenia na wyjazd.

— Od dawna pan znał Błażeja Reitinga?

— Nie. Poznałem go niedawno. W zeszłym miesiącu.

— W jakich okolicznościach?

— Przyjaciel mego szwagra jest sławistą. Mieszka stale we Florencji. Prosił mnie o zebranie informacji w sprawie jakichś starodruków. Dowiedziałem się, że pan Reiting...

— Bywał pan u niego częstym gościem?

— Byłem ze dwa, może trzy razy...

— Wypożyczył panu jakieś książki?

— Nie. Pan Reiting nawet słyszeć nie chciał o wypożyczeniu

książek. W ogóle był bardzo niechętnie do mnie usposobiony. Zrezygnowałem.

– A słyszał pan o takiej kobiecie, która się nazywa Julia Alberycka?

– Słyszałem.

– Co pan słyszał?

– Moja siostra prosiła mnie, żebym się dowiedział o jej adres.

– Dlaczego jej na tym zależało?

– To taka trochę dyskretna historia...

– Chciałbym ją jednak usłyszeć.

– Otóż... mój szwagier... mąż mojej siostry był przed paroma laty w Warszawie w sprawach handlowych i poznał tutaj pewną młodą osobę... Taki przelotny flirt... Pan rozumie? Ale zaczął z nią korespondować. Moja siostra dowiedziała się o tym i... jak to kobieta... Jest zazdrosna. Prosiła mnie, żebym zasięgnął informacji o tej dziewczynie. Chciałem wyświadczyć siostrze przysługę i dlatego...

– I dlatego zabrał się pan do uwodzenia urzędniczki pocztowej – uzupełnił Downar.

– Chciałem się czegoś dowiedzieć.

– No i czego się pan dowiedział? Znalazł pan Julię Alberycką?

– Nie. Nie znalazłem.

– Listy z Rzymu do Julii Alberyckiej przychodzą na nazwisko niejakiej Marii Kozłowskiej. Czy pan wie o tym?

– Wiem. Dowiedziałem się od tej dziewczyny z poczty.

– Rozmawiał pan z Marią Kozłowską?

Boner jakby się zawahał, ale trwało to ułamek sekundy.

– Tak. Rozmawiałem.

– No i co panu powiedziała?

– Powiedziała, że rzeczywiście odbierała korespondencję dla pani Alberyckiej, ale że od dłuższego czasu już nie odbiera, bo nic nie przychodzi.

– Pytał pan ją o adres Alberyckiej?

– Oczywiście, ale twierdziła, że nie zna jej adresu. Podobno przychodziła do niej do domu po odbiór tych listów.

- A czy pan wie, gdzie mieszka Maria Kozłowska?
- Nie. Nie wiem. Rozmawialiśmy w kawiarni.
- Ta urzędniczka z poczty twierdzi, że pan widział, jak Maria Kozłowska przyszła raz po przesyłkę w towarzystwie garbatego mężczyzny. Czy tym garbatym mężczyzną był Błażej Reiting?
- Tak. To był pan Reiting.
- Pan już go wtedy znał?
- Nie. Poznałem go później.
- Więc pani Kozłowska wyszła z poczty razem z Reitingiem, a pan poszedł za nimi?
- Tak.
- I wtedy pan porozumiał się z Kozłowską?
- Tak. Pożegnała się z Reitingiem na rogu Jasnej, więc podszedłem do niej i powiedziałem, o co mi chodzi.
- Jak się zachowała?
- Zwyczajnie. Była trochę zdziwiona. Poszliśmy do kawiarni na herbatę, pogadaliśmy.
- I nie dowiedział się pan adresu ani Kozłowskiej, ani Alberyckiej?
- Nie.
- Czy pan potem poszukiwał Alberyckiej?
- Już nie szukałem. Postanowiłem zrezygnować. Mam dosyć własnych spraw na głowie i tak dużo straciłem na to czasu.
- Niech mi pan jeszcze powie, panie Boner, czy pan ma narzeczoną?
- Nie. W tej chwili nie mam.
- Ale pan miał?
- No, owszem... Nie rozumiem, co to ma do rzeczy?
- Downar nie odpowiedział na to pytanie.
- Na razie dziękuję panu. Być może, że jeszcze zmuszony będę pana prosić o jakieś wyjaśnienia.

Rozdział 12

Konsekwentna obserwacja okienka pocztowego dała po kilku dniach pozytywne wyniki. Jeden z wywiadowców zatrzymał Marię Kozłowską i zaprosił ją do samochodu. Nie protestowała

i nie była specjalnie zdziwiona. Robiła takie wrażenie, jakby od dawna przygotowywała się na to spotkanie.

Downar doznał uczucia pewnego rozczarowania. Nie wiedział dlaczego, ale jakoś inaczej wyobrażał sobie Marię Kozłowską. Siedziała przed nim kobieta około sześćdziesiątki, o szarej, zmęczonej twarzy, przypominającej swym wydłużonym kształtem portrety Modiglianiego. Nie była speszona ani zdenerwowana. Patrzyła wyczekująco na siedzącego po drugiej stronie biurka mężczyznę.

– Czy pani znała Błażeja Reitinga?

Skinęła głową.

– Tak. Znałam pana Reitinga.

– Pani wie, że pan Reiting został zamordowany?

– Wiem. Bardzo mi przykro. – Zostało to powiedziane zupełnie beznamytnie, tak, jakby chodziło o jakąś nic nieznaczącą drobnostkę.

– Od dawna znała pani Błażeja Reitinga?

– Znałam go jeszcze przed wojną.

– Bywała pani u niego na Smolnej?

– Nie. Nie chciał, żebym do niego przychodziła.

– Dlaczego nie chciał?

– Nie wiem. Musiał mieć jakieś powody.

– Na pani nazwisko przychodziły listy z Włoch, przeznaczone dla niejkiej Julii Alberyckiej.

– Tak.

– I Julia Alberycka przychodziła do pani po te listy?

– Nie. Ja jej nigdy nie widziałam. Po listy dla pani Alberyckiej przychodził zawsze pan Reiting.

Downar z zainteresowaniem przyglądał się starej kobiecie. Zachowywała się bardzo skromnie, prawie nieśmiało, ale na pytania odpowiadała spokojnie, rzeczowo, z całkowitą obojętnością. Można było przypuszczać, że cała ta sprawa nie obchodzi jej w najmniejszym stopniu.

– Niech mi pani powie, dlaczego listy do Julii Alberyckiej przychodziły na pani adres?

– Nie wiem, dlaczego. Tak sobie życzył pan Reiting.

– Zapewne musiał to pani jakoś wytłumaczyć.

— Powiedział, że ta korespondencja posiada charakter dyskrecjonalny, że chodzi o mężatkę, która nie chce być skompromitowana...

— Więc Julia Alberycka jest mężatką?

— Tak twierdził pan Reiting.

— I nigdy nie widziała pani tej kobiety?

— Nigdy.

— Czy pan Reiting wynagradzał jakoś pani tę fatygę?

— Oczywiście. Za każdy list dostawałam sto pięćdziesiąt złotych.

— Czy na pani nazwisko przyszedł także złoty zegarek?

— Tak. Wtedy dostałam trzysta złotych.

— Czy nie dziwiło to panią, że taki człowiek jak Błażej Reiting zadaje sobie tyle trudu, aby doręczać w taki skomplikowany sposób listy przychodzące do Julii Alberyckiej?

Pani Kozłowska nieznacznie poruszyła ramionami.

— Proszę pana, im człowiek dłużej żyje na świecie, tym coraz rzadziej się dziwi. Nie lubię zaprzętać sobie głowy sprawami, które mi do niczego nie są potrzebne. Żyję z inwalidzkiej renty. Sto pięćdziesiąt złotych za każdy list to dla mnie była poważna pomoc.

— Co zamierały te listy z Rzymu, przychodzące do pani Alberyckiej?

— Ja nie mam zwyczaju czytać cudzych listów, proszę pana.

Downar uśmiechnął się.

— Żeby mnie pani nie wiem jak przekonywała, że pani ani razu nie zajrzała do listu z Rzymu, to nie uwierzę. Przecież pani jest kobietą, a w takiej sytuacji bardzo wątpię, czy znalazłby się i mężczyzna, który zdołałby się oprzeć pokusie. Jestem pewien, że zajrzała pani do któregoś z tych listów.

— Ma pan rację. To było zbyt intrygujące. Raz otworzyłam taki list. Odkleiłam kopertę nad parą.

— Stary, dobry sposób. No i cóż było w tym liście?

— Był napisany po włosku. Ja nie znam włoskiego.

— Ale ma pani znajomego czy znajomą...

— Tak. Mam przyjaciółkę, która zna trochę włoski.

— I co zawierał ten list?

- Wyznania miłosne. Pisał go ktoś bardzo zakochany.
- I nic więcej?
- Nic. Cały długi list o miłości.
- Czy pan Reiting rozmawiał kiedy z panią na temat Julii Alberyckiej?
- Nie, nigdy o niej nie rozmawiał.
- Czy zagadnął kiedyś panią niejaki Boner? Wtedy, kiedy była pani na poczcie razem z panem Reitingiem.
- Tak. Przypominam sobie. Pożegnałam się na ulicy z panem Reitingiem i wtedy podszedł do mnie jakiś elegancki mężczyzna i poprosił o chwilę rozmowy. Zdaje się, że rzeczywiście nazywał się Boner.
- Czego chciał od pani?
- Chciał się czegoś dowiedzieć o Julii Alberyckiej.
- Co mu pani powiedziała?
- Powiedziałam mu, że nie znam adresu pani Alberyckiej.
- Boner twierdzi, jakoby dowiedział się od pani, że Alberycka przychodzi osobiście do pani po odbiór listów.
- Możliwe, że mu tak powiedziałam. Nie chciałam, żeby zwracał głowę panu Reitingowi.
- Czy po spotkaniu z Bonerem widziała się jeszcze pani z Reitingiem?
- Nie pamiętam, ale wydaje mi się, że nie.
- Pan Reiting nie mówił pani, że obawia się kogoś, że ktoś mu zagraża?
- Nie przypominam sobie, żeby coś takiego mówił.
- Czy naprawdę nigdy nie była pani w mieszkaniu pana Reitinga?
- Byłam tylko jeden raz, ale dawno. Potem prosił, żebym do niego nie przychodziła.
- A ten jeden raz w jakich okolicznościach pani go odwiedziła?
- Spotkaliśmy się któregoś dnia na mieście i zaprowadził mnie do siebie.
- W jakimś konkretnym celu?
- Tak. Był wtedy bardzo zdenerwowany, inny jak zwykle. Mówił o śmierci. Powiedział, że ma do mnie ogromną prośbę,

że jestem jedyną osobą na świecie, której może ufać... Wyjął z biurka szkatułkę...

– Jaka to była szkatułka?

– Bardzo piękna, stara, chyba mahoniowa, inkrustowana masą perłową czy kością słoniową. Ja się tak dobrze nie znam na antykach.

– I co z tą szkatułką?

– Pan Reiting prosił, żebym po jego śmierci spaliła tę szkatułkę, nie otwierając jej, nie zaglądnąca do środka. Musiałam mu przysiąc. Dał mi wtedy za to dwie złote dwudziestodolarówki. Mam je do tej pory.

– Tej szkatułki nie znaleźliśmy w mieszkaniu Reitinga – powiedział Downar.

– Pewnie zabrał ten, kto zabił.

– I nie domyśla się pani, co było w tej szkatułce?

– Nie mam pojęcia.

– Była ciężka czy lekka?

– Nie pozwolił mi wziąć jej do ręki. Pokazał tylko, gdzie ją chowa w biurku i dał mi zapasowy klucz.

– I potem już nigdy nie widziała pani tej szkatułki?

– Nigdy. Nie przychodziłam do niego. W razie jego śmierci dozorca miał mnie natychmiast zawiadomić.

– Czy pan Reiting nie miał jakiejś rodziny?

– O ile się orientuję, miał tylko siostrzeńca, ale to nic dobrego, chuligan.

– Dlaczego myślał o śmierci? – powiedział cicho, jakby do siebie Downar.

Pani Kozłowska uśmiechnęła się melancholijnie.

– Im człowiek robi się starszy, tym częściej myśli o śmierci. Tak już jest.

– Niech mi pani jeszcze powie, czy tylko raz zajrzała pani do listu przeznaczonego dla Julii Alberyckiej?

– Tylko ten jeden raz, proszę pana.

– A czy nie było na którymś z tych listów adresu nadawcy?

– Nie. Zwróciłam na to specjalnie uwagę. Na żadnym liście nie było adresu nadawcy.

– A zegarek w jaki sposób został przysłany?

— W liście.

— Jak to? W zwykłym lotniczym liście? '

— Tak. Zegarek maleńki, damski. Koperta była gruba, a w niej dużo papieru. Pewnie drożej kosztowały znaczki.

— To jednak nie tylko jeden list pani otworzyła — uśmiechnął się Downar.

Zadzwoił telefon. Porucznik Kobiela meldował, że pani inżynierowa Paśławska czeka.

Downar wstał.

— Bardzo pani dziękuję — powiedział, zwracając się do Kozłowskiej. — Jeżeli miałyby pani jakieś wiadomości od pani Alberyckiej, proszę koniecznie skomunikować się ze mną.

— Oczywiście, proszę pana.

Downar uprzejmie odprowadził ją do drzwi, następnie zaś podniósł słuchawkę i kazał poprosić Paśławską.

Weszła z wahaniem. Stąpała niepewnie, jak człowiek, który nie wie, co go czeka, gdy drzwi zamkną się za jego plecami. Twarz miała zmęczoną, przygasłą, naznaczoną udręką nieprzespanej nocy.

— Więc jednak zdecydował się pan zaaresztować mnie — powiedziała cicho.

Downar wskazał fotele przy bocznym stoliku. Nie chciał zbyt oficjalnie zasiadać za biurkiem.

— Proszę, może pani usiądzie. Myślę, że filiżanka mocnej kawy dobrze nam zrobi.

Milczała. Wydał więc przez telefon odpowiednie polecenie i wyjął z szuflady reprezentacyjne papierosy.

— Zapali pani?

— Nie, dziękuję.

— Więc pani przypuszcza, że postanowiłem panią zaaresztować?

— To zrozumiałe. Przecież przyznałam się do popełnienia tej zbrodni.

— Mąż pani także się przyznał.

— Zrobił to po to, żeby mnie ratować.

— A pani chciała ratować jego.

— Nie wierzy pan, że ja zabiłam?

- Nie wierzę.
- Uważa pan, że mój mąż?
- W każdym razie o wiele bardziej podejrzewam pani męża niż panią. Po przeprowadzeniu wstępnego dochodzenia mam powody, aby przypuszczać, że...
- Chce go pan aresztować?
- Jeżeli mam być szczery, to noszę się z tym zamiarem.
- Błagam, niech pan tego nie robi! On jest niewinny! Niech go pan nie aresztuje.
- W dużym stopniu zależy to od pani.
- Ode mnie?

W tej chwili zapukano do drzwi. Weszła młoda, przystojna dziewczyna niosąc na tacy filiżanki z kawą i cukier.

Downar zaczekał, aż znowu zostali sami i wrócił do przerwane go tematu.

– Tak. Los pani męża w dużej mierze zależy od pani.

Spojrzała na niego pytająco.

– Nie rozumiem.

– To proste. Mnie przecież chodzi o to, żeby zdemaskować prawdziwego mordercę. Jeżeli więc pani dopomoże mi w tym zadaniu..

– W jaki sposób mogłabym panu pomóc?

– Przez powiedzenie mi całkowitej prawdy i tylko prawdy. Wszelkie próby zmieniania faktów mogą się obrócić przeciwko pani mężowi. Ja oczywiście absolutnie do niczego pani nie zmuszam i ma pani prawo odmówienia odpowiedzi na moje pytania.

– Czy pan rzeczywiście uważa, że jeżeli powiem wszystko, może to pomóc memu mężowi?

– Pod warunkiem, że mąż, pani jest niewinny.

Poprawiła się w fotelu i sięgnęła po papierosa.

– Dobrze. Niech pan pyta.

– Podkreślam raz jeszcze, że jeżeli ma pani zamiar kłamać, to lepiej od razu zrezygnujemy z tej rozmowy – powiedział zdecydowanie Downar. – Pani kłamstwa utrudnią moją pracę i pogorszą sytuację pani męża.

– Nie będę kłamała.

– Cieszy mnie pani decyzja. Wróćmy więc do feralnego piątku, czwartego września, kiedy został zamordowany pan Reiting. Czy pani tego dnia była u niego?

– I tak... i nie... to znaczy... szłam do niego, ale na schodach spotkałam mego męża.

– Wychodził od Reitinga?

– Tak. Schodził na dół.

– I co?

– Nie pozwolił mi iść dalej.

– Co powiedział?

– Powiedział: „Nie masz tam po co iść. Reiting nie żyje”.

– A co pani wtedy zrobiła?

– Byłam wstrząśnięta. Chciałam biec, ratować go... Chciałam wezwać pogotowie. Nie przypuszczałam przecież, że...

– Mąż pani nie pozwolił na to wszystko.

– Nie pozwolił. Siłą wepchnął mnie do taksówki i zawiózł do domu. Próbowałam protestować, ale to się na nic nie zdało.

– Co mówił pani mąż?

– Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że powiedział, żebym nie była idiotką, że nic już pomóc nie można...

– Czy potem wyjaśnił pani swoje dziwne zachowanie?

– Tak. Powiedział, że pan Reiting został zamordowany.

– A pani co na to?

– Byłam przerażona...

– Bo myślała pani, że to pani mąż jest mordercą.

Spuściła oczy. Przez chwilę mieszała łyżeczką kawę.

– Tak – powiedziała bardzo cicho. – W pierwszym momencie myślałam, że to on. Ale to nieprawda. Pan przecież mi wierzy... Zresztą ja się przyznałam. Powiedziałam, że to ja zabiłam. Pan go nie zaaresztuje. Niech pan powie, że go pan nie zaaresztuje. Nie wyobraża pan sobie, jak my oboje strasznie się teraz męczymy. Nie śpimy po nocach. Nie wiemy, jak to się wszystko skończy. Ja już tak dłużej nie mogę... nie mogę...

– Na razie nie mam zamiaru aresztować pani męża – powiedział uspokajająco Downar. – I mam nadzieję, że ta smutna sprawa pomyślnie się dla państwa zakończy. Jeżeli pani czuje się na siłach, chciałbym jeszcze z panią chwilę

porozmawiać, jeśli jednak jest pani zmęczona, odłożymy to na kiedy indziej.

– Wolę teraz zakończyć naszą rozmowę.

– Doskonale. Wobec tego proszę sobie przypomnieć, czy mąż pani powiedział od razu, w jaki sposób został zamordowany Błażej Reiting.

– Tak. Powiedział, że przebito go nożem czy sztyletem...

– To był sztylet o wąskim ostrzu. Pani, zdaje się, widywała taki sztylet u Reitinga?

– Tak. Leżał zawsze u niego na biurku.

– Z tego wynika, że morderca mógł użyć tej broni zupełnie przypadkowo.

– Myślę, że tak.

– Być może, że morderca skorzystał z okazji – powiedział zamyśloni Downar. – Drzwi były otwarte, wszedł, zobaczył, że Reiting śpi, chwycił sztylet...

– Co pan ma na myśli?

Downar uśmiechnął się.

– Nic, nic. Tak po prostu próbuję odtworzyć sytuację, w jakiej została popełniona zbrodnia.

– Podejrzewa pan ciągle mojego męża?

Potrząsnął głową.

– Nie. Proszę sobie wyobrazić, że coraz mniej podejrzewam pani męża.

– Nie rozumiem, co na to wpłynęło...

– Chyba próba logicznego rozumowania. Mąż pani miał zdaje się konkretne czy też wymaginowane powody do zazdrości.

– To nie miało sensu, ale był zazdrosny.

– No więc wyobraźmy sobie, że poszedł do Reitinga, aby się z nim po męsku rozmówić. Był podniecony i istnieje duże prawdopodobieństwo, że w toku rozmowy, podczas ostrej wymiany zdań mógł chwycić leżący na biurku sztylet i zadać nim cios...

– On tego nie zrobił!...

– Chwileczkę. Proszę mi nie przerywać. Właśnie pragnę przekonać siebie i panią, że mąż pani tego nie zrobił. Po prostu

dlatego, że nie było żadnej sprzeczki. Reiting spał, a zamordowanie nożem człowieka śpiącego to czyn z tej kategorii, która jakoś mi nie pasuje do pani męża.

– Henryk nigdy by czegoś podobnego nie zrobił! – wykrzyknęła z głębokim przekonaniem Paśławska. W głosie jej można było wyczuć wyraźną ulgę. – Nie pomyślałam o tym. On by przecież nie zrobił takiej rzeczy.

– Właśnie – przytaknął Downar. – Tak i mnie się wydaje. Morderca Błażeja Reitinga musiał się od dawna nosić z zamiarem popełnienia tej zbrodni. Wtedy po prostu skorzystał z nadarzającej się okazji.

– Nie ma pan pojęcia, jak strasznie się cieszę, że pan tak myśli. No, przecież to jest zupełnie jasne, że Henryk tego nie zrobił!

– Chciałbym zadać pani pewne, trochę drażliwe pytanie.

– Proszę, niech pan pyta.

– Czy w ostatnich czasach mąż pani miał jakieś flirty?

Spojrzała zdumiona.

– Flirty? Mój mąż? Ależ proszę pana... my się bardzo kochamy.

– Tak, wiem, oczywiście – pośpiesznie zapewnił Downar. – Chciałem po prostu się upewnić, czy mąż pani nie spotykał się z jakimiś kobietami? Czy życzliwe przyjaciółki nie opowiadały pani o czymś takim...?

Paśławska zmarszczyła brwi, jakby coś sobie usiłowała przypomnieć.

– Zaraz... zaraz... Tak. Ma pan rację. Zula Kubicka mówiła mi kiedyś, że spotkała parę razy Henryka z jakąś bardzo przystojną blondynką. Ale to było już dosyć dawno.

– I nie zainteresowała się pani tą sprawą?

– Nie. Nie miałam czasu.

Downar pomyślał, że pani Paśławska rzeczywiście musiała być bardzo przejęta spotkaniami z Błażejem Reitingiem, jeśli nic jej nie obchodziły flirty męża. Powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek aluzji na ten temat.

– Porozmawiajmy teraz o panu Reitingu – powiedział.

– Czy to konieczne?

– Raczej tak. Dokładna znajomość ofiary może pomóc w odnalezieniu mordercy.

– Nie wiem, czy moje wiadomości dotyczące pana Reitinga mogą się panu na coś przydać – powiedziała cicho. – Właściwie... ja niewiele wiem.

– Czy może mi pani powiedzieć coś o otoczeniu Reitinga?

– Nic nie wiem o jego otoczeniu. Udzielał lekcji języków obcych, miał uczniów, uczennice, aleja ich nie spotykałam.

– Nigdy pani nie zastała u pana Reitinga nikogo?

– Nigdy. Zawsze był sam, kiedy ja przychodziłam.

– Przychodziła pani punktualnie na lekcje?

– Tak. Staralam się być punktualna.

– Pan Reiting znał język włoski?

– Tak. Bardzo dobrze.

– Nie zauważyła pani, może otrzymywał listy z Włoch?

– Nic takiego nie widziałam.

– I nigdy nie słyszała pani nazwiska Albertycka?

– Nie. Zdaje się, że mnie pan już o to pytał.

– Możliwe. Czy pan Reiting był filatelistą?

– Chyba nie. Nic mi o tym nie wiadomo.

– A może któryś z jego uczniów był filatelistą?

Zawahała się.

– Zaraz... chwileczkę... Tak. Przypominam sobie, że pan Reiting kiedyś mnie prosił, żebym przyniosła znaczki zagraniczne, jeżeli jakieś mam, bo jedna z jego uczennic jest zamiłowaną filatelistką.

– Czy widziała pani u pana Reitinga mahoniową szkatułkę, inkrustowaną masą perłową lub też kością słoniową?

– Nie. Takiej szkatułki nigdy nie widziałam.

– Mogłaby mi pani opowiedzieć coś o osobowości Błażeja Reitinga?

– Nie wiem, co mam panu opowiedzieć – szepnęła tak cicho, że raczej się domyślił tych słów, niż je usłyszał.

– Chciałbym, żeby pani postarała się scharakteryzować psychikę Błażeja Reitinga. Właściwie wiem o nim bardzo mało, a w takich wypadkach dokładniejsza znajomość ofiary zbrodni może się przyczynić do szybszego zdemaskowania mordercy.

Odwróciła głowę.

— To był niezwykle człowiek, dobry, rozumny, wielkoduszny. Posiadał ogromną wiedzę. Mógł mówić na każdy temat, a tego, co mówił, słuchało się jak najciekawszej powieści. Zapominało się o jego brzydocie, o jego kalectwie... Takiego człowieka już nigdy nie spotkam. Takiego człowieka można pokochać...

Downar początkowo chciał zapytać, czy pani Paśławska była zakochana w Błażeju Reitingu, ale teraz zrezygnował z tego. Jakiś czas milczeli.

Po chwili Paśławska zaczęła mówić dalej, ożywiając się coraz bardziej, wracając myślą do niedawnej przeszłości, która była tak istotną częścią jej życia, a którą śmierć przekreśliła nieodwołalnie.

— To był niezwykle, wspaniały człowiek! Miał nadzwyczajny dar mówienia jasno i zrozumiale o rzeczach najbardziej skomplikowanych. Kiedy się go słuchało, wszystko stawało się proste, łatwe, oczywiste. Umiał tak logicznie argumentować, że nie sposób było nie uznać jego racji. Trzeźwy, ścisły umysł. A jednocześnie ileż było w nim fantazji, ile poezji... Kochał piękno i patrzył na świat oczami uduchowionego estety. To przeogromne umiłowanie wszystkiego, co piękne, było chyba dominującą cechą tego niezwykle, wspaniałego człowieka... Nigdy nie mówił o swojej brzydocie. Zapewne nie chciał myśleć o tym, jak wygląda. W jego mieszkaniu nie było ani jednego lustra... Gdy opowiadał o mitologicznych bohaterach, to zdawało się, że staje się jednym z nich, że czuje się Tezeuszem, Odysem czy Heraklesem.

Długo jeszcze mówiła o Błażeju Reitingu. Downar nie przerywał. Słuchał. Nie przypuszczał, że ta kobieta była aż tak bardzo zaangażowana.

Kiedy umilkła, czekał cierpliwie, bojąc się jakimś niepotrzebnym słowem zburzyć nastrój, stworzony wspomnieniami o tamtym dziwnym człowieku. To, co posłyszał, dało mu dużo do myślenia. Zrozumiał też tajemnicę taśm magnetofonowych, przechowywanych w piwnicy przez Reitinga. Błażej Reiting był zbyt mądrym człowiekiem, by nie zdawać sobie sprawy, że urok tych niezwykle spotkań kiedyś

musi przygasnąć. A wówczas głosy płynące wciąż na nowo wskrzeszałyby przeszłość.

Zwróciła ku niemu zgaszoną, bardzo smutną twarz.

– Czy mogą teraz odejść? – spytała.

Odprowadził ją do drzwi. Potem usiadł i skończył pić kawę, która już zupełnie wystygła. Czuł się jak gdyby trochę zażenowany.

Wszedł Walczak. Był uśmiechnięty, w pogodnym, beztroskim nastroju.

– No cóż, Stefanku? Kawka, piękne kobiety. Dobrze ci się powodzi. A mordercy jak nie było, tak nie ma.

– Może masz ochotę przejąć ode mnie to śledztwo? – spytał cierpko Downar, którego drażnił dobry humor przyjaciela.

– Nic z tego – powiedział wesoło Walczak. – Męcz się sam. Ja mogę najwyżej służyć ci światłą radą.

– Obejdzie się.

– Powiedz, kogo wreszcie wytypowałeś na mordercę?

– Najbardziej pasuje mi Boner. Chociaż nawet i ta Kozłowska nie jest zbyt wyraźna... Zmęczony się czuję. Potrzeba mi jakiejś rozrywki. Nie poszedłbyś ze mną do kina?

– A wiesz, że bym poszedł. To dobra myśl. Dawaj gazetę. Zobaczymy, co grają.

Zadzwoił telefon. Downar podniósł słuchawkę. Nagle twarz mu się zmieniła gwałtownie.

– Co się stało? – spytał Walczak.

– Zdaje się, że do kina nie pójdziemy. Boner nie żyje.

Rozdział 13

Urzędniczka w pogotowiu zeznała, że w późnych godzinach popołudniowych zadzwonił telefon i posłyszała zachrypnięty męski głos: „Umieram. Ratujcie mnie”. Potem stuk upadającej słuchawki i cisza. Natychmiast, zawiadomiła lekarza dyżurnego, a ten zaalarmował milicję. Ustalono, z jakiego numeru telefonowano.

W mieszkaniu na Hożej panowała zupełna cisza. Nikt nie reagował na dzwonienie i stukanie. Trzeba było wyważyć drzwi.

Boner leżał na podłodze koło słuchawki telefonicznej. Aparat stał na niskim stoliku.

– Nie żyje – powiedział lekarz pogotowia i spojrzał na milicjanta.

Kiedy przyjechał Downar, wypadki potoczyły się według ustalonego trybu. Dokładne badanie zwłok, zdejmowanie odcisków palców, rewizja w całym mieszkaniu.

– Otrucie – stwierdził doktor Ziemba. – Według wszelkiego prawdopodobieństwa solidna dawka arszeniku. To poszło bardzo prędko.

– Jakie jest pańskie zdanie, doktorze, morderstwo czy samobójstwo?

– Wygląda to na zatrucie o charakterze zbrodniczym. Fakt, że denat wzywał pomocy, nie przemawia wprawdzie przeciwko samobójstwu, ponieważ dość często człowiek pragnący pozbać się życia w ostatniej chwili chce się ratować, jednak w danym wypadku odnoszę wrażenie, że denat został zaskoczony działaniem trucizny.

Downar pokiwał głową.

– Tak. Ja także odnoszę to wrażenie.

– Poza tym – ciągnął dalej doktor Ziemba – nigdzie tu nie widzę naczyń po truciznie, a na ogół nie zdarza się, żeby samobójca troszczył się o zatarcie śladów.

– Czy pan jest pewien, doktorze, że to arszenik?

– Nie. To tylko przypuszczenie. Pewność będziemy mieli po sekcji.

Następnej rozmowę Downar przeprowadził z dozorcą.

– Pan Boner? Porządny był człowiek, solidny, grzeczny. Nic złego nie można o nim powiedzieć.

– Bywały u niego jakieś kobiety?

– Ano, jak to u kawalera. Czasem sobie kogoś zaprosił, ale spokojny był, żadnych awantur ani pijatyk nie urządzał. To znaczy... awantury ostatnio trochę były.

– Jakie awantury? – zainteresował się Downar.

– No, bo ta jego narzeczona to nerwowa babka.

– To pan Boner miał narzeczoną?

– A miał, miał, ale potem to mu się odmieniło. Znalazł sobie

inną. Trzeba powiedzieć, że ładniejszą. Co prawda, to prawda.

— A ta pierwsza była zazdrosna.

— O, właśnie. Nie chciała w żaden sposób zrezygnować i pan Boner miał kłopot.

— Urządzała mu sceny? Awanturowała się?

— I to jeszcze jak! Darła się na cały dom, że siebie zabije, że jego zabije... Raz nawet sąsiedzi chcieli milicję wzywać. Bardzo nerwowa kobieta. Nie daj Boże z taką się wdać. Biedny pan Boner. Odgrażała się, odgrażała i wreszcie go wykończyła.

— Myślicie, że to ona?

— No, a któż by inny?

— Znacie jej nazwisko?

— Znam. Teresa Mikulska.

— I Boner obiecywał jej małżeństwo?

— Początkowo może i obiecywał. Mówiła, że się miał z nią zenić. Potem widocznie ode chciało mu się. Bywa i tak

— A te nową pan zna?

Dozorca wzruszył ramionami.

— Znać jej, nie znam. Widziałem ją kiedyś.

— Jak wygląda?

— Postawna blondyna. Chociaż i ta Teresa niczego sobie.

— A Teresa to brunetka czy blondynka?

— Także blondyna. Pan Boner tylko blondynki lubił. Już taki miał gust.

— A inne kobiety do niego tu przychodziły?

— Od czasu do czasu, ale to dawniej. Ostatnio trzymał się Teresy, a raczej ona jego się trzymała, dopóki nie nastąpiła ta nowa.

— Zna pan nazwisko tej nowej?

— Nie znam. Nie obchodziło mnie to. Nie lubię się wtrącać.

Downar zrezygnował z dalszej rozmowy z dozorcą. Odwiedził najbliższych sąsiadów Bonera, ale od nich nie dowiedział się niczego ciekawego. Późnym wieczorem, bo około jedenastej, pojechał na Wiktorską do Teresy Mikulskiej.

Przyjęła go w szlafroku. Była zaskoczona odwiedzinami.

— Pan w jakiej sprawie? Już późno. Jestem nieubrana.

— To nic nie szkodzi – powiedział Downar. – Proszę się nie

krępować i proszę wybaczyć mi to najście, ale mam bardzo pilną sprawę.

Śliczna dziewczyna – pomyślał, przyglądając się uważnie Teresie.

– Czy pan przyniósł coś do przepisania na maszynie? – spytała, wprowadzając go do pokoju. Tapczan był przygotowany do spania. Odrzucona na bok kołdra dotykała podłogi.

– Nie, nie chodzi o przepisywanie na maszynie – powiedział Downar, zły na siebie, że musiał tu przyjechać. – Jestem z milicji. Oto moja legitymacja.

– Z milicji? Dlaczego?

– Czy zna pani Ryszarda Bonera?

– Tak... Oczywiście... Ale...

– Ryszard Boner nie żyje.

Zbladła.

– Nie żyje? Ryszard? Ależ, proszę pana, ja... jeszcze wczoraj go widziałam. Co się stało?

– A dzisiaj go pani widziała?

– Nie, dzisiaj nie. Cały dzień leżałam. Źle się czuję.

– Czy pani tu mieszka?

– Tak.

– I dzisiaj nie wychodziła pani z domu?

– Nie, nie wychodziłam. Jestem chora.

– Czy pani pozwoli, że usiądę?

Nie zwróciła uwagi na jego pytanie.

– To chyba niemożliwe... To nieprawda, żeby Ryszard...

– Niestety, proszę pani, dzisiaj pan Boner zmarł. Przykro mi, że musiałem pani przynieść tę smutną wiadomość, ale zazwyczaj mam do czynienia ze smutnymi sprawami.

– Ale co się stało? Atak serca? Przecież Ryszard był zupełnie zdrow.

Downar uważnie obserwował twarz młodej dziewczyny. Dotychczas nie zauważył w tej twarzy śladów gry, chociaż wydało mu się, że wiadomość o nagłej śmierci ukochanego mężczyzny powinna była zrobić na niej większe wrażenie. Słowa, które wypowiadała Teresa, miały w sobie coś z

konwencjonalnej poprawności.

— Pan Boner nie umarł na serce. Umarł na skutek działania mocnej trucizny.

— Otruł go ktoś?

— Tego nie wiemy. Albo popełnił samobójstwo, albo został otruty.

— Nonsens! Ryszard nie popełniłby samobójstwa.

— Dlaczego pani tak sądzi?

— Bo to nie był typ człowieka, który byłby zdolny do odebrania sobie życia. To był zimny drań. Zresztą nie miał powodu...

— Nie jest pani najlepszego mniemania o nieboszczyku — zauważył rzeczowo Downar.

Gniewnie potrząsnęła głową.

— Ciekawam, jakiego pan byłby o nim mniemania? Dziwkarz, wstrętny, ordynarny dziwkarz. Cztery lata ze mną żył. A teraz, kiedy mieliśmy się pobrać, znalazł sobie inną. Znudziłam mu się. A wie pan, dlaczego mu się znudziłam? Bo jestem w ciąży. Tak, jestem w siódmym miesiącu ciąży. Ale nic go to nie obchodziło. Jemu tylko tamta żdzira była w głowie. Powiedział, że nie chce dziecka i żebym mu się nie narzucała. A ja będę miała dziecko i wychowam je. Chcę mieć dziecko. To moje prawo!

— Jeżeli pani twierdzi, że samobójstwo nie wchodzi w grę, to znaczy, że Boner został zamordowany.

— I pan zapewne przypuszcza, że to ja go otrulałam. — Zaśmiała się niewesołym śmiechem. — Nie, proszę pana, to nie ja go otrulałam, chociaż miałabym po temu powody.

— Podobno między panią a Bonerem dochodziło do ostrych scysji.

— A cóż pan sobie wyobraża? Każdy straciłby wreszcie z takim draniem cierpliwość.

— I to kobieta stanęła pomiędzy wami?

— Znalazł sobie taką żdzirę. Jak mężczyzna chce, to zawsze znajdzie.

— Jak pani myśli, kto mógł zamordować Bonera?

Wzruszyła ramionami.

— Bo ja wiem. Nie mam pojęcia.
— Może Boner miał jakiś wrogów?
— Nie wiem. Nigdy nie rozmawialiśmy na temat jego wrogów.

— Czy pani zna tę nową sympatię Bonera?
— Nie znam i nie mam najmniejszej ochoty jej poznać.

— Widziała ją pani kiedyś?
— Tak. Na ulicy. Szła z Ryśkiem.

— Jak ona wygląda?
— Ładna, wysoka blondyna.

— Pani też jest blondynką.

— To co z tego?

— Nic. Tak sobie powiedziałem. Pani może wie, jak się nazywa ta młoda osoba?

— Nie wiem.

— A słyszała pani nazwisko Julia Alberycka?

— Nie.

— Boner nigdy nie wspominał w pani obecności o Julii Alberyckiej?

— Nigdy.

Downar umilkł. Poczul ogarniające go zniechęcenie. Kłamstwa. Na każdym kroku kłamstwa. Czyż całe życie będzie się stykał z ludźmi, usiłującymi go oszukać?

— Więc pani dzisiejszy dzień spędziła w domu?

— powiedział po chwili.

— Tak. Niezbyt dobrze się czułam. Leżałam w łóżku.

— I nikt pani nie odwiedził?

— Nie.

— Była pani cały czas bez jedzenia?

— Ugotowałam sobie obiad. Miałam trochę zapasów.

— Widzę, że pani jest bardzo gospodarna. — Spojrzał na zegarek. — Już bardzo późno. Nie chciałbym pani męczyć. Może więc zakończymy naszą rozmowę.

— Jak pan uważa. — Wyglądała na zadowoloną z tej propozycji.

— Dobrze więc. Mam tylko do pani taką prośbę. Chciałbym,

żeby powiedziała mi pani prawdę.

— Przecież ja panu powiedziałam prawdę...

— Bardzo mi przykro, ale wszystko albo prawie wszystko, co pani mi powiedziała, jest kłamstwem.

— Pan mnie obraża.

Downar uśmiechnął się.

— Och, nie mam najmniejszego zamiaru obrażać pani. Stwierdzam tylko smutny fakt.

— To, co powiedziałam, to prawda.

Potrząsnął głową z zakłopotaniem.

— Niestety, bardzo niewiele jest w tym prawdy. Widzi pani, ja jestem starym fachowcem od wykrywania prawdy, a pani jest początkującą dyletantką w dziedzinie kłamstwa. Zaraz to pani spróbuję udowodnić. Otóż nieprawdą jest, iż pani cały dzień spędziła u siebie w domu. Wczoraj mieliśmy piękny, słoneczny dzień. Dzisiaj natomiast padał od rana deszcz. Płaszcz pani, wiszący w przedpokoju, jest jeszcze do tej pory wilgotny, buciki pokryte stosunkowo świeżym błotem i kapelusik także zmókł. Chyba więc wychodziła pani z domu. Poza tym zauważyłem, że wiadomość o śmierci Bonera nie zrobiła na pani miększego wrażenia...

— Jak to?

— Właśnie tak. Kiedy tutaj przyszedłem, pani doskonale wiedziała o tym, że Boner nie żyje.

— Podejrzewa mnie pan o tę zbrodnię?

— Jeszcze nie mam w tej sprawie wyrobionego zdania. W każdym razie trochę za dużo kłamstw w jednej rozmowie. Czy nie sądzi pani?

— Czego pan chce ode mnie?

— Chcę tylko prawdy. Proszę mi powiedzieć, jak się pani dowiedziała o śmierci Bonera?

— Byłam tam.

— Była pani u niego w mieszkaniu?

— Nie. Byłam w tym domu, ale na górę nie poszłam.

— A po co pani tam chodziła?

— Żeby wyjąć listy ze skrzynki.

— To pani ma kluczyk od tej skrzynki?

— Tak. Kiedy wyjeżdżał do Rzymu, zostawił mi kluczyk od skrzynki, żebym wyjmowała pocztę i żebym go zawiadomiła, gdyby przyszło coś ważnego. Potem, jak się między nami popsuło...

— Pani nie oddała mu tego kluczyka — dokończył Downar. — Powiedziała pani, że go zgubiła.

— Tak.

— Chciała pani kontrolować jego pocztę. Rozumiem. A o której pani była na Hożej?

— Tuż przed przyjazdem pogotowia i milicji.

— I znalazła pani w skrzynce jakąś pocztę?

— Właściwie nic ważnego. Jakieś druki... — w głosie jej brzmiało wahanie.

Downar spojrział surowo na młodą kobietę.

— Powinna pani zdać sobie sprawę z tego, że sytuacja pani nie jest zbyt wesoła. Chciałbym, żeby pani to zrozumiała. Naopowiadała mi tu pani szereg najrozmaitszych kłamstw, usiłując celowo wprowadzić mnie w błąd. Chodzi o zamordowanie człowieka. To jest poważna sprawa i nie radzę teraz próbować jakichś wykrętów. Mogłoby to panią bardzo drogo kosztować. I tak już jest pani wystarczająco podejrzana o tę zbrodnię. Proszę mi pokazać listy, które dziś pani wyjęła ze skrzynki Bonera. Czy całą pocztę pani zabrała?

— Nie. Właśnie te jakieś druki zostawiłam. — Wyjęła z torebki list. — Proszę.

Koperta lotnicza, znaczek włoski, stempel: Roma. Downar wyjął z koperty list i fotografię pięknej blondynki. List był napisany po włosku. Na fotografii kilka włoskich słów.

— Czy widziała pani kiedy tę twarz?

— To ta babka Ryszarda. Nie rozumiem, jak to się stało, że ktoś z Rzymu przysłał jej zdjęcie.

— Zna pani włoski?

— Nie.

I nie wie pani, co zawiera ten list?

— Nie. Chciałam pojechać na Bielany do mojej przyjaciółki, która dobrze zna włoski, ale bałam się.

— Spodziewała się pani wizyty milicji.

– Tak. Dozorca Ryszarda dobrze mnie znał i dlatego...

– Rozumowała pani zupełnie logicznie. Rozmawiałem z dozorczą. Więc pani twierdzi, że to jest zdjęcie tej przyjaciółki Bonera?

– Oczywiście.

– I nie ma pani co do tego żadnych wątpliwości?

– Absolutnie żadnych.

– Ale nie zna pani jej nazwiska?

– Nie, nie znam.

Downar doszedł do wniosku, że dalsza rozmowa nic mu już nie da. Pożegnał się.

Dochodziła pierwsza, kiedy zadzwonił do mieszkania na Muranowie.

Zaspany Walczak z wyrzutem spojrzął na przyjaciela.

– Zwariowałaś? Dlaczego nas budzisz po nocy?

– Musisz mi natychmiast przetłumaczyć włoski tekst.

– Chyba jesteś pijany. Idź spać.

– Nie wygłupiaj się, Karol. Przecież gdyby to nie było ważne, nie przyjeżdżałbym o tej porze.

Walczak, już trochę rozbudzony, podrapał się w głowę.

– No to chodź. Tylko nie hałasuj, bo Helenka śpi.

– Właśnie, że nie śpię – odezwał się kobiecy głos. – Co się stało?

– Nic, nic. Przyszedł Stefan. Chce się uczyć włoskiego.

– Zaczekajcie, zaraz wam zaparzę herbaty.

Downar zaczął przeproszać za nocne najście i błagał, żeby nie robiła sobie żadnego kłopotu, ale Helena nie dała za wygraną.

– Mocna herbata pomoże wam w nauce włoskiego – zażartowała i poszła do kuchni.

Walczak popatrzył za nią z rozrzewnieniem.

– Taka żona to prawdziwy skarb. No, mów, Stefan, o co to chodzi.

Downar opowiedział o wizycie u Teresy Mikulskiej, wyjął z kieszeni list i podał go przyjacielowi.

– Czytaj. I tłumacz od razu.

– Drogie panie Ryszardzie. Bardzo mnie niepokoi pańskie długotrwałe milczenie. Czyżby pan do tej pory nie zdołał

odnaleźć Julii Alberyckiej? A może zgubił pan jej fotografię? Na wszelki wypadek posyłam panu drugą odbitkę. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo się niecierpliwie. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy wreszcie zobaczę tę wspaniałą dziewczynę. Błagam pana, niech pan przyspieszy poszukiwania, bo spali mnie tęsknota i wiatr rozwieje moje popioły nad brzegami Tybru. O naszej umowie pamiętam. Rozmawiałem już o panu z paroma znanymi reżyserami, którzy obiecali się zainteresować pańską twórczością literacką. Nie wątpię, że wspólnie napiszemy scenariusz, który będzie początkiem nowej ery filmowej. Mam szereg, jak mi się zdaje, znakomitych pomysłów, które chciałbym z panem przedyskutować. Piszę do pana po włosku, ponieważ pańska siostra poinformowała mnie, że pan już zupełnie nieźle opanował nasz język. Cieszy mnie to niewymownie, bo znajomość włoskiego ogromnie ułatwi naszą współpracę. Wyrażam nadzieję, że w najbliższym czasie przywiezie mi pan do Rzymu mą ukochaną Julię, bez której już nie wyobrażam sobie życia. Czekam z niecierpliwością na wiadomość. Szczerze oddany przyjaciel Roberto Ganzetti. P.S. Wszystkie koszty oczywiście pokrywam.

Walczak skończył czytać i położył list na stole.

— No i co ty na to?

— Romantyczna historia – powiedział Downar.

— Można z tego wnioskować, że facet zakochał się, nigdy nie widząc dziewczyny. Miłość korespondencyjna. Myślę, że ta fotografia bardzo nam pomoże w robocie. -Ładna babka, bardzo ładna.

— No, no, uważaj, Stefanku, żebyś ty się nie zakochał metodą fotograficzną. Będą nowe komplikacje.

— Gdzie jej szukać? – mruknął zamyślony Downar.

Walczak parę razy przecesał palcami zmierzwioną czuprynę.

— Zastanówmy się. Gdzie można znaleźć ładną, szykowną dziewczynę. Teatr, film, telewizja, salony mód...

— Balet, obsługa gości zagranicznych, „Lot” – uzupełnił Downar. – Sporo jest miejsc, gdzie pracują ładne dziewczyny.

— Ładne dziewczęta nie zawsze pracują na posadach – zauważył Walczak.

– To też prawda. Tak czy inaczej znajdzie ją.

Walczak wziął do ręki fotografię.

– Radzę ci zainteresować się także tą dedykacją napisaną ręką pięknej Julii. „Najdroższemu Robertowi w dowód miłości i przyjaźni Julia Alberycka”.

– W takich wypadkach zazwyczaj nie operuje się nazwiskiem – zauważył Downar.

– Tak. Mnie to też trochę dziwi. Słuchaj no, Stefan, a co ty myślisz o tym Bonerze? – Łączysz to morderstwo ze sprawą Reitinga?

Downar wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem... Nie chcę się sugerować, ale na to wygląda, że obie te zbrodnie mają ze sobą związek. Za dużo wspólnych elementów. Skłonny jestem przypuszczać, że Reiting przeszkadzał w jakiś sposób Bonerowi.

– Chyba masz rację – przytaknął Walczak. – Jeżeli jednak założymy, że Boner zamordował Reitinga, to kto wykończył Bonera i dlaczego?

– Nie – pokręcił głową Downar. – Nie wydaje mi się, żeby Boner zamordował Reitinga. W tej sprawie zmienilem zdanie.

– Masz jakąś koncepcję?

– Coś mi tam świta. Zobaczymy, co się z tego wykluje. A ty co o tym wszystkim myślisz?

Walczak uśmiechnął się chytrze.

– Ja myślę, że rozwiązanie tej zagadki znajdziemy w muzyce Wagnerowskiej.

– W muzyce Wagnerowskiej? – zdumiał się Downar.

– Tak. Czy słyszałeś kiedyś o Alberyku?

Rozdział 14

Fotografia pięknej blondynki została powielona i odbitki rozesłano do wszystkich komend wojewódzkich. Milicja na terenie całego kraju szukała Julii Alberyckiej.

Downar czując bliskie zakończenie sprawy, pracował bez wytchnienia. Bał się jakiejś niespodzianki na finiszu.

Zawodowa intuicja mówiła mu, że należy się spieszyć. Raz jeszcze przesłuchał Romana Rokickiego.

– Znacie tę kobietę? – spytał pokazując fotografię.

– Pewnie, że znam. To Aniela.

– Czy to ta, z którą chodziliście?

– Oczywiście.

– Powiedzcie mi, ale tak zupełnie szczerze, czego ona od was chciała?

– A czego mogła chcieć? Spodobałem jej się.

Downar poczęstował chłopaka papierosem. Po chwili znowu spytał:

– Rozmawiała z wami o waszym wuju?

– Rozmawiała. A bo co?

– Może mówiła, że to kawał drania z tego waszego wujaszka, bo nie chce dać wam forsy?

Rokicki bardzo się zdziwił.

– Skąd pan wie?

– No bo rozmawiałem z tą waszą Anielą – skłamał Downar.

– Wszystko mi dokładnie opowiedziała. Teraz tylko chodzi o to, żeby to się zgadzało z tym, co wy mówicie.

– Ja mówię prawdę.

– Bardzo się cieszę. To poprawi waszą sytuację. Powiedzcie mi wobec tego jeszcze, czy Aniela wiedziała, że wybieracie się do wujaszka na robotę?

– Wiedziała.

– Rozmawialiście z nią na ten temat?

Roman zrobił niepewną minę.

– No tak... Ma się rozumieć...

– Namawiała was może do tego?

– Trochę może namawiała. Nie pamiętam już dobrze.

– I wiedziała, kiedy się z kumplami wybieracie do wuja?

– Właściwie to wiedziała.

– Bo powiedzieliście jej, że wyjeżdżacie z Warszawy i że nie będziecie się z nią widywać przez jakiś czas.

– Faktycznie tak powiedziałem.

Rozmowa ze Stanisławem Sternackim również potwierdziła podejrzenia Downara. Stary bibliofil bez trudu poznał swą

domniemaną kuzynkę.

– Tak, oczywiście, to ona! – wykrzyknął zdziwiony. – Ale czy może mi pan wyjaśnić, panie majorze, co to wszystko znaczy?

– To znaczy, że padł pan ofiarą oszustwa. Ta pani, która podała się za pańską kuzynkę, nie ma nic wspólnego z panem ani z pańską rodziną. To zwykła aferzystka.

– Ale w jakim celu...? Nic z tego nie rozumiem.

– W tej chwili nie mogę panu tego szerzej wyjaśnić. Proszę mi powiedzieć, czy osoba ta wiedziała, że pan wybiera się do Reitinga w ów feralny piątek, kiedy to Reiting został zamordowany?

– Dokładnie sobie nie przypominam, ale wydaje mi się, że rozmawiałem z nią o tym na dzień czy też na dwa dni przed pójściem do Reitinga.

– A przedtem często rozmawiała z panem na temat tej pamiątki rodzinnej?

– Tak. Kilkakrotnie wracała do tego tematu.

– I namawiała pana, żeby pan za wszelką cenę odebrał od Reitinga tę starą książkę?

– Tak. Bardzo usilnie mnie namawiała.

I w końcu w komendzie pojawił się Paślawski. Downar przyjął go niezwykle uprzejmie, nieomal serdecznie.

– Proszę, panie inżynierze, proszę. Pan będzie łaskaw siadać. Może papieroska? Miło mi zakomunikować panu, że obecnie już ani pana, ani pańskiej żony o nic nie podejrzewam.

Paślawski rozpromienił się.

– Co za ulga! Ogromnie się cieszę! Dziękuję panu.

– Sam pan musi jednak przyznać – mówił dalej Downar – że początkowo sytuacja wyglądała dosyć dwuznacznie.

– Tak. Niewątpliwie. Były okoliczności, które...

– Mam do pana pewną prośbę, panie inżynierze.

– Słucham.

Downar wyjął z biurka fotografię.

– Proszę mi powiedzieć, czy pan zna tę panią?

– Znam – odparł niechętnie Paślawski.

– Wiem, że wkraczam w nieco prywatne sprawy –

uśmiechnął się z zakłopotaniem Downar – ale niestety dobro śledztwa, które prowadzę, tego wymaga. Chciałbym z panem pomówić na temat tej pani.

– Czy to konieczne?

– Absolutnie konieczne.

– Co pan chce wiedzieć?

– Jak pan poznał tę panią?

– Już nie pamiętam. Zdaje się, że w kawiarni, w jakimś towarzystwie. Raczej przypadkowo.

– I potem spotykał się pan z nią?

– Tak. Widywaliśmy się.

– Czy to był rodzaj flirtu?

– Wydaje mi się, że pan trochę za daleko posuwa swoją ciekawość, panie majorze.

– Wobec tego zadam panu inne pytanie. Czy ta pani rozmawiała z panem na temat Błażeja Reitinga?

– Tak. Rozmawialiśmy o nim.

– To znaczy, że go znała?

– Oczywiście.

– I co mówiła na jego temat?

– Nie była o nim najlepszego mniemania.

– To znaczy?

– Uważała, że to był człowiek zły, bezwzględny, nie liczący się z niczym ani z nikim, że mimo swej odrażającej aparycji wywierał niezwykle wpływ na kobiety. Nazwała go nawet kiedyś „garbatym Rasputinem”.

– I pan wierzył w to wszystko?

– Częściowo tak... Pod jego, niezrozumiałym dla mnie, wpływem pozostawała moja żona... Mimo częstych scysji między nami na ten temat, nie mogła się oprzeć pragnieniu zobaczenia go...

– Jak się nazywa ta pańska znajoma?

– Borkowska.

– I cóż jeszcze mówiła o Błażeju Reitingu?

– Takie tam głupstwa... że taki potwór nie powinien chodzić po ziemi i że gdyby ktoś go zgładził...

– To zrobiliby dobry uczynek – dokończył Downar.

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Niech mi pan powie tak zupełnie szczerze, czy pan czasem myślał o zamordowaniu Błażeja Reitinga?

Pasławski spojrzał niepewnie na Downara.

– Na początku naszej rozmowy oświadczył mi pan, że już pan nie podejrzewa ani mnie, ani mojej żony.

– Bo rzeczywiście nie podejrzewam. Pytanie to miało zupełnie co innego na celu. Chciałbym po prostu wiedzieć, czy nawiedzały pana czasem tego rodzaju myśli?

– No, cóż... Jeżeli mam być zupełnie szczerzy, to te wizyty mojej żony u Reitinga doprowadzały mnie chwilami do takiego rozstroju nerwowego, że...

– Że gotów był pan pójść do niego i uderzyć go czymś ciężkim..

– Być może, że doznawałem czasem takiego uczucia.

– Czy sądzi pan, że pani Borkowska zdawała sobie sprawę z tych pańskich nastrojów?

– Chyba tak. Zdarzyło mi się kiedyś rozmawiać z nią szczerze.

– Po przyjacielsku?

– Tak. Bywają momenty w życiu człowieka, kiedy odczuwa się konieczność zwierzenia się komuś.

Downar ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Tak, tak, oczywiście. To znaczy, że pan jednak jest zaprzyjaźniony z tą kobietą.

Pasławski zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką.

– No, tak... Wtedy chyba tak... Jakoś bardzo prędko nabrałem do niej zaufania.

– Czy teraz widuje się pan z nią?

– Nie. Od czasu śmierci Reitinga nie widziałem się z nią ani razu.

– A może zna pan jej adres?

– Nie.

– A telefon?

– Nawet nie wiem, czy ma telefon. Zawsze ona do mnie dzwoniła, przeważnie do biura.

– To dziwne – powiedział Downar. – Przyjaźni się pan z

dziewczyną i nie zna pan ani jej adresu, ani numeru telefonu?

— Tak się jakoś złożyło. Przyznam się panu, że nie zastanawiałem się nad tym.

— I nigdy pan jej nie prosił o podanie adresu?

— Owszem, prosiłem, ale jakoś do tego nie doszło, żeby mi powiedziała, gdzie mieszka. Mówiła, że często wyjeżdża i że trudno ją zastać w domu.

Downar otworzył usta, żeby jeszcze o coś zapytać, ale w tej chwili zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się zaafcerowany głos Walczaka:

— Wpadnij do mnie jak najprędzej. Mamy list z Rzymu.. .

Okazało się, że Walczak zdołał tymczasem skontaktować się z Marią Kozłowską i wydostać od niej list, który nadszedł ostatnio z Włoch na poste restante. Ganzetti posługiwał się nieco patetycznym stylem. Jego list do Julii Alberyckiej był wyznaniem miłosnym w rodzaju: *Ti amo, carissima mia... Ti uoglio tanto, tanto bene... Non posso wuere senza di te... Na zakończenie zakochany Roberto wspominał ten „historyczny” artykuł, od którego wszystko się zaczęło, i błagał, żeby najdroższa Julia przyjeżdżała natychmiast do Rzymu.*

Walczak odłożył list i spojrzał na przyjaciela.

— Musimy się porozumieć z redakcją tego czasopisma. Ciekawe, o jaki to chodzi artykuł?

— Zaraz do nich jadę – powiedział Downar.

Walczak zamyślił się.

— Od początku zdawało mi się, że rozwiązanie tej zagadki znajdziemy w „Łocie Renu”. I wiesz, co ci poradzę? Porównaj autograf Julii Alberyckiej z charakterem pisma Reitinga.

— Myślisz, że...

Wszedł Kobiela.

— Obywatelu majorze, znaleźliśmy tę blondynę. Pracuje w „Locie”. Jest stewardessą. Czy mamy ją aresztować?

— Jeszcze nie.

Rozdział 15

Pogodny, jesienny dzień. Dużo niebieskiego nieba i dużo

słońca. Nagłe podmuchy łagodnego wiatru uderzają w czerwono-białą flagę, kołyszą żdźbłami trawy, wznieczają wiry szarego kurzu na polu startowym. Kadłuby samolotów błyszczą srebrnymi pancierzami. Motory szumią nerwowym rytmem.

Ostatnie formalności. Ludzkie twarze stają się coraz bardziej obce, nieobecne. Myśli wcześniej niż samoloty odrywają się od lotniska. Tych, którzy za chwilę mają odlecieć, nie obchodzi już ani Warszawa, ani rodzina, ani przyjaciele, ani codzienne, zwykłe sprawy.

Odzywa się schrypnięty megafon:

— Pasażerowie udający się do Rzymu proszeni są do samolotu! Pasażerowie udający się do Rzymu proszeni są do samolotu!

— Panno Aniello, dlaczego pani taka zdenerwowana?

Piękna stewardessa obrzuca znajomego lotnika roztargnionym spojrzeniem.

— Zdaje się panu.

— Nic mi się nie zdaje. Przecież widzę, co się z panią dzieje. Czyżby się pani bała spotkania z papieżem?

— Nie mam czasu na żarty. Muszę się zająć pasażerami.

Dlaczego oni tak wolno włączają do tego samolotu? Rany boskie! Jak zółwie. Żeby już wreszcie ruszyć, żeby oderwać się od ziemi. Jeszcze pięciu, jeszcze trzech, jeszcze dwóch... Można zamykać. Nareszcie!

Strugi potu spływają po plecach. Oddech staje się wolniejszy, bardziej swobodny. Co za ulga, co za szalona ulga...

Motory zaczynają pracować. Śmigła tną powietrze. Samolot manewruje na pasie startowym. Jeszcze chwila i...

Nagle pilot otrzymuje rozkaz: Wstrzymać start.

Po chwili ku samolotowi idzie dwóch mężczyzn. Mają na sobie sportowe płaszcze.

Podjeżdżają schodki, otwierają się drzwi. Podchodzą do śmiertelnie bladej stewardessy.

— Czy pani nazywa się Aniela Manowska? — pada niepotrzebne, urzędowe pytanie.

Rozdział 16

– No, chodźcie prędzej, bo gęś stygnie.

– Gęś?

– Na twoją cześć Helenka upolowała gąskę w Hali Mirowskiej. Podobno tłusciutka.

– Jesteście bardzo kochani – rozczulił się Downar.

Walczak poklepał przyjaciela po plecach.

– Odwalileś kawał ładnej roboty. Należy ci się coś z drobiu. Obydwie nogi zarezerwowane dla ciebie.

– Jedną ci odstępuję. Pomogłeś mi przecież solidnie.

– E, jaka tam pomoc. Przelotna konsultacja.

– Nie bądź taki skromny.

Usiedli do stołu. Helenka pokroiła gęś, Walczak nalał „Egri Bicauer” do kieliszków.

– Zmachaleś się trochę, co?

– Dziesięć godzin prawie bez przerwy.

– Twarda sztuka.

– Co? Gęś twarda? – zaniepokoiła się Helenka.

– Jaka gęś! Mówię o tej dziewczynie, z którą się Stefan męczył. Nie chciała się przyznać?

– Z początku zaprzeczała wszystkiemu. Próbowwała grać rolę obrażonej księżniczki.

– Ale przecież znalazłeś przy niej sfalszowany dowód na nazwisko Julii Alberyckiej.

– Przyznała się do tego, że chciała wykorzystać sytuację, ale zaprzeczała stanowczo, jakoby zamordowała Reitinga i Bonera. Musiałem pokazać odciski jej palców znalezione na szklance u Reitinga.

– Pewno od dawna nosiła się z zamiarem zamordowania go.

– Oczywiście. Przygotowywała sobie wszystko bardzo metodycznie. Nawiązała znajomość z Reitingiem, chodziła do niego na lekcje, zorientowała się w jego stosunkach rodzinnych i towarzyskich. Wytypowała sobie potencjalnych morderców, to znaczy Romana, Paślawskich i tego zwariowanego Sternackiego. Napuszczała ich po kolei na Reitinga i wreszcie wybrała dzień, w którym wszyscy ewentualni podejrzani mieli

pójść na Smolną.

— Przyszła po tych bandziorach i po Sternackim.

— Tak. Zobaczyła, że Reiting śpi i wlała mu do herbaty dużą porcję arszeniku. Liczyła na to, że kiedy się obudzi, będzie mu się chciało pić. Tymczasem Reiting zaczął się ruszać, otworzył oczy i spojrzał na nią na wpeł przytomnie. Chciała mu dać herbaty, ale odsunął jej rękę, mamrocząc, że go otruli. Wtedy ona, myśląc, że się zorientował albo że widział, jak do szklanki wlewała truciznę, chwyciła leżący na stoliku sztylet i uderzyła...

— I uciekła.

— Nie. Posłyszała kroki i schowała się do łazienki. Przyszędł Paślawski.

— Z tego wynika, że gdyby Paślawski natychmiast zaalarmował sąsiadów, to morderczynie mogłaby być schwytana nieomal na gorącym uczynku.

— Oczywiście! Ale Paślawski przestraszył się, że zostanie posądzony o zbrodnię i uciekł, zabierając po drodze żonę, którą spotkał na schodach.

— Myślał, że to może ona zabiła Reitinga?

— Trudno mi powiedzieć. Może i tak myślał.

Walczak nałożył sobie na talerz nową porcję gęsi.

Jadł z ogromnym apetytem. Po chwili spytał:

— A jak z Bonerem? Przyznała się do tego morderstwa?

— Maleńki bluff — uśmiechnął się Downar, sięgając po kieliszek. — Powiedziałem jej, że Boner zdążył przed śmiercią złożyć obciążające ją zeznanie.

— To nie było fair play.

— A poić facetów herbatą z arszenikiem to według ciebie fair play?

— Masz rację — roześmiał się Walczak. — Warto by się zainteresować, skąd ona, u diabła, wzięła tyle tego arszeniku.

Downar potrząsnął głową.

— To już przekazałem innym. Ja się tym nie będę zajmował. Na razie mam dosyć.

— Tak sobie mile gawędzicie — powiedziała Helena, która dotychczas jadła w milczeniu. — A ja siedzę tutaj jak na niemieckim kazaniu. Coś tam słyszałam od Karola piąte przez

dziesiąte o tej sprawie, ale właściwie to niewiele wiem.

– Gęś jest tak wspaniała – uśmiechnął się Downar – że gotów jestem opowiedzieć ci wszystko od początku.

– Dostaniesz jeszcze dobrej kawy i tort mocca.

– Ach, te łapówki... – westchnął Walczak. – No, jeżeli musisz, to opowiadaj, ale na miłość boską, streszczaj się.

– Postaram się, Karolku. Zrobię, co będę mógł, ale rozumiesz, taka gęś... niebo w gębie. Powiedz mi, Helenko, co w ogóle wiesz o tej sprawie?

– No, wiem, kto to był Reiting... że został zamordowany... że następnie popełnione zostało drugie morderstwo, otruto jakiegoś Bonera. A teraz słyszę, że to ta dziewczyna...

– Sprawa była niezwykle skomplikowana – zaczął swoje opowiadanie Downar, odsuwając od siebie talerz z dokładnie ogryzionymi kośćmi – skomplikowana przede wszystkim przez swoją niecodzienność. Wiesz, jak wyglądał Błażej Reiting. Człowiek ułomny, o przerażającej, upiornej twarzy. Rzadko można się spotkać z taką brzydotą. Pewnego dnia wpadł na pomysł napisania artykułu do pisma rozchodzącego się za granicą. Nie chciał jednak podpisać go swoim nazwiskiem. Dla dość makabrycznego żartu postanowił wystąpić jako piękna kobieta, Julia Alberycka.

– Połączenie Szekspirowskiej Julii z karłem Alberykiem z opery Wagnerowskiej – wtrącił Walczak.

– Właśnie. Gdyby nie Karol, nigdy bym na to nie wpadł – przyznał Downar. – Nie miałem pojęcia, że w germańskiej mitologii istnieje taka postać, jak Alberyk.

– No i co dalej? – przynagliła go zaciekawiona Helena.

– Artykuł ten przeczytał w Rzymie pewien milioner włoski, Roberto Ganzetti. Napisał do redakcji, pragnąc nawiązać korespondencję z autorką artykułu. W redakcji oczywiście nie znano adresu Julii Alberyckiej ani nawet nie wiedziano, jak ona wygląda. W dziale korespondencji zamieszczono życzenie Włocha. I tak rozpoczęła się wymiana listów pomiędzy Ganzettim a „piękną Julią”.

– A co miał z tym wszystkim wspólnego Boner?

– Cierpliwości! Boner wyjechał do Rzymu na zaproszenie

swej siostry. Poznał Ganzettiego, który obiecał mu pomoc w urządzeniu się na terenie Italii pod warunkiem, że odnajdzie i przywiezie do Rzymu Julię Alberycką. Boner wrócił do Warszawy i po dłuższych poszukiwaniach natrafił na ślad dziewczyny, której fotografię otrzymał od Włocha.

– A skąd ten milioner miał fotografię?

– To proste. Ganzetti wielokrotnie prosił w listach „Julię” o przysłanie zdjęcia. Wreszcie Reiting wyciął ze starego numeru „Mody” pierwszą lepszą fotografię ładnej dziewczyny, kazał zrobić odbitkę i wysłał ją do Rzymu. Boner przy pomocy tego zdjęcia natrafił na Anielę Manowską.

– To właśnie ta, którą zaaresztowałeś.

– Tak. Dziewczyna piękna, ale bezwzględna, idąca dosłownie po trupach do celu. Doszła do przekonania, że aby zostać żoną włoskiego milionera, musi zlikwidować Reitinga.

– I właściwie ze swego punktu widzenia miała rację – wtrącił Walczak. – Bo wyobraźmy sobie, że po ślubie w dalszym ciągu nadchodziłyby z Warszawy miłosne listy od Julii...

– Ale że też temu Reitingowi chciało się zabawiać w tego rodzaju mistyfikację... – powiedziała Helena.

– No cóż... Facet początkowo robił to dla żartu, a z czasem wżył się w swą rolę.

– Oczywiście – przytaknął Downar. – Trzeba także wziąć pod uwagę fakt, że to był człowiek pełen kompleksów. Od wczesnego dzieciństwa marzył o tym, żeby stał się cud i żeby zmienił się w pięknego mężczyznę. I nagle nadarzyła mu się okazja, żeby odegrać rolę pięknej kobiety. Pochwycił tę okazję i znajdował radość w czytaniu listów Ganzettiego, w których były hymny pochwalne na cześć Julii Alberyckiej.

– Coś w rodzaju rozdwojenia jaźni.

– Tak. Może można by to i tak nazwać, chociaż to niezupełnie to samo.

– Nieszczęśliwy człowiek.

– Bardzo nieszczęśliwy. Swą tęsknotę za pięknem przypłacił życiem. Ta dziewczyna w perfidny sposób przygotowała całą zbrodnię.

— A dlaczego zabiła Bonera?

— Dlatego, że Boner załamał się. Bała się, że przy pierwszym zetknięciu z milicją wszystko wygada. A poza tym wołała się pozbyć ostatniego świadka. Śmierć Bonera już bez żadnych zastrzeżeń otwierała jej drogę do małżeństwa z Ganzettim i do jego milionów. To była duża stawka.

— Straszne, do czego zdolni są ludzie, gdy w grę wchodzi pieniądze — szepnęła Helena.

— Tak — powiedział Downar. — Niestety ludzie są zdolni do różnych brzydkich rzeczy i to nie tylko wtedy, kiedy chodzi o pieniądze.

Walczak sięgnął po butelkę.

— To wszystko prawda, moi drodzy, ale gdyby ludzie byli aniołami, nie mielibyśmy dzisiaj okazji zjeść takiej wyśmienitej gąski.

Helena uderzyła męża po dłoni.

— Karolu, stajesz się niemoralny.

— To bardzo prawdopodobne. Co o tym myślisz, Stefanku?

— Myślę — powiedział zadumany Downar — myślę, że to wino jest zupełnie niezłe. Zdrowie Helenki!



– I pani była skłonna zrujnować swoje małżeństwo – zapytał major Downar.

– Pan nie jest w stanie tego zrozumieć. Ja... Ja nie chciałam do niego chodzić, a jednocześnie nie mogłam przestać go odwiedzać. Kiedy zbliżał się piątek, odczuwałam dziwny, dręczący niepokój, nie potrafiłam tego w sobie zwalczyć i... szłam na Smolną. Żyłam jak pod działaniem jakiegoś narkotyku. Tylko jego śmierć mogła mnie z tego wyzwolić. Musiałam... Musiałam...

Cena zł 60.-

Downar był coraz bardziej zbity z tropu. Intuicją nie wyczuwał, że ta kobieta nie byłaby zdolna wbić swemu nauczycielowi w serce szpiletę po rękojęść, a jednak...

– Chciałbym, żeby mi pani dokładnie odtworzyła scenę zabójstwa.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Nie mogę! Nie mogę! Niech mnie pan nie męczy! Nie mam siły dłużej z panem rozmawiać. Przyznałam się. Proszę mnie odesłać do więzienia.

ISBN 83-207-0301-8